



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Źnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Selim Mirza.

Humoreski z teki worszły ...

Henryk Sienkiewicz

78
1568

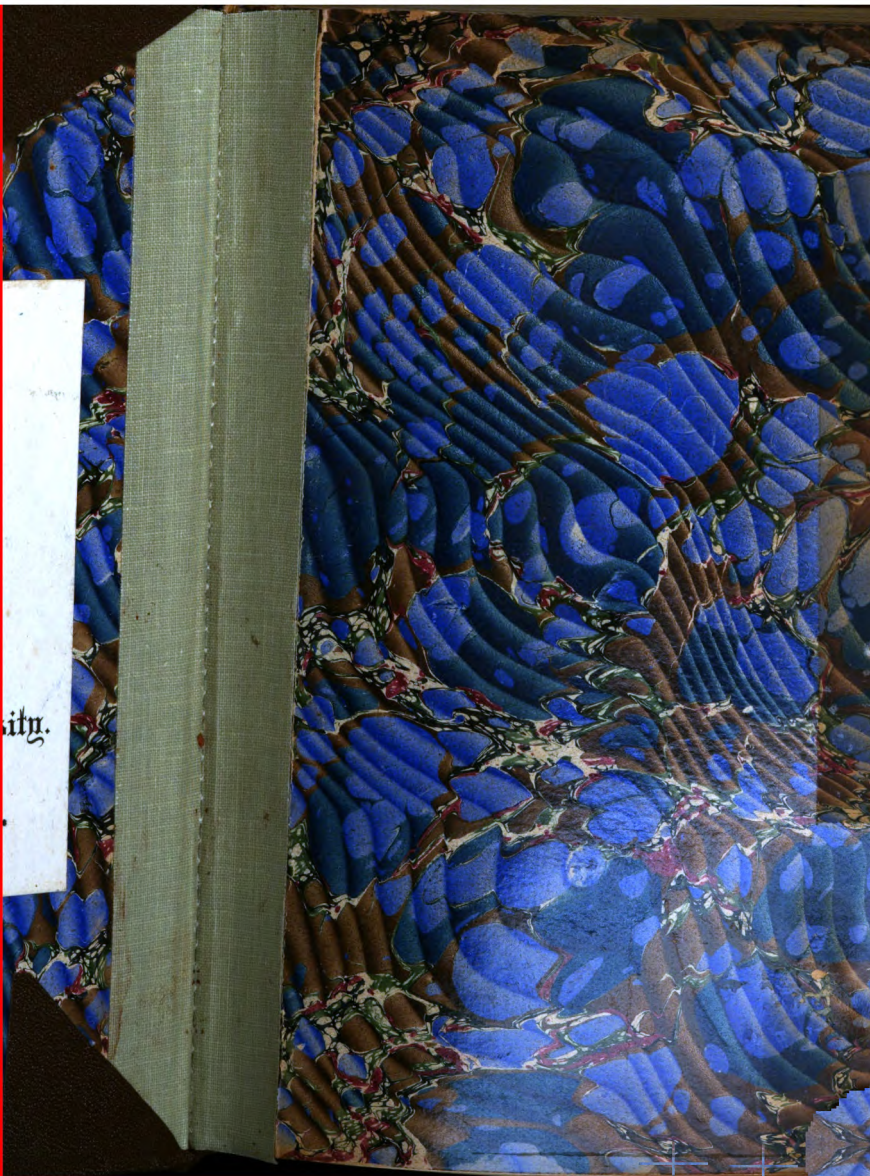
Library of



Princeton University.

Presented by

Jack L. Walton - '96.



ity.

HENRYKA PISMA
SIENKIEWICZA
NIEOBJĘTE WYDANIEM ZŁOŻENYM

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA,
NIEOBJĘTE WYDANIEM ZBIOROWEM.

III.
PISMA MŁODOCIANE.

HUMORESKI Z TEKI WORSZYŁŁY.

WARSZAWA
DRUK P. LASKAUERA I W. BABICKIEGO
Ś-TO KRZYSKA 11.

HENRYK SIENKIEWICZ.

HUMORESKI Z TEKI WORSZYŁŁY

I. NIKT NIE JEST PROROKIEM
MIĘDZY SWEMI.

II. DWIE DROGI.



WARSZAWA.
NAKŁADEM STEFANA DEMBEGO.

1901.

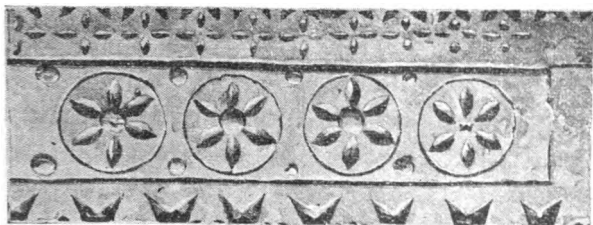
Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Мая 1900 г.

I.

Nikt nie jest prorokiem między swemi.

3048
85
345
112

561878



Nikt nie jest prorokiem między swymi.

— A!—rzekł, usłyszawszy ten tytuł, mój przyjaciel—„*Nul n'est prophète en son pays*“.—Dlaczego nie dać francuskiego tytułu?

— Radbym z duszy, ale to jakoś nie wypada.

— Dla czego nie ma wypadać?—odpowiedział. —Ty, *chère* Worszyłło, zaczynasz dopiero karierę literacką; twoje nazwisko jeszcze nic nie mówi. —*Pardon!* mój drogi, ale ono nic nie mówi. Ręczę ci, że połowa z tych, co czytać będzie twoją powiastkę,

czytać będzie właśnie dlatego, że dasz jej tytuł francuski.

— A ja myślę: poniekąd ma rację. Tytuł dla powieści, to toż samo, co nazwisko dla człowieka. Tenże sam mój przyjaciel ma wiele dowcipu i doświadczenia -- to on mnie nauczył, że nazwisko ma tyle znaczenia dla człowieka. Ja bo przez jakiś czas wahałem się w sądzie i o tej kwestyi i o wielu innych.

— Trzeba mieć punkt wyjścia — rzekł mi. — Czy ty, Worszyło, masz punkt wyjścia?

— Co powiadasz?

— Nie pytaj nigdy w ten sposób: „Co powiadasz?“ Ma to w sobie coś ze złego tonu. Zauważyłeś, że ludzie złego tonu powtarzają często wyraz: „powiada, powiada, pada“.

— Zauważyłem.

— Przepraszam, że ja ci mówię takie rzeczy, ale wprowadziłem cię do p. X., do naszego sławnego W., do hr. M., słowem, w najlepsze nasze towarzystwa, do których chciawszy wejść, trzeba się *naginać* koniecznie.

— Ale o co mnie pytałeś?

— Czy masz punkt wyjścia, zasady? Wczoraj widziałem, jak, rozmawiając z księciem C., skrzywiłeś się jak nieszczęście i wytrząsałeś palcem ucho. To lekceważenie! — to dowodzi, że albo wcale nie masz zasad, albo co gorzej, masz je przewrotne.

Zaczerwieniłem się strasznie i wołałem wyznać, że wcale nie mam zasad.

Ale, o czytelniku! nie zrażaj się. Przyjaciel mój dał mi zasady, których dziś trzymam się ściśle i których, jeżeli nie okażę w ciągu tego opowiadania, wina to będzie raczej nieudolności pióra, niż dobrych chęci.

Poczem mogę przystąpić do samego opowiadania. Pisze się wiele powieści, w których bohaterami są jacyś ludzie lub nawet sfery, o których mówiąc, każdy dobrze wychowany człowiek zawsze dodaje wyraz: „zapozwoleniem“.

Ja sam słyszałem, jak senatorowa K..., przedstawiając pani L. znanego artystę W., rzekła:

— Pani pozwoli przedstawić sobie pana... *Pardon! quel est votre nom?... a! pana W... mais il a assez de talent, pour nous amuser* — dodała ciszej.

Talent może zastąpić nazwisko i otworzyć podwoje zwykle dla „*canaille*“ zamknięte. Trzeba się tylko umieć naginać. Nieszczęściem czy szczęściem. mój bohater nie był ani poetą, ani malarzem, ani muzykiem, ani rzeźbiarzem, ani wogóle długowłosym kochankiem muz; nie miał majątku, brakło mu stanowiska, nie był dygnitarzem, nie miał nadzwyczajnego dowcipu, byłzaledwie przystojny, nie miał nic z tego, o czem wyżej.

— Cóż miał?

— Dwadzieścia siedm lat.

— O, o! to niewiele.

W tem rzecz, że miał niewiele lat: był młody; ale miał jeszcze coś prócz tego: między miasteczkiem M. a Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, miał Mżynek.

· *Qu'est-ce que c'est que ça?*

To także niewiele było. Domek z ogródkiem obrosłym leszczyną i z rzeczką płynącą

nącą cienistym brzegiem, a prócz tego trzy, ba, nawet nie całe, włóki gruntu.

Ale to jeszcze nie koniec: miał i coś trzeciego, co, gdyby o to dbał, nadawałoby mu pewną pozycję w świecie.

Nazywał się Wilk Garbowiecki.

Kto zna choć trochę dawne dzieje, ten może słyszał o Garbowieckich, jako za Tarnogrodzkiej bili się mężnie z Sasami. Jam wprawdzie nie wiedział, czy ciż sami nosili miano Wilków, ale przyjaciel o którym wyżej, oświecił mnie. On w heraldyce wielce *peritus*, utrzymywał, że bohater mój miał z piętnastu senatorów w rodzie, a przydomek Wilk dostała ta rodzina z dawnych czasów za jakiś czyn bohaterski. Wszystko to być może, lubo sam Wilk Garbowiecki którego znałem, nic o tem nie wiedział, a nawet nie uważał sobie za żaden zaszczyt, że się nazywał Wilk Garbowiecki. Wyznaję to ze wstydem — mój bohater nie cenił w sobie urodzenia. Czasem jednak grała w nim dobra krew; nie-
szczęściem, on utrzymywał, że to nie była dobra krew, tylko obrażona godność osobista. Raz np. bogaty fabrykant pończoch,

u którego — wyznaję to znów ze wstydem — Wilk dawał lekcye, oprowadzał go po swoich apartamentach.

— Widzisz pan tę konsolę? — spytał.

— Widzę.

— Pan myślisz, że to co?

— Myślę, że to konsola.

— Pan myślisz, że to marmur? pan pewno myślisz, że to marmur? — to nie marmur, to alabaster. Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmarszczył się na ostatnie pytanie — fabrykant prowadził go dalej.

— Widzisz pan tę kasetkę?

— Widzę tę kasetkę.

— Pan myślisz, że ten cyzył na niej — to co?

— Bronz.

— Pan myślisz, że to bronz? Tu fabrykant cmoknął, chlipnął, mlasnął, i dodał w cichej ekstazie:

— Zł-o-to! Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmierzył go oczyma od stóp do głów. Fabrykant nie zauważył tego i na dobitkę rzekł dobrodusznie:

— Kto takie rzeczy ma, ten wygrał.

A po chwili znów:

— Widzisz pan ten portret? (Tu wskazał na własny portret, wiszący między dwoma zwierciadłami w salonie).

— Widzę — to zapewne złoty cielec?

— Co jest cielec, to cielec, a to jest mój portret. A gdzie tu rogi? Co pan mówi?

— Że ten, kto cielca malował, trafił pana... a rogi są w pańskiej kasie.

— Ho! ho! Wilk wyszczerzył starszłacheckie zęby — mówiono w Warszawie.

Ale Wilk utrzymywał, że wyraz „starszłacheckie“ był głupstwem i mimo moich przedstawień, że odejmuje faktowi koloryt, nie chciał cofnąć zdania.

— A niech mi nie dmie bogactwem! — *Homo sum* — powtarzał z pewną dumą.

Te błędne pojęcia zaszczerpiło w nim życie. Musiał pracować i łamać się z ubóstwem. Ba! gdyby tak miał porządną fortunę, pewnoby mu się rozjaśniło w głowie.

Tegoż zdania był i mój przyjaciel. Zresztą Wilk był dziwak. Pytam go pewnego razu, dlaczego tak pracuje, mając już grosz jakiś i co myśli robić nadal?

— Rolę orać — odrzekł krótko.

Zdziwiłem się.

— Słuchaj, Worszyło! — mówił dalej. — Pomijam, że osobiste upodobanie ciągnie mnie do roli, ale mam i inne cele. Rozszerzanie zdrowych i uczciwych zasad, mimo że stu głupców z nich się śmieje, jest obowiązkiem uczciwego człowieka. W mieście — ognisko myśli; wy tu macie literatów, gazety, książki, co chcesz! — na wsi trzeba przykładów — tam książek nie czytają. Otóż jadę na wieś dlatego, żeby być takim przykładem, i dlatego jeszcze, że mi się tak podoba.

Ach, czytelniku! Czułem wraz z tobą, że głupstwa mówił, ale nie śmiałem mu się sprzeciwiać, a mój przyjaciel, który jest wzorem dobrego tonu, nie śmiał także, choć nieraz obaj drwiliśmy z podobnych zasad. I teraz wyśmiewaliśmy je, ale dopiero wtedy, gdy Wilk wyszedł. On mówił tak śmiało i tak jakoś patrzył prosto w oczy, gdy mówił! Zresztą, jakkolwiek dobrze wychowany człowiek powinien być trochę *blasé*, są jednak zasady nieznośne, niepraktyczne, zgubne dla naszego spo-

koju, z których nie można głośno się wyśmiewać, choćby dlatego, żeby zbyt nie drażnić „*canaille*“.

A tak i Wilk osiadł na wsi. On zawsze miał to, co nazywają silną wolą. Skończywszy uniwersytet, w dość krótkim czasie nazbierał trochę grosza do fundusiku, jaki był posiadał i kupił Mżynek. W Warszawie mieli go za waryata, ale jemu było dobrze. Umiał sobie radzić na roli, ile że zajmował się poprzednio teorią gospodarstwa i naukami przyrodniczymi. Był wesół i szczęśliwy. Widziałem wszystkie jego listy do przyjaciela, z których pierwszy zaraz, jako dość charakterystyczny, przytaczam:

„Kochałem zawsze naturę, pisał Wilk. Dusza moja zachowała całą wrażliwość na jej działanie. Gdybym był poetą, opiewałbym piękności mego Mżynka, ale i nie będąc poetą, odczuwam je w całej pełni. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy! Opiszę ci moje: *Erga kai hemerai* ¹⁾. Pracuję, jak chłop; rankiem wychodzę sam z plu-

¹⁾ Prace i dni.

giem w pole. Latem co za pyszne poranki; w powietrzu pełno blasku, szczerą pogodą! Świeżo i rzeźwo w całej atmosferze; z łąk podnoszą się opary, a rzechotanie żab milknie powoli; teraz na ptactwo kolej uderzyć hejnał dzienny. Budzi się ziemia, budzi i wioska; tu i owdzie skrzypnie żóraw u studni, tam woły zaryczą. Dusza się śmieje, Franku! A no, pastuch wygrywa już na ligawie, a no, dziewczyna, ranna jaskółeczka, splatając warkocz, zawodzi: „dana, oj dana! „Na kościółku ozwie się sygnaturka na jutrznię, to i ja mruczę pacierz, pokrzykując od czasu do czasu na woły. Potem już ruch, jak okiem zajrzysz; kręcą się ludzie, i zabiegają wedle roli. Krótko mówiąc: szczęśliwy jestem. W południe kładę się w cieniu pod lipami i albo czytam coś, albo słucham kapeli pszczoł nad głową. Wieczorami czytam znów, lub rozmyślam com dziś robił, a co jutro robić należy. Samotność nie nudzi mnie. Prócz starej gospodyni i kilku parobków, nie znam nikogo w okolicy. Przez jakiś czas postanowiłem być milczącym przykładem; postanowiłem pierwej postawić Mżynek na

wzorowej stopie: zaprowadzić ład, użyźnić glebę, wyciągnąć największe z niej korzyści—oto mój cel tymczasowy. Zauważyłem, że zdrowe a uczciwe idee, dlatego trudno przyjmują się między ludźmi, dlatego uważane są za sentencye, że ci, którzy je głoszą, najmniej sprawdzają je w odpowiedniem postępowaniu na zewnątrz. Iluż to promotorów, głoszących piękne zasady, powinnyby parsknąć śmiechem, spojrzawszy sobie w oczy. Historia rzymskich augurów powtarza się, z tą tylko różnicą, że nasi— to przytem i głównie— niedołęgi. Tak jest, Franku! niedołęstwa więcej jest, niż złej wiary. Ale w praktyce skutki stąd jednakowe. Zdaje mi się, że zrozumienie tego uczyni mnie silniejszym. Nie myślę zresztą i w przyszłości prawić słodko-kwaśnych kazań; wolę czyn niż dyalektykę. Tymczasem uczę moich parobków czytać. Nie uwierzysz, jak opierali się temu z początku. Gdy namowy nie pomagały, porwałem jednego i drugiego za kark i, obiecawszy kije, zmusiłem; teraz już się przekonali i są mi wdzięczni. Dotąd ze wszystkiego jestem

kontent. Idzie, Franku! idzie! Muszą już dość gadać o mnie w okolicy; ciekawy jestem, jak będzie z ludźmi. Wczoraj widziałem amazonkę, przejeżdżającą wedle mojej chałupy. Ach! jednej rzeczy mi brak w chacie: kobiety! Prostu tęsknię za kochaniem, ku niemu rwie się cała męska strona mojej natury. Potrzebuję kochać, potrzebuję mieć żonę i dzieci.

Ściskam cię

Wilki Garbowiecki.

Te listy dostały mi się od owego Franka, do którego były pisane, dlatego znam tak dobrze szczegóły, dotyczące Wilka. Mawiano o nim nietylko w okolicy, ale i w Warszawie. Paniom naszym postępowanie jego wydało się oryginalnem; mój przyjaciel przebaczał mu nawet, że siedział na kawałku roli i że pracował, ale... chodzić za pługiem... *c'est affreux, c'est une honte!*

Tymczasem płynęły miesiące, a w Mżynku z dniem każdym poprawiało się coś, ulepszało. Rola, dobrze zorana na najbliższe zaraz żniwa, wydała wcale obfite plo-

ny. Wilk miał nawet znaczne dochody; plantacye buraków przyniosły mu nad podziw wiele. Założył przytem jedwabnictwo, trzymał dość znaczną liczbę inwentarza. Podziwiano jego energię, a wkrótce cała okolica nie mówiła o nikim, tylko o nim—Wilk tego chciał.

Wyruszył wreszcie między ludzi. Najpierwej poznał urzędników powiatu, z którymi, volens nolens, musiał bywać w stosunkach. Robił ciągle głupstwa! Co mu to szkodziło, że urzędnicy po małych miasteczkach po za biurami godzinami nie robią nic a nic, a w czasie godzin biurowych wykałają zęby, lub trzymają ręce w kieszeniach. W tem nie masz przecie nic nienormalnego. Oto kilka scen z tych stosunków, wedle własnych jego listów spisanych.

Raz u kasyera powiatowego, który miał dwie ładne córki, Wilk rzekł do jednego z urzędników:

— Panie Ludwiku, wejdźmy z sobą w spółkę handlową.

Pan Ludwik był to podpisarz sądowy, a zarazem największy w mieście elegant;

chodził w kastorowym, wysokim kapeluszu, nosił binokle na nosie, a na palcu ogromny pierścionek z herbem; pierścionek kupił wypadkiem od Golderywy, ale herb akceptował za swój rodowy, skutkiem czego był arystokratą. Kochał się, naturalna rzecz, któż w małym miasteczku się nie kocha, i nakoniec wyraz twarzy miał zawsze groźny a uroczysty, co nadało mu wiele godności i powagi.

— Mamy wejść w jaką spółkę?—mówisz pan dobrodziej.

— W handlową. Zakładam czytelnię.

— Co? co? — spytano ze wszystkich stron.

— Daję sto rubli na książki i w domu pana Ludwika je składam. Każdy, kto zapłaci 30 kopiejek miesięcznie, ma prawo czytać ile mu się podoba, czy to obywatel, czy urzędnik. Z tych pieniędzy 20 idzie dla mnie, na zwrot kapitału, $2\frac{1}{2}$ dla pana Ludwika za mieszkanie, a $7\frac{1}{2}$ na coraz nowe książki. Zgoda.

— To się nie uda! to się nie uda!—zawołał burmistrz, wielki pesymista, przytem powaga w mieście.

— To moja rzecz.

— Mówię to panu z doświadczenia?

— Z jakiego doświadczenia?

— Pan jesteś młody człowiek...

— Tem lepiej dla mnie.

— A chcesz być mądrym za wszystkich. Trzeba się było starszych poradzić.

— Toż zawiadamiam panów.

— E! żyliśmy dotąd spokojnie, choć i czytelnicy nie bywało.

— A! to pan nie przeszkadzaj, kiedy pomagać nie chcesz.

Urzędnik oderwał na chwilę oczy od kart (bo grał) i, zmierzwszy Wilka od stóp do głów, rzekł:

— Nie rozumiem, skąd się bierze w młodzieży dzisiejszej... Ej! pik zwyczajne!

— Wist! — odrzekł proboszcz. — Byłe jakich zaraźliwości w tych książkach nie było!

— Wychodź pan. Ja tam wolę preferansa.

— A ja będę czytać — wołała panna kasyerówna. — Panie Wilk, jakie to książki będą? Ja lubię wzruszające — O!

— Cóż, panie Ludwiku? zgadzasz się?—spytał Wilk.

Pan Ludwik szurgnął nogami pod stołem, zarumienił się, poprawił krawat, chrząknął i odrzekł:

— Ambaras... ja nie mam czasu.

— Ja panom powiem! --zawołał Antos Dziembowski, geometra.— To są warszawskie wymysły, a my pokażmy, że także mamy swoją ambicyę.

— Ma się rozumieć.

Wilk nie odznaczał się wogóle cierpliwością, ruszył ramionami i poszedł do kobiet.

Tam udało mu się lepiej. Co więcej, namówił pannę Kamille, kasyerównę, Beatrycę pana Ludwika, która to panna Kamilla rozkazała poprostu panu Ludwikowi, żeby przyjął obowiązki bibliotekarza.

Garbowiecki waryował, jak widziecie czytelnicy, ale czytelnia stanęła koniec końcem.

„Wiem, pisał, że stracę swoje sto rubli, mimo to rzecz przywiode do skutku.“
Przywiódł i stracił. Nikt nie chciał czytać; kobiety spodziewały się lekkich książek—

nie znalazły; zniechęcenie było ogólne. Szlachta wiadomość o czytelnicy przyjęła jaknajgorzej. Słyszałem bardzo rozsądne dowodzenie jednego z tamtejszych obywateli; „Dajcie im (mówił o małomiasteczkowych urzędnikach) naukę, dajcie im wykształcenie, a ręczę, że zechcą stanąć na równi z nami, zechcą bywać u nas, zechcą być przyjmowani, będą się uważać za równych nam. Przez Bóg żywy! zastanówcie się, do czego to prowadzi! Nie przewracajcie im w głowach! Gdzież społeczeństwo bez klas niższych i wyższych? Pamiętajcie, że zbytnia nauka niweluje różnice między klasami. Ja ostrzegam was — idziecie do zamętu! Ja mówiłem! ja umyłam ręce! ja robiłem, co mogłem“ i t. d.

Nie przytaczałbym tego dowodzenia, gdyby nie to, że człowiek, który tak mówił, jest znakomitością w swoim powiecie.

Miał rację. Ileż to niepotrzebnych rzeczy te niewinne głowy dowiedziećby się mogły z książek. Prawdziwie wolę nawet kostere, gracza, pijaka niż człowieka z przewróconą głową. Niepotrzebnie także nauczał ich Wilk, że przyjmowanie śnia-

dań od obywateli, jest rzeczą naganną. Naprzód miło jest i obywatelowi pokazać się czasem popularnym, a powtóre do tego nie zmusza się nikogo, to jest przyjęte. Wilk narobił prawdziwego zgorzenia. „Panowie nie udawajcie głuchych, gdy kto do was przychodzi z interesem—rzekł im—nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa.“

Ostatnie słowa proboszcz i podsędek wzięli za przymówkę do siebie, bo obaj zażywali tabakę. Pytałem pewnego razu jednego z urzędników, coby o nim, to jest o Wilku, myśleli:

— Bo ja wiem, panie (powiada). Ni to był chłop, ni ksiądz, ni szlachcic, ni urzędnik—ot! ja nawet myślałem, czy to nie przebrany...

— Kto?

— Ba, właśnie tego nie mogłem się domyśleć.

Z chłopami bywał Wilk stosunkowo lepiej. Pozyskał przywiązanie swych parobków, których później miał sześcioro. „Ja, pisał, nie romansuję ze swojemi ludźmi; każdy z nich musi pełnić swoją powinność czy chce, czy nie chce. Nie uwierzysz, jak

mnie gniewa sentymentalno-ekliwa literatura, przeznaczona dla ludu. Sprowadziłem kilka takich książek z Warszawy. W jednej, naprzykład, znalazłem wielce tkliwe opowiadanie, jak beatus Kukufin miał mowę do ludu, i...

każąc bardzo rzewnie

Wzniósł się nad ziemię na dwa łokcie pewnie,
czem i „poczciwych kmiotków“ tak rozrzewnił, że wszyscy, którzy byli złodziejami przestali kraść, a pijacy wypędzili arendarza. Morał kończy się tem, że daleko lepiej być dobrym, niż złym, bo dobrego „dziedzic“ kocha, a złego nie kocha. Książki te rzuciłem w piec. Rady dawane panom tyleż warte: „Uściśnijcie czasem, powiada jeden z autorów, spracowane dłonie sędziwych kmiotków; dzielcie ich zabawy: niechaj panienka ze dworu sunie się czasem w tan posuwisty z różnym parobczakiem, niech panicz poda delikatną rękę wiejskiej dziewoi, niechaj poprosi jej o piosenkę... i t. d.“ Ja tam nie suwam się z niemi w tan posuwisty, nie umizgam się do dziewoi, ani nie upijam z niemi w karczmie. Wolę od czasu do czasu powiedzieć:

„Bartek! czasby pomyśleć o pszenicy! Ignac! przyprowadź swego wołu — puszczyć mukrew. Franciszkowa, uprzątajcie len, bo się wysypie i t. d. Książki powinni pisać, znający potrzeby tych, dla których piszą, a nie—to lepiej wróble strzelać. Dotychczas jestem kontent z moich ludzi, a z innymi żyję dobrze“ i t. d.

Nie zawsze jednak bywało dobrze. Młynek, własność Wilka, sąsiadował z Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, ludzi niezmiernie dystyngowanych, *de la plus haute société*, z którymi zapoznał mnie mój przyjaciel. Otóż ludzie chłodniccy robili nocami, jakto zwykle między sąsiedztwem, szkody Wilkowi w zbożu i pastewnikach. Wilk w takich razach był nieubłagany surowy. Nie dość, że, zebrawszy swoich ludzi, przepędził chłodnickich, przy czem i po skórze niejednemu podobno dobrze się dostało, ale pozajmował im bydło i nakoniec wytoczył sprawę przed wójta: „Nie chodziło mi (pisał) o szkody, ale chciałem oduczyć od szkód.“ Wypadły stąd rozmaite zatargi. Charakterystyczną odpowiedź dał jeden z obwinionych, kiedy

na pytanie, dlaczego wypasał zboże pana Garbowieckiego, odrzekł:

— Taki to on i pan, kiedy sam za pługiem chodzi; takiego nie grzech poszkodować.

Mój przyjaciel uważał tę odpowiedź za znakomitą: „*C'est magnifique! magnifique!*“ — powtarzał. Dowodzi to jednak (mówił), że i w ludzkiej prostocie jest pewne... pewne... *comment cela s'appelle-t-il?...* pewne poczucie tej myśli, którą francuzi wyrażają; „*noblesse oblige*“.

Z powodu tej sprawy wszedł Wilk w bliższe stosunki z państwem Chłodno i bywał tam następnie dość często.

— Prawdziwie—mówił do mnie pan Chłodno — kiedy wszedł pierwszy raz, patrzyliśmy na niego, prawdziwie jak na wilka... *nous l'avons regardé tout-à-fait comme un vrai loup.*

W ich domu jednak rozegrała się najważniejsza część jego historyi, dlatego stosunki te będę opisywał szczegółowo. Dom państwa Chłodnów składał się z samego, z samej i dwóch córek: panny Lucy i Boguni; małej jeszcze, może trzynastoletniej

dziewczynki. Oczywiście, w domu tak za-
możnym była jeszcze nauczycielka fran-
cuzka (polek tam nie trzymano). Nauczy-
cielka zwała się mademoiselle Gilbert, co
zresztą dla nas jest wszystko jedno.

Kiedy Wilk wszedł do salonu państwa
Chłodno, madame Chłodno trzy razy kie-
rowała nań binokle; chciała wiedzieć, co-
by to był za człowiek. Szczęściem, wie-
dziano o jego urodzeniu. Wilk przytem
miał rysy szlachetne, obejście łatwe, dlate-
go dość podobał się odrazu. Panna Lucy
spojrzała nań ciekawie, mała Bogunia,
dziecko nieśmiałe i smętne, wytrzeszczyła
nań chmurne oczy. Pan Chłodno przed-
stawił go w ten sposób:

— *Ma chère*, to jest pan Wilk Garbo-
wiecki, którego podobno byłaś ciekawa.

Poczem zakręcił się na pięcie i wy-
szedł z pokoju. Damą, która już wprzód
była go obejrzała, nie spojrzawszy nań te-
raz, odrzekła:

— Słyszałam, że *on* sąsiaduje z nami?

— Tak jest, gospodaruję w Mżynku?

— Dlaczegoż dotąd nie mieliśmy szczę-
ścia widzieć *go*?

— Miałem pilniejsze zajęcie w domu.

Ta odpowiedź, zarówno niegrzeczna jak zuchwała, wywarła jednak niespodziewany skutek. Dama podniosła oczy od robotki i zmierzyła Wilka od stóp do głów. Odpowiedź podobała jej się. Istotnie, żeby tak odpowiedzieć, trzeba było albo być impertynentem, albo mieć jakie prawo obrażania się o zbyt chłodne przyjęcie. Dama przypomniała sobie, że jej interlokutor zwie się Wilk Garbowiecki, skutkiem czego rzekła bez porównania słodziej:

— Tak, zresztą my niedawno przyjechałyśmy z Warszawy.

— Teraz latem panie bawiły w mieście?

— *Oh oui!* dla edukacyi córek moich.

Tu panna Lucy postąpiła krok naprzód, mała Bogunia postąpiła krok w tył.

--- Pan zna Warszawę?—spytała znów pani Chłodno.

— Od trzech lat dopiero bawię na wsi.

— My bo tam mamy kuzynów... Hrabiego W... Pan go nie zna?

— Znam.

— Jakto go pan zna?

— Bywałem u niego na Wtorkach.

— U hrabiego W.? Jest to jeden z najbogatszych naszych magnatów.

— Podobno.

— I bywał pan u niego na Wtorkach?

— Razem z innemi.

— *A c'est très bien, c'est très bien*, że pan bywał u niego na Wtorkach. Jakże jego migreny?

— Nie wiem.

— On bo pisuje do nas często. Skarżył się na migreny, ale w ostatnim liście donosił, że mu już lepiej.

— Bardzo się cieszę.

W tej chwili wszedł pan Chłodno.

— *Imaginez!*—zawołała pani.—M. Wilk Garbowiecki *connait notre cousin, le comte W...*, a co więcej, bywał u niego na Wtorkach.

Pan Chłodno uśmiechnął się pobłażliwie.

— Poczciwy, poczciwy ten nasz kuzyn hr. W.! Czyś pan nie uważał jaki on podobny do lorda...

— Nie uważałem.

— Doskonały, doskonały! Powiadam mu kiedyś w resursie: Hrabio! wyglądasz jak Palmerston. „*You are block-head*, mój drogi. Ty jesteś kiep, powiada mi. Jak on to przednio wymawia ...*You are block—head!*„

Wilk uśmiechnął się.

— Pan rozumiesz po angielsku?—spytała skwapliwie pani Chłodno.

— Znam ten język.

— I mówisz pan nim?

— Tak.

— Ah! to taki niezbędny język teraz—wtrąciła panna Lucy.

— Dlaczego teraz?—Spytał Wilk.

— Niezmiernie, niezmiernie modny. We wszystkich wyższych domach panienki uczą się po angielsku.

— W jakim celu?

— Taka moda.

— Czyżby nie lepiej poznać niemiecki?

— Gdyby była moda...

— *Fi donc!* panie Wilk. Kto dobrze wychowany mówi po niemiecku? Sami Niemcy lepiej wychowani nie używają tego języka.

— A literatura niemiecka?

— *Les romans Allemands sous insupportables!*

— Może. Ale nauka, ale poezya?

— Rzeczy poważne to nie dla nas kobiet, a poezya?

— Tylko w głowach przewraca — przerwał pan Chłodno. — Ja to powiadam: tylko w głowach przewraca. Ja sam w młodości miałem przewróconą głowę. Marszałek Onowrócki powiada raz do mnie...

W tej chwili weszła mamsel Gilbert. Była to młoda panna z twarzą poważną i sympatyczną. Wejście jej byłoby bez znaczenia, gdyby nie to, że od tej chwili rozmowa zawrzała po francusku, przy czem Wilk zyskał w oczach pań niezmiernie wiele.

— To zdumiewające!—mówiła po jego odejściu pani Chłodno.—Ten człowiek mówi wybornym akcentem!

— Ja mamie powiem, że nawet *grassejuje*. Jak mamę kocham, *grassejuje!*

— Luca ma racyę. *Parole d'honneur grassejuje chr... ehr...* Tak, tak!

Wilk wogóle podobał się państwu Chłodno, a lubo polecono Lucy, żeby postępowała z nim „z całą ostrożnością“, jednakże przyjmowano go i nadal dość uprzejmie. Pani miała w tem swój cel; chodziło jej o angielski, który Wilk posiadał istotnie bardzo dobrze, a którym rada-by była widzieć mówiące również dobrze, swoje córki. Proponowano mu następnie, by uczył panny po angielsku, na co po niejakiem wahaniu zgodził się: „Daję u Chłodnowów lekcyę, pisał do swego przyjaciela; przyjąłem je dla tego, by mieć wpływ na młodsze pokolenie. Ci ludzie gniewają mnie i śmieszają zarazem. Głupota ich, jak miłosierdzie Boże—jest bez granic. A jednak ciągnie mnie coś do nich! Ty zburzysz mnie, dzielny chłopaku, gdy wyznam ci, że owo coś, jest panna Lucy. Wiem, wiem, przewiduję twoje przestrogi, masz racyę. Ale wpływ męskiego serca na kobietę może być także potężny. Ona zepsuta jest wychowaniem; zresztą, nie kocham jej jeszcze, a jeśli mnie przyciąga, to dlatego, że ma trochę zalotności i dlatego, że ja sam czuję nie-

pokonaną potrzebę kochać nareszcie kogokolwiek. Przyznaję, że kiedy parę dni temu, schyliwszy się nad książką, dotknęła lokami mojej skroni, przeszedł mnie płomień od stóp do głów. Pamiętaj, że mam dwadzieścia siedm lat. Miłość rozbita na cały ogół nie wystarcza człowiekowi. W najgorszym razie, nie stanę się przecie niedołągą“ i t. d.

Wilk, jak widzimy, wpływał na morze pełne pokus; miał się spotkać z tą siłą, wobec której najdzielniejszy mężski opór nie zdał się na nic. Niebezpieczniejsza jeszcze ta siła dla takich, którzy uczucia nie wydają po groszu.

Przyznać bo i należy, że Wilk trafił na silną pokusę. Lucy nie uchodziła za piękną, ale było w niej coś idealnego; miała ciemne, wyraziste oczy, przepyszne loki i ten jakiś urok, który najsluszniej możnaby nazwać ponętą niewieścią. Ostatniej zimy robiła w Warszawie furorę.

Niebezpieczny to był tedy stosunek. Pewnego razu Wilk, przyszedłszy do Chłodnow, zastał gości. Byli to dwaj bracia Hoszyńscy, którym powszechnie za-

rzucają, że nadto dmą z urodzenia i majątku—choć ojciec ich, jak mówią złe języki, był handlarzem wołów. Ale to dawne czasy. Oto jak Wilk opisywał tę wizytę.

„Poznałem dziś dwóch Hoszyńskich—Władysława i Jana. Władysława musisz znać—chodziliśmy razem do szkół. Z tem wszystkim nie poznał mnie. Zdaje mi się, że przysiada się do Lucy. Obaj zimni, elegancy, modni, przyczem dość ograniczeni.“

Wilk uprzedzał się—a bogdaj, czy nie dlatego, że Władzio istotnie czas jakiś był zajęty panną Lucy—obaj, zresztą, byli ludzie przyzwoici.

Tegoż wieczora Wilk miał zrobić jeszcze jedną znajomość. Wkrótce za Hoszyńskimi przyjechał pan Strączek, nieodstępny ich towarzysz: „attaché“, jak mawiał mój przyjaciel. Hoszyńscy drwili z niego ustawicznie, bo kłamał jak najęty i bawił ich, za co często zasiadał u ich stołu. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, niski, okrągły, czerwony, z błonką na jednym oku. Lubił dobrze zjeść stra-

cił majątek, grywał w karty, dopuszczał się nawet podobno malwersacyi przy grze, zwłaszcza wtedy, gdy był pijany, co zdarzało się dość często. Zarzucano mu bezczelność, ale przyjmowano go wszędzie, bo był dobrze urodzony i, jak wspomniałem, bawił.

— Ho! o Wilku mowa, a Wilk tuż— zawołał. — Cała okolica mówi o panu. W młodości znałem Garbowieckich, dali-bóg znałem — zamożni ludzie. Kto pana rodzi? Znałem Garbowieckich — ona była Jazłowiecka.

— To moja matka.

— Patrzajcie!! nigdybym się tego nie domyślił. Jazłowieccy byli spokrewnieni z Radziwiłłami.

Władzio Hoszyński, którego specjalnością było kto kogo rodzi, ozwał się oburzony.

— Ale mylisz się, drogi Strączek.

— Ale pozwól...

— Ale mylisz się—powtarzam.

— Może. Czy prawda, panie Wilk, że uczysz swoich chłopów po łacinie? — po łacinie?.. ha! ha!

Wilkowi zbierało się na ostrą odpowiedź, szczęściem pani Chłodno pośpieszyła z interwencją.

— Pan Garbowiecki uczy po angielsku — i to nie chłopów, ale moje córki. To wcale co innego — niech pan Strączek o tem nie zapomina.

— *Pardon!* nie moja wina. Pułkownikowa z Przystanku mówiła mi, że po łacinie. Ale! czy wiecie państwo, co miała za wypadek?

— Strączek! radzę być ostrożnym — wtrącił drugi Hoszyński.

— Nic złego, nic złego! to po ludziach chodzi; zresztą, milczę. Pan masz humor melancholiczny, panie Wilk, dlaczego pan nic nie mówisz?

— Wobec pańskiej elokwencji, nie masz dla mnie miejsca.

Spojrzeli sobie w oczy — Strączek zrejterował.

Rozmowa urwała się na chwilę. Zagaiła ją na nowo pani Chłodno.

— Panowie niedawno z miasta? cóż tam nowego w naszej Warszawie?

Hoszyńscy poczęli opowiadać jeden przez drugiego nowinki warszawskie. Pani Chłodno rozpytywała o mody, czego i panna Lucy słuchała z ciekawością. Obie panie dowiedziały się, że suknie w kliny zarzucono już w Warszawie, że pani N. u pp. L. oburzyła na siebie opinię publiczną, bo jadła „*beaucoup de pain*” przy kolacyi, czego, jak wiadomo, przyzwoite osoby nigdy nie robią. Dalej mówiono, jak ten „*charmant mauvais sujet le prince Michel*” przyszedł pijany na wieczór, coby komu innemu nie uszło, a jemu uszło; nareszcie, jak sam opowiadał to Hoszyński, wzięwszy mnie (mówił Władzio)...

— Nie Władziu! nie ciebie, ale mnie pod rękę.

Na szczęście, Wilk ze swych warszawskich czasów nadto był przyzwyczajony do podobnych rozmów, inaczej przy swoim charakterze byłby popełnił jaką niedorzeczność.

Ale był przyzwyczajony, bo *chez nous*, w salonach o niczem innem się nie mówi. Hoszyńskim trzeba przyznać, że tego rodzaju rozmowę umieli podtrzymywać z wdziękiem i lekkością.

Obaj udawali, że Wilka nie widzą; — nazywa się to ignorancją. Jest to straszliwa broń, właściwa ludziom wyższego stanu — patrzeć na osoby, jak na rzeczy. Wierście mi czytelnicy, kto posiada tę sztukę, posuniętą do najwyższego stopnia, staje się niezwyciężonym. Największy głupiec *parmi nous* potrafi przywieść do rozpaczliwego gniewu najmędrszego z pomiędzy ludzi innego obozu. Hoszyńscy potrafili skorzystać z tej przewagi, jaką nadawała im nad Wilkiem pozycja. Kiedy Wilk ozwał się z czemkolwiek, obaj popatrzawszy nań tak, jak się patrzy na guzik od surduta sąsiada i nie odpowiadając, zwracali się gdzieindziej. Między nimi a Wilkiem odrazu powstała niechęć, a lubo począł i on traktować ich jak nieletnich, przewaga jednak o tyle pozostała na ich stronie, że Wilk, lubo mógł im przeciwstawić swe urodzenie — nie uczynił tego, jego zasady nie pozwalały na to. Zresztą, okazywał mniej od nich cierpliwości. Hoszyńscy mieli nadzwyczaj wiele zimnej krwi. W Warszawie zwano ich z tego powodu dyploma-

tami. Wysocy, bladzi, ubrani zawsze najstaranniej, istotnie, wyglądali na sekretarzy poselstw zagranicznych, jeśli nie na ambasadorów. Władysław był lepiej ułożony od Jana: „Władzio ma swój szyk”, mówiono o nim w rodzinie. Szczególniej między Władziem a Wilkiem powstała niechęć, której przyczyna była zresztą prosta — odgadli się.

— Ten głupiec, widocznie, stara się o Lucy — pomyślał Wilk.

— Dziwię się, że temu koloniście pozwalają rozmawiać z Lucy — pomyślał Władzio.

— A ona się, widocznie, do niego wdzięczy — zauważył Wilk.

— A ona się do niego uśmiecha — szepnął sobie Władzio.

A obaj mieli rację, bo ona uśmiechała się i do jednego i do drugiego, jak przystało na dobrze wychowaną pannę. Że Władzio stara się o nią, o tem wiedziała dobrze, że Wilk czuje coś do niej, tego domyślała się również dobrze, nie umiała tylko zdać sobie sprawy, coby to było ono *coś*.

Po herbacie, gdy panowie zostali sami na cygara, Wilk, wierny swym celom, wystąpił niepotrzebnie z jakimiś projektami gospodarsko-administracyjnymi. Szło o budowę jakiejś drogi do stacyi kolei. Wilk ofiarował na pierwszy początek fundusz, jaki był już zebrał, mówił także wiele o swej czytelni i o książkach, jakie zawierała.

— Utrzymuję stanowczo (mówił), że czytelnie po prowincyach, przy odrobinie dobrych chęci, mogłyby wyrugować ciemnotę, gry w karty, plotki, — a przytem, zwłaszcza gospodarskie, wiele nauczyć. Oto dlaczego sprowadziłem i gospodarskie. Są to rzeczy, które każdy rozumie — proszę więc panów o współudział w zaczętej pracy.

Strączek udawał, że płacze.

— Apostole, aposto! — wołał, bez ciebie nasza okolica byłaby pustynią. Jakże tam jedwabniki, — siedzą na jajach?

Wilk nie odpowiadał.

— Jakże pan, panie Chłodno? — spytał — pan najstarszy z pomiędzy nas?

Pan Chłodno pokazał na twarzy nieco ambarasu; radby powiedzieć Wilkowi, żeby poszedł sobie do dyabła, ale bał się żony, której chodziło o angielszczyznę.

— Kiedym był młody, również robiłem podobne projekta. Pamiętam. Hrabia W... *m'adit une fois...*

— E! nie chodzi tu o hrabiego W. — przerwał niecierpliwie Wilk.

— Ale chodzi o to, *il me semble*—rzekł, patrząc w sufit Władzio, aby inicjatywa podobnych projektów wychodziła od kogoś poważnego, od kogoś, komuby można zaufać. *Mais un homme qui a un nom et de la fortune* nie robiłby podobnych projektów. Na budowę drogi np. potrzebaby kapitałów — pytanie, w czyje ręce złożyć te kapitały. Zresztą *ce sont de rêves*. Każdy z nas, większych właścicieli, ma dość kłopotów.

— Och! ile, ile! — westchnął Strączek.

— Wiesz co Strączek, chyba i ty w końcu zajmiesz się ulepszeniami... ale w czym?

Jan Hoszyński uśmiechnął się.

— Strączek! wyrabiaj kotlety ze starych żerdzi. Cóż, monsieur Wilk, *n'est ce pas possible?*

— Zarówno jak i przemiana osłów na ludzi — odparł poważnie zapytany.

Hoszyński, mimo zimnej krwi, zapłonał; szczęściem, Strączek poderwał.

— Apostole, czyżbyś i taką fabrykę miał zakładać?

— Nie mam dość kapitałów. Musiałby to być zakład olbrzymi. Żegnam pana, panie Chłodno!

— Jakim sposobem wszedł do waszego domu taki intruz? — spytał po odejściu Wilka Władzio pana Chłodno. — Ja kazałbym go lokajowi za drzwi wyrzucić.

— I ja, *mais que voulez-vous?* żona moja przyjmuje go dla angielszczyzny. Zresztą, to niebezpieczny człowiek, gotów w gazetach opisać.

— Ja mu kiedy urządzę sztuczkę — zapewniał Strączek.

— Warto by. Bez najmniejszego wychowania — dodał Jaś Hoszyński.

— Ale gdzie tam! — odrzekł pan Chłodno. — Człowiek gładki, tylko go nie za-

czepiać. Wystawcie sobie, w Warszawie bywał w najpierwszych domach.

— Co? co? — zawołano chórem.

— *Je vous assure.* Kiedym był ostatnim razem w Warszawie, pytam hrabiego W., czy istotnie bywał u niego na Wtorkach. „Bywał (powiada) — to dobra głowa. Co chcecie (powiada): „dobra głowa”.

— Czy to prawda jednak, żeby matka jego była Jazłowiecka — spytał Władzio.

— W każdej rodzinie może się znaleźć jaka taka plama — westchnął Jaś.

— Zresztą — mówił dalej — Garbowieccy stracili majątek... a bez majątku sama krew nie uratuje.

— Czego dowodem Strączek — zauważył dowcipnie Władzio.

— No, no!

— Przyznaj, mój drogi, *que vous-êtes un coquin.*

— Dla twojej przyjaźni tylko.

Wilk jednak miał zapłatę za gorycze tego wieczora. Gdy wszedł do salonu pożegnać się z paniami, w salonie nie zastał

panny Lucy; zastał ją za to w przedpokoju — kto wie, czy nie umyślnie czekała tam na niego. Na odchodnym wyciągnęła doń rękę.

— Znudził się pan z Hoszyńskimi?

— Tak.

Ręka panny Lucy zadrgała lekko w dłoni Wilka, oczy jej stały się jakieś ciepłe.

— Pan zupełnie inny człowiek — szepnęła jeszcze ciszej.

Proste słowa, a jednak Wilk radby był za nie upaść przed nią na kolana.

Wkrótce potem pisany list Wilka brzmiał, jak następuje:

„Trudno dłużej kłamać przed własnym sercem. Kocham to dziecię całą siłą niezmarnowanego uczucia. Gdyby chciała podzielić moją chatę, nie uważałbym na nic — to tylko od niej zależy. Z jakąż radością wyrwałbym ją ze zgniłej atmosfery Chłodnickiego dworu! Dziecię to czyste jeszcze: serce uczciwe, dusza archańska, umysł jasny. Ona sama czuje próżnię, jaka ją otacza, ona sama radaby się wyrwać do życia, pracy i obowiązku. Ach! drżę na myśl, że może nadejdzie

godzina, kiedy będę ją miał tu, w chacie, przy mojem sercu tę moją ptaszynę ukochaną. Zawrzała mi dusza zdwojoną energią, gorycz znikła, jasno mi i światło w piersiach; nigdym tak nie pracowałem. Wiosna! wiosna na dworze! wieje wiatr ciepły — od świtu do wieczornej zorzy jestem w polu i nie czuję zmęczenia. O Franku! samem poczuciem miłości jestem szczęśliwy.”

I były to istotnie jaśniejsze godziny jego żywota, bo zresztą szczęścia mało miał w życiu. Co prawda, sam sobie wienien. Tracił np. na czytelnicy, a skupował coraz nowe książki. Sam nawet napisał niewielki traktat o pszczelnictwie, znawcy chwalą ten traktat. W Mżynku stanęła pasieka przeszło ze stu ulów złożona; a za przykładem Mżynka poczęły się fundować w ule i inne okoliczne wioski. Jaki taki, to z chłopów, to ze szlachty zjeżdżał czasami obejrzyć wzorowe gospodarstwo w Mżynku — Wilk wykladał im swoje teorye, objaśniał, namawiał. Jedni wierzyli, drudzy nie, ale żywy przykład wiele może. Poczęto oswajać się z nim

w okolicy, poczęto przyjmować go w licznych domach szlacheckich. Wilk lepiej nawet był z jednowioskową szlachtą niż z półpankami, jak nazywał Chłodnów i całą ich koteryę.

„Gdyby nie obskurantyzm, który kwitnie w tej klasie ludzi (pisał), możnaby tu więcej zrobić. Na nieszczęście są nieukami; wolę ich jednak, niż półpanków, mniej zdudzoziemczeni, zdrowsi i t. d.”

Następne jednak jego listy mówią już o nich coraz gorzej.

„Uciekają (pisał) jak przed widmem, przed każdą, czy to własną, czy obcą myślą, która mogłaby zamącić im błogi kwietyzm ducha. Oburzano się na mnie, że sprowadziłem kilka książek „niereligijnych”. Miły Boże! są to książki naukowe, które z niereligijnością nie mają nic wspólnego. Gdybyż oni sami przynajmniej, ci, którzy tak mówią, którzy tak posądzają mnie o „wolnomularstwo”, stałe mieli swoje zasady. Przysięgam ci, że wyznają je tylko przez lenistwo, lub dlatego, że się boją żon. Dowodem, zachowanie się ich na nabożeń-

stwach, na które zresztą regularnie uczęszczają. Jest tu w kościele kaplica przy wielkim ołtarzu — panie siedzą przed ołtarzem, — panowie, by się nie mięszać z chłopami, w kaplicy. Co się tam w czasie mszy dzieje, nie uwierzysz. Pogadanka głośna kwitnie, czasem wybuchnie kto śmiechem, aż się po kościele rozlega, opowiadają się sui generis anegdotki. Co chwila usłyszysz wykrzykniki: „Niech mnie kule biją!” „Poganin jestem, nie katolik!” Przeszłej niedzieli któryś z nich ciągle powtarzał: „Furda, mości dobrodzieju!” Innym razem ktoś z zapalonych myśliwych polował sobie w najlepsze w kaplicy, zaklinając się, że jeśli nieprawdę mówi, niech go tyle a tyle, przy czem udawał strzały i szczekanie psów. Cóż Franku? to budujące! A jednak ciż sami nazywają mnie „massonem”, ciż sami powtarzają przy każdej okoliczności, że człowiek bez religii gorszy psa”.

Widzimy, że nawet miłość do Lucy, nie nauczyła Wilka patrzeć weselej na ludzi. A tymczasem miłość ta wzrastała szybko i ogarniała go całego. Wyłamaw-

szy się raz z pod form, przyjętych powszechnie przez ludzi dobrego tonu, szedł we wszystkim za głosem swej bujnej natury. Stosunki, łączące dwoje młodych ludzi, stawały się coraz niebezpieczniej-sze. Pani Chłodno, licząc na rozsądek i dobre wychowanie Lucy, nie bywała przy lekcjach, a tymczasem zbliżenie się dwojga młodych pobudziło zażyłość, za-żyłość przeszła w przyjaźń, a nakoniec przyjaźń — ze strony Wilka, w głębokie przywiązanie.

Zresztą Wilk, w innych razach, przyznać należy, dość silny — w stosunkach z Lucy był o wiele słabszym. W częstych sam na sam (bo słabowita Bogunia nie zawsze mogła być obecną) Wilk miękł jak wosk. Przytem Lucy drażniła jego mi-łość własną.

— *Dites-moi* — rzekła pewnego razu w przystępie egzaltacyi—*dites-moi*, skąd pan bierzesz tyle siły do walki przeciw wszystkim i wszystkiemu?

Wilk spojrział na nią: głos jej drżał, dziewczęca pierś wznosiła się i opadała szybko, w oczach świeciła niby jakaś nie-

określona chęć, jakieś niewyraźne żądanie i gorączkowy niepokój.

— Skąd sił tyle? — powtórzyła jeszcze.

— Z poczucia obowiązku, pani.

— Ach! ja uwielbiam w panu tę siłę... ja jej zazdroszczę! Pan jednak musi pogardzać ludźmi?

— Nigdy nie pogardzałem niemi.

— Nie! nie! Pan musisz pogardzać niemi... pan ich nienawidzisz... *mais* (tu postać p. Lucy nachyliła się, a ręka jej spoczęła na ręku Wilka)... *mais vous n'êtes pas mon ennemi? vous ne me méprisez pas?*

Wilkowi pociemniało w oczach; schylił głowę i sam nie wiedział, kiedy wpił się ustami w tę małą rączkę, spoczywającą na jego dłoni.

W drugim pokoju dały się słyszeć kroki pani Chłodno.

— *I love, Thou lovest, He loves* — zaczęła szybko odmieniać Lucy.

— Lucy! przyjechali panowie Hoszyńscy — rzekła mama.

— *We love, You love, They love...*

— *Mon Dieu! comme elle fait d'énormes progrès* — ucieszyła się pani Chłodno.

Tymczasem i Wilk otrząsnął się z wrażenia. Trzeba było iść do salonu.

W salonie siedzieli Hoszyńscy. Strączek, ujrzawszy Wilka, zawołał:

— Hej!.. apostołe i proroku! gotowe tam pioruny? odbierają ci chleb — gotuj pioruny!

Wilk milczał pogardliwie; nadto był dziś szczęśliwy, żeby odpowiadać na bezcelne dowcipy Strączka.

— Ach! — zawołał ten ostatni ze źle ukrywanym pod maską dowcipu gniewem. Z wysokości, na której stoisz, apostołe, nie raczysz odpowiadać tak nędznym robakom, jak ja! Dobrze więc: dowiedz się, że możesz odesłać do Warszawy swoje książki.

— Panie Strączek, gdybyśmy byli w męzkim towarzystwie, inaczejbym panu odpowiedział.

— Ho! ho!

— Istotnie, panie Strączek, wesołość powinna mieć pewną miarę — zauważyła pani Chłodno.

— Strączek! — zawołali obaj Hoszyńscy.

Strączek połknął gładko napomnienie i zaczął się tłumaczyć.

— *Pardonnez mois madame!* ja tylko mówię, że pan Wilk może odesłać do Warszawy swoje książki, chyba że chce zakładać księgarnię w N.

— Dlaczego?

— Niech paniom Władzio powie.

Władzio uśmiechnął się zimno i tak zaczął:

— Każdy z nas obywateli pojmuję potrzebę czytania, chodzi tylko o to, żeby nikt nie narzucał się nam gwałtem na przewodnika. Obywatelstwo może obejść się bez opieki nieznanych mu osobistości. Otóż ja, powodowany tą myślą, zrobiłem projekt, na który większość obywateli się zgodziła i... (tu Władzio obrócił się do pani Chłodno)... *Monsieur votre mari aussi.*

Panna Lucy skrzywiła zlekka usteczką; Hoszyński bystro uchwycił wzrokiem jej grymasik, uśmiechnął się i mówił dalej:

— Co miesiąc za kilkanaście rubli kupujemy książek w Warszawie, które rozsyłają się kolejno po domach, należących

do składki, a następnie dzielą się i pozostają jako własność.

Tu Władzio spojrział jowiszowemi oczyma na Wilka. Istotnie, postąpił sobie niezmiernie zręcznie, bo Wilkowi, jeśli nie chciał okazać, że powoduje nim tylko miłość własna, nie pozostawało, jak przyklasnąć nowemu projektowi.

Był to dla niego cios, bądź co bądź, bardzo bolesny, tak przynajmniej zdawało się Hoszyńskim. Strączek był uszczęśliwiony. Pani Chłodno ustroiła słodko-kwaśną fizyognomię. Panna Lucy rzekła na odchodnem Wilkowi:

— Musi to panu być przykro, bardzo przykro.

— Nie. Gdyby nie moja czytelnia, czyżby stanęła czytelnia Hoszyńskich?

— To prawda.

— Byle wybór książek był dobry i pożyteczny.

Ale Wilk sam się zwodził. Był to cios dla niego, jak mówiłem, bardzo bolesny. W każdej sprawie, bardziej ogólnej natury, biegnie i krzyżuje się mnóstwo nici spraw osobistych. Nikt nie potrafi tak da-

lece wyjść ze siebie, żeby czynów swych nie zabarwiał szczyptą miłości własnej. Gdyby kto inny, nie Hoszyński, stanął na czele przedsięwzięcia, mniejby to dotknęło Wilka, ale między nim a Hoszyńskim panowała skryta nienawiść. Wilk w czynie ostatniego widział tylko chęć dokuczenia mu. Zresztą, lubo wybór książek Hoszyńskiego pochwaliliby każdy dobrze wychowany człowiek, Wilk piorunował nań w listach do przyjaciela.

„Dotychczas nie sprowadzono ani jednej polskiej książki, pisał. Czytają romanse francuskie, bez grosza sensu, sprawy kryminalne i najrozmaitsze baliwerny. Takie czytanie szkodę tylko przynieść może. Byłem naiwny, wzywając ich do pomocy. Moje książki czytam ja tylko i dwie lub trzy córki urzędników, które, w braku czego lepszego, kochają się we mnie i dlatego ziewają nad mojemi książkami i t. d.”

Jakoż kłopoty Wilka rosły z dnia na dzień. W chmurnem jego a pracowitem życiu, weselszą stronę stanowiły tylko lekcy u Chłodnów. Lucy robiła zadziwiające postępy, uczyła się z taką gorli-

wością, że często na twarz jej występowały gorączkowe rumieńce.

— Lucy! Lucy! — przestrzegała mama — nadto żywo bierzesz się do rzeczy.

Była w tych słowach głęboka prawda.

Prawdziwych stosunków między dwojgiem młodych ludzi domyślał się tylko sam Władzio Hoszyński. Nie chodziło i jemu, jak potem mówił, o Lucy, ale także o obrażoną miłość własną. Zaginał i on, wśród księgi wspomnień, dla Wilka tę kartę, „co o krew woła” — jak mówi poeta, a po naszymu, jeśli nie o krew, to przynajmniej o należyłą satysfakcję. Nie sądził jednak rzeczą dość bezpieczną uciekać się do jakichś niedyplomatycznych kroków z Wilkiem. Samo nazwisko rywala budziło w nim wstręt niewypowiedziany. Strączek, który miał pewne filologiczne zdolności, rzekł mu raz:

— Czy wiesz, Władziu, co znaczy nazwisko Wilk Garbowiecki.

— Co?

— Wilk, to znaczy wilk, a Garbowiecki, to od garbować. Przodkowie jego pewno musieli skóry garbować.

— Głupiś Strączek! — odrzekł Władzio.

Czy wyrażenie: „garbować skóry” rozumiał w innym sensie, niż chciał Strączek — trudno wiedzieć.

Nie używał tedy kroków niedyplomatycznych, ale używał dyplomatycznych: „Człowiek powinien być dyplomata, co do mnie, mam to we krwi” — powtarzał.

I poradził sobie w ten sposób, że swe niepokoje wyłuszczył panu Chłodno, a pan Chłodno zainteresował małżonkę.

— Dlaczego nie każesz pannie Gilbert siedzieć przy tych lekcjach? — spytał.

— Ach! jak ci panowie krótko rzeczy widzą... Pannie Gilbert?.. Dziękuję... żeby jeszcze jakie romanse rozpoczęły się w moim domu! Ty, naturalna rzecz, nie rozumiesz tego, bo ty wogóle mało rozumiesz.

— *Ma chère*, już zaczynasz...

— Ach! nauczycielki! Naturalna rzecz, że ty nie rozumiesz tego, jakie to romansowe. Romans pod moim dachem... O, o, o!

— A choćby się też i pobrali z Wilkiem?

— To by mi nie szkodziło, ale ludzie tego tonu, przed pobraniem, uważają za obowiązek kochać się wzajemnie — stąd zły przykład dla Lucy... Ona taka jeszcze naiwna!..

— Hoszyński krzywi się trochę o te lekcye.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! dostarcz funduszków, to pojedę do Warszawy i tam Lucy będzie brała od metrów...

Pan Chłodno na wzmiankę o funduszach miał się ku drzwiom.

— Zresztą — mówiła dalej pani — na Hoszyńskiego będzie zawsze dość czasu. Dziś mam inne plany dla Lucy.

— O co idzie?

— To się pokaże. Dostarcz tylko funduszków, żeby Lucy było za co ubrać...

Pan Chłodno trzymał za klamkę.

— Tymczasem sama bywaj na tych lekcjach — rzekł.

— Alboż nie bywam, o ile migreny pozwalają mi na to? Ale ja nie zawsze mam dość sił, jam czasem ledwo żywa...

Ty umiesz radzić... a jak chodzi o fundusze...

Pana Chłodno nie było już w pokoju.

Jednakże od tego czasu bywała częściej na lekcjach pani Chłodno, co widocznie gniewało mocno pannę Lucy. Przy matce okazywała się dla Wilka nadzwyczaj zimną, a nawet traktowała go z pewną dumą. Cieszyło się tem macierzyńskie serce, widząc nieodrodną krew swoją, ale Wilk gryzł się i posepniał coraz bardziej.

Kłopoty spadały nań ze wszystkich stron; czytelnia nie szła, mogło ją teraz utrzymać samo miasto, ale i z miastem stosunki bywały nienajlepsze. Wilk zadrasnął ambicyę i tego świata. Na szczęście wstydzono się go tam i bano potrochu, jednakże niechęć rosła. Wróciwszy pewnego razu od Chłodnow, Wilk zastał u siebie pana Ludwika.

— A! pan Ludwik! — zawołał. — No, cóż tam słyhać?

— Panie dobrodzieju, niepodobna dłużej wytrzymać.

— Z czem?

— Z księgarnią. Niech się co chce dzieje, ja dłużej nie mogę panu pomagać.

— Dlaczego? Co to znaczy?

— A to pokoju nie dadzą!

— Kto?

— Od bibliotekarzy wymyślają — wołał żałośnie pan Ludwik — od uczonych wymyślają!

— Śmieją się z nich, panie Ludwiku.

— To oni się ze mnie śmieją.

— Na głupców możesz nie uważać.

— Strać głowę, komu wierzyć. Oni mówią, że to ja głupi.

— A tobie, panie Ludwiku, jak się zdaje?

— I między szlachtą straciłem reputację!

— To nadewszystko!

— Ucieszyłem się, dowiedziawszy, że i panowie Hoszyńscy zakładają czytelnię, bo myślę: musi to być coś dobrego, kiedy i tacy ludzie się do tego biorą. A tu pan Strączek złapał mnie przed kościołem i wobec całego świata nawymyślał: „Ty Ludwisiu (powiada) głupi byłeś i będziesz. Ty (powiada) w to się nie wda-

waj. I Wilk (powiada) wyleci z tej okolicy i ty wylecisz, a nie, to ci nikt uczciwy ręki nie poda.”

— Słuchaj, panie Ludwiku — odparł Wilk.—Strączek to jest łotr, a Hoszyńscy sprowadzają francuskie książki, żeby ludzi truć. Jacy to ludzie? — powiadasz — to mi dopiero ludzie! grosza złamanego nie warci! A ja dam sobie rady i ze Strączkiem i z niemi, a jak będzie potrzeba, to choć i przez kij przesadzę.

— Panie dobrodzieju, Hoszyńscy obywatela... kamerdynera mają...

— Bogdaj takich nie bywało. Ty zaś, panie Ludwiku, rób sobie co chcesz — pamiętaj tylko, że ja coś mogę u panny Kamilli. Jeśli na ciebie spojrzę, jak się wyrzekniesz czytelnicy, to ja nie jestem Wilk. Rób sobie co chcesz, ale to moje ostatnie słowa.

Poczem długo jeszcze Wilk mówił o zasługach, jakie będzie miał pan Ludwik, podejmując się i nadal czytelnicy. Wreszcie pokazał mu artykuł jednego z pism warszawskich, które chwaliło pomysły i wspominało, że książki złożone są

u pana L., przyjaciela oświaty i urzędnika w N.

To ostatecznie pokonało poczciwca. Z pewną nawet dumą zabrał gazetę do miasta, żeby na najbliższym wieczorze pokazać ją panie Kamilli.

Jakoż u państwa kasyerstwa, gdzie zwykle grano i bawiono się wybornie, pan Ludwik, wstąpiwszy na urzędzoną na ten cel z krzesel trybunę, odczytywał artykuł gazety o czytelnikach. Na chwilę zapanał entuzjazm ogromny; gazetę wydzierano sobie i przepisywano na wiele rąk, a i Wilk i pan Ludwik tak ogromnie urosli w oczach towarzystwa, że postanowiono, by odtąd, mówiąc o nich, dodawać zawsze: *nasz*, t. j. mówić: *nasz* pan Ludwik z *naszym* Garbowieckim, albo: *nasz* Garbowiecki z *naszym* panem Ludwikiem. Na czytelnię Hoszyńskich oburzenie było powszechne z tego powodu, że nie dopuszczano do niej urzędników. Pan Ludwik, choć, jak mówił, pochodził ze szlachty, wyrzekał się jej jednak za arystokrację i za zadzieranie nosów; zdjął nawet z palca herbowy pierścionek i scho-

wał go do kieszeni. „Dobrze im tak, mówił w przewidywaniu jak ten fakt zasmuci szlachtę, sami tego chcieli, niech się nad porządnych ludzi nie wynoszą.”

Gwarno więc było i rzeczy składały się dla Wilka i jego czytelnik jaknajlepiej... nagle z ust sekwestratora, czytającego dalej gazetę, wyrwał się niespodziany krzyk oburzenia.

— Co tam nowego? coś tam znalazł?—
zawołano chórem.

Szlachetna twarz sekwestratora płonąła gniewem; przez chwilę mowa była mu nawet odjęta, wreszcie uderzył pięścią w stół.

— Zdrajca! oszczerca! Judasz Iskaryota! — krzyczał z pełnej piersi, aż szyby zatrzęśły się w oknach.

— Kto oszczerca? Kto Judasz Iskaryota?

— Wilk! Wilk! Wilk! Czytajcie! Czytajcie!

Rzucono się skwapliwie do gazety. Pan Ludwik począł czytać.

Artykuł brzmiał, jak następuje:

„W numerze dzisiejszym gazety podaliśmy wiadomość o czytelnicy założonej w N., oto co nam piszą jeszcze w tym przedmiocie z tamtych okolic:

„Chęć do czytania rozpowszechnia się u nas niezmiernie powoli. Miejscowe towarzystwo przekłada do dziś dnia karty, butelki, plotki — słowem, cokolwiekbądź, byle nie książki. Mężczyźni całe dni przesiadują w miejscowych knajpach, damy zaś (poruszenie niespokojne między damami) wolą spędzać czas przed lustrami na ratowaniu podejrzanych wdzięków z pomocą również podejrzanych kosmetyków (fałsz! fałsz niktzemny!!), lub obmawiając się wzajemnie. Dla panien najmilszym zajęciem jest siedzieć całymi dniami w oknach (ach!) i przypatrywać się wypomadowanym kawalerom (fe! fe!), rzucającym czułe spojrzenia na pudrowane twarze (niemoralność!). Zaledwie kilka wyjątków woli poważniejszą rozrywkę, niż podobne zabijanie czasu, zarówno lekkomyślne jak naganne” (krzyki, zamieszanie, hałas).

Jeżeli masz, o czytelniku! pojęcie, co się obecnie dzieje w izbach francuskich,

zaledwie zdołasz wyobrazić sobie, co się działo na wieczorze u państwa Kasyerstwa. Uchwalono unanimitate zemstę; postanowiono spalić czytelnię lub wyrzucić ją na ulicę. Panowie: Ludwik, Antoś etc. etc... słowem, wszyscy, czujący zarówno obrazę honoru jak i niegodziwość postępku Wilka, uchwalili przelać krew jego „z pomocą oręża lub broni palnej”.

Wilk jednak, nietylko nie uląkł się pogróżek, które też istotnie nie przysły do skutku, ale napisał i drugi artykuł o okolicznem obywatelstwie. Artykuł ten odczytywano na liczmem zebraniu u hrabiego Sztumnickiego, który miał zwyczaj przyjmować szlachtę z nogami założonemi na stół. Tu mniej było krzyku, bo hrabia chory na mlecż pacierzowy nie znoził hałasu — i tu jednak postanowiono pozbyć się Wilka za jakąbądź cenę. Delegowanym od szlachty był Strączek, który obiecywał spłatać Wilkowi („dość już panowie cierpliwości!”) takiego figla, że „albo się wyprowadzi z tej okolicy, albo... panowie!.. no! no!”

Zawisły tedy chmury nad naszym bohaterem, a on tymczasem orał sobie spokojnie rolę w Mżynku, uczył parobków i panny Chłodno, kochając się za jedną drogą w Lucy. Miło jest, kiedy się człowiek kocha, podłożył sobie ręce pod głowę i ległszy w wygodnym fotelu, pomażryć o przedmiocie miłości — Wilk tego nie umiał. Pracował. Pola na Mżynku pozieleśniały z wiosną bujnie, jabłoń strzeliła kwiatem, drogi i dróżki zmieniły się w aleje, sadzone płonkami owocu i morwy, powznosiły się nowe budynki, rozkwitło wszystko ładem i dostatkiem. Radowało się dzielne serce Wilka, a ruchliwy umysł jego tworzył coraz nowe plany. Plany te były dwojakie: tyczące się ogółu — i osoby Wilka. W pierwszych miesiący się nowe przedsięwzięcia, ulepszenia, czytelnie, o drugich pisał Wilk do przyjaciela w ten sposób:

„Powinienem, a nie śmiem dotychczas, powiedzieć Lucy, że ją kocham, choć prawie pewien jestem jej wzajemności. Po otrzymaniu formalnego z jej strony wyznania, natychmiast wystąpię jaw-

nie, bo boli i wstydzi mnie już ta tajemnica, w jakiej trwają stosunki nasze. Bądź co bądź, dzieci tylko lub nikczemnicy działają z ukrycia, ale w warunkach, w jakich żyję, nie mogło z początku być inaczej. Wystawiam, ile będę miał przejść z państwem Chłodno i z Hoszyńskimi, jeśli jednak Lucy się zgodzi, nie cofnie to na krok moich zamiarów. Powiadam: wszystko zależy od Lucy i dlatego... mam dobrą nadzieję. Przed sobą widzę dziś ołtarz, a dalej—chatę, dziś cichą, zaludnioną jej szczebiotem, a jeszcze dalej—pracę i znój, działanie na szerszem polu, dzielną czynność na zewnątrz, spokój na wewnątrz... postęp! Boże, daj mi siłę!”

Lekcy angielskiego szły z całą punktualnością. O ile się przy tem dało, Wilk wykladał pannie Lucy swoje teorye o życiu i jego obowiązkach. Jednego dnia, kiedy mama Chłodno miała migrenę, a Wilk mówił żywiej, niż zwykle, Lucy spytała go dość znieńacka:

— Mama mówi, że ja jestem egzaltowana. *Dites-moi...* Ach! prawda — pan nie lubi, kiedy mówię po francusku, a za-

tem: *Dites-moi, est-ce que c'est vrai, que je suis tellement exaltée?*

— O ile egzaltacją zwie się miłość do wszystkiego, co dobre — to prawda.

— Pan musi być... *mon Dieu!*.. bardzo dobry?

Wilk zaczerwienił się zlekka, a serce zabiło mu tak żywo, że aż odzienie poruszało się na piersi.

— Dlaczego pani to mówi? — spytał stłumionym głosem.

Loki Lucy znalazły się tak blisko twarzy Wilka, że zapach jej warkoczy dochodził do jego powonienia. Powoli, bardzo powoli podniosła nań oczy i rzekła:

— Mówię to, bo... Jakto miłość po angielsku, panie Wilk?.. Jak pan to słowo dziwnie jakoś wymawia?..

Suknia muślinowa Lucy również dziwnym trafem obwinęła jego nogi.

— O, ja jestem egzaltowana!.. nie prawdaż?

— Co pani jest dzisiaj?!—spytał drżącym głosem Wilk.

— Co mi jest?.. nie wiem... Tak mi jakoś słabo! — mówiła, szepcząc... — Czy

pan kiedy kochał kogo, panie Wilk?..
tak mi słabo!.. Boże! co się ze mną
dzieje?!

Głowa jej spadła nagłym ruchem na
piersi Wilka...

I on pewnoby nie powiedział, co się
z nim teraz działo.

Kiedy się wreszcie opamiętał, kiedy
chciał przemówić do Lucy w imię speł-
nionego przed chwilą faktu, nie było już
jej w pokoju.

Był za to pan Chłodno, który, puszc-
zając dym z ogromnego bursztyna, po-
łożył spokojnie rękę na ramieniu Wilka
i wedle zwyczaju „*il le regarda tout-à-fait
comme un vrai loup.*

— Jakże tam lekye idą? *Comment
cela rat-il?* — spytał.

— A! bardzo dobrze!

— Może już dosyć umieją?

— Po paru jeszcze lekcyach.

— To bardzo dobrze. Będę *mu* bar-
dzo wdzięczny za te lekcye.

Wilk skrzywił się trochę.

— Zbytek dobroci — rzekł.

— Nie, Nie! wcale nie zbytek... Ale *à propos*: mam do pana interesik. Czy to pan pisał ten artykułik w gazecie?

— Ja pisałem.

— O! to niedobrze!

— Tak pan znajduje?

— I hrabia Sztumnicki jest tegoż samego zdania. Jakto niedobrze zrażać sobie takich ludzi.

— Opinia hrabiego Sztumnickiego jest dla mnie obojętną.

— Nawet opinia hrabiego Sztumnickiego? Zresztą, całe obywatelstwo jest niezmiernie oburzone. Pan niepotrzebnie się narażasz, panie Wilk, po co było pisać ten artykuł?

Wilk podniósł z dumą głowę.

— Odpowiadam za niego — rzekł.

— Kiedy wcale nie o to chodzi; ale pozwól pan sobie zrobić parę uwag. Ja sam cenię literaturę. W młodości pisywałem nawet wiersze i *parole d'honneur!* wcale niezłe. Ale chodzi o to, czem literatura być powinna? Owszem, gdyby podnosiła piękne strony obywatelstwa, gdybyśmy zakrywali wzajemnie nasze wady,

ucz yli innych, kogo mają uważać za czoło społeczeństwa... literatura taka przyniosłaby korzyść i czytającym i piszącemu. Między nami, wierz mi pan, jest wielu ludzi zarówno dobrze urodzonych, jak i postępowych. Literatura powinna być ostrożną — czy nie prawda? Pominę już, że niegodnie jest wykazywać błędy starszych... ale, gdybyś pan nawet prawdę mówił, każdy się spyta, skąd masz prawo prawdę mówić.

— Szanowny panie! stajemy na rozdrożu.

— Hrabia Sztumnicki był niezmiernie oburzony. „Sprowadziłem (powiada) konie angielskie, kupiłem w Wiedniu kocz, kupiłem tryka u Malcana, jestem popularny, witam się z każdym, — trzymam ilustrację francuską — o tem (mówił) pan Wilk nie raczył wcale wspomnieć.”

Wilk roześmiał się.

— Pan się śmieje, a całe obywatelstwo się oburza jego artykułem. My wszyscy idziemy za postępem. Hoszyński np. ma buldoga, do którego mówi po niemiecku, a sprowadził go z Wrocławia, bo,

jak powiada, w Niemczech wszyscy mają psy takie. I pan temu nie zaprzeczysz?!

— A, a! nie zaprzeczę.

— Pan skończyłeś uniwersytet i mógłbyś, gdybyś chciał — naturalnie, gdybyś chciał — stać się nam i potrzebnym i pożytecznym. Słusznie, że pan gani urzędników, ale o nas należałoby mówić inaczej. Gdyby tak np. zagładzić jakim artykułem przykre wrażenie i napisać nowy, podnoszący opinię obywatelstwa—co?

— A co?

— Napisz pan tak: „*Donoszą nam z N...skiego, że tamtejsze obywatelstwo przez szlachetność*” i t. d. Albo: „*Pewną jest rzeczą, że wskutek wybornej uprawy roli i rozumu obywatelstwa zboże tam wydaje*” i t. d. Panbyś to potrafił. Nieźle byłoby wspomnieć, że obywatelstwo tutejsze dlatego tak dobrze może gospodarować, że, siedząc od dziada pradziada na jednej roli, zna ją dobrze. Cóż pan na to?

— Nic, panie. Aż do tej chwili pamiętałem, że mówię z ojcem dzieciom.

Poczem Wilk wstał i wyszedł. W salonie zastał panią Chłodno, która poże-

gnała go jakoś oziębłe, ale on nie zważał na to.

Po drodze wesoło machał kijem, ścinając przydrożne zioła. Księżyc świecił, cicho było w powietrzu, jako zwyczajnie pogodną nocą letnią. Nagle Wilkowi zdawało się, że słyszy jakby odgłos łamanych drzewek. Staął i słuchał. Tak jest, ktoś łamał drzewka owocowe, któremi Wilk obsadził drogę. Wszystkie krew uderzyła mu do głowy.

— Kto tu? — krzyknął grzmiącym głosem.

Jakaś biała postać zaczęła co sił uciekać ku gościńcowi. Wilk skoczył za nią jak błyskawica i w tejże chwili był tuż przy niej. Jakiś ogromny chłop, widząc, że nie uciecze, obrócił się groźnie, trzymając siekiere w dłoni.

— A co ty, panku! myślisz, że ja się boj...

Stęknął i nie dokończył. Wilk jednym zamachem żelaznej ręki obalił go na ziemię i, klękawszy mu na piersiach, ryknął:

— Łotrze!

— Oj, panie! zlitujcie się! żona, dzieci! zlitujcie się... bójcie się Boga! Mnie zapłacili, żeby ja to zrobił!

Wilk puścił go i podniósł, jak dziecko za kołnierz.

— Kto cię zapłacił?

— Wielmożny panie! to pan Strączek, żeby go wciornaści! Ja mam żonę i dzieci. Powiada: „Idź ty, Bartek, wyłam Wilkowi drzewa, dostaniesz po złotemu od sztuki. Tak i poszedłem. On powiada: „Drzewka młode, łatwo się złamają”, a to, wielmożny panie, twarde licho, co i bez siekiry nie podolisz.

— Skąd ty jesteś?

— Od Hoszyńskich.

— Bartek! zrobiłem ja ci krzywdę kiedy?

— Nie.

— A tyś mnie za co krzywdził?

— Za złoty od sztuki, wielmożny panie. Nie chciał dać więcej.

— To pójdiesz ty, Bartku, do sądu na srogie ukaranie i święty Boże nie pomoże, a Strączek swoją drogą mi zapłaci.

Tu zaczęły się modły, zaklęcia i przeprosiny, ale, niestety, Wilk nie należał do idealnej szkoły wielbicieli poczciwych kmiotków, a może i łagodności miał za mało — słowem, poszedł nieborak Bartek do sądu.

Wilk polecał nazajutrz osobiście do Strączka i do Hoszyńskich i, kto wie, coby się stało, szczęściem, nikogo z nich nie zastał w domu. Ale co się odwlekło, to nie uciekło. Sprawa poszła do miejscowych sądów. Wilk wygrał ją, choć żadną miarą nie mógł uzyskać wyroku, jakiego pragnął najbardziej. Chodziło mu o to, żeby Strączek poszedł do kozy, ale Strączek skazany był tylko na karę pieniężną, którą Wilk obiecywał sobie oddać na pomnożenie czytelników.

Cały wyrok wydany był zaocznie. Strączek, dowiedziawszy się o tem, kazał odpowiedzieć jednym słowem:

— Dobrze.

Przykro jednak było naszemu bohaterowi, tembardziej, że od tego czasu posypały się nań klęski jedna za drugą. Wypadło znów kilka szkód w polach, wy-

pasano mu lucernę, kradziono pszczoły, a i w mieście doznawał tysiąca najrozmaitszych przykrości. Czy się tem gryzł, czy nie, trudno powiedzieć, to tylko pewna, że im więcej doznawał przeszkód, tem większe i wytrwalsze rozwijał siły oporu.

„Ja sobie dam radę (pisał do przyjaciela). Przewidywałem, kupując Mżynek, ile trudności będę miał do zwalczenia. A no, jednak burzy się we mnie krew i wyczerpuje cierpliwość. Zbyt mi w drogę włożą i mogą zapłacić za to drożej, niż myślą. Nietyle jednak boli mnie samo prześladowanie, ile nikczemność, która leży na dnie tego wszystkiego. Toczy się skryta walka w ciemnościach, ale ja wyrwę ją na światło dzienne. Nie upadam jednak na duchu. Myśl, że wśród ciemnoty i głupstwa, jakie mnie otacza, mam i ja skrzydlatego sprzymierzeńca, niby anioła opiekuńczego — myśl ta dodaje mi sił, ale i łagodzi mnie. Chcę mówić o Lucy. Nie mów ty mi w swych listach o niej z przekąsem, ani odzywaj się mi półsłówkami. Kocham ją i ufam jej. Stosunki nasze stały się takie, że uważam sobie za obo-

wiązek wystąpić jaknajprędzej z prośbą o jej rękę. Niknie wszelka gorycz, gotowem wszystkim wszystko zapomnieć, jeśli ona mnie wysłucha. A mam wszelką pewność! Może dziś lub jutro rozstrzygną się losy moje.”

Jakoż nie potrzebował długo czekać. W kilka dni po owym liście, wyszedłszy na oglądanie nowej jakiejś szkody, spotkał państwa Chłodno na spacerze. Oboje rodzice szli piechotą z nauczycielką i Bogunią, panna Lucy zaś konno harcowała po polach i drogach, na jakie pół wiorsty przed rodzicami. Spostrzegłszy Wilka, podniosła szpicrutę do kapelusza na znak powitania. Ręka jej spadła po amazonce, szukając dłoni Wilka.

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykam; pójdziemy cokolwiek naprzód — pokaże mi pan swoje królestwo: *bonjour! bonjour!*

Królestwo Wilka istotnie ślicznie wyglądało w ulewie promieni słonecznych, a i on także nigdy nie czuł się więcej królem.

Ręka panny Lucy nie puszczała jego dłoni, owszem, w długim i pełnym tajemnych drgań uścisku ręka ta zdawała się mówić:

— Oto nie możemy sobie pozwolić więcej, bo patrzą na nas, ale nie rozłączajmy się.

— Teraz albo nigdy!—pomyślał Wilk.

Dziwna jakaś a nieznana bojaźń ścisnęła mu serce. Jakoż chwila była dlań ważna; — od paru słów zawisła jego przyszłość.

Usiłował przemówić... i nie mógł, brakło mu słów, jak temu, co pierwszy raz prosi o pożyczenie pieniędzy... Nowicyusz!

— Co pan taki poważny dziś, nawet smutny? — spytała Lucy.

— Jam tylko szczęśliwy.

Nowy uścisk dłoni dodany był jako komentarz dla stron obojga.

— Czy znalazł pan kwiat paproci, czy czterolistną koniczynę?

— O! mój kwiat stokroć piękniejszy!

— Głos panu drży... Gdzież pana szczęście?

— Przy mnie.

— Nikt nas nie słyszy... mów pan.

— Moje szczęście od pani zależy.

— Odemnie?

— Tak!

— Uściśnij mi mocniej rękę... odemnie?

— Kocham.

Pochylili się ku sobie młodzi, jakby dwa kłosa; niby szmer pacałunku przeleciał przez powietrze.

Wilk nagle pobladł, wyprostował się na całą wysokość i odkrył głowę.

— Lucy! podaj mi rękę na zawsze, bądź żoną moją.

— Co?

W Wilka niby piorun nagle uderzył. Lucy stała od niego na cztery kroki; gniew i zadziwienie malowały się na jej twarzy.

— Panie Wilk!

— Pani!..

— Panie Wilk! nie zapominaj, do kogo mówisz!

— Przez Boga żywego? co to znaczy!?

Panna Lucy odchodziła od siebie z oburzenia.

— To znaczy, żeś pan postąpił ze mną niegodnie, nieuczciwie, nieszlachetnie, żeś pan nadużył mego zaufania, że to obraża mnie!

Fale krwi uderzyły na twarz Wilka; zamiast odpowiedzi, schwycił za cugle konia Lucy.

— Puść mnie pan, lub zawołam papy!

— Wołaj! Musisz mnie słuchać! Przy wszystkich i w imię wszystkich pocałunków pytam raz jeszcze, co znaczą twoje słowa?!

Wilk trząsał się febrycznie, a oczy jego rzucały błyskawice. Panna Lucy naprawdę przełękała się teraz pogróżki; wszak to ona pierwsza rzuciła się ongi na piersi Wilka.

— Czego pan chcesz odemnie?

— Wyjaśnienia, coś pani myślała, zezwalając na uściski i pocałunki? czyś się bawiła ze mną? czy rozumiałaś, do czego to prowadzi? czy rozumiesz dziś, że to obowiązuje? — Czy brak ci serca, czy rozumu?

— Boże!..

— Mów! bo przy wszystkich o to pytać będę!

— A czy ja co winna!.. Jaż się tak nudziłam w Chłodnicy!..

.

Wilk już nie pytał więcej: zrozumiał wszystko. Nudziła się biedaczka w Chłodnicy, zatem *pour passer le temps* wymyśliła sobie zabawkę. Przytem miała lat dwadzieścia, więc nerwy jej nadały zabawie koloryt może zbyt ciepły. Gdyby miała lat z ośm, a Wilk z dziesięć, nazywałoby to się zabawą *w męża i żonę*. Ale w tym wieku, w którym byli, już się w męża i żonę nikt nie bawi. Bawią się za to w inną grę (bardzo zabawną) *kochanka i kochankę* — czasem mówią także—*w miłość*. Ale to jest tylko zabawa i nic więcej, Wilk brał ją nadto seryo. Cóż Lucy o niej myślała? Myślała, że Wilk jest pięknym mężczyzną, a czuła, że wzburzone nerwy dobrze koją się pocałunkami. Temu, ktoby chciał cokolwiek jej zarzucać, możnaby odpowiedzieć, że postępowała z dobrą wiarą; a że tam Wilk mógł przyplacić zbyt drogo, nie

przyszło jej na myśl. Przecie rodzona matka nazywała ją naiwną. Ale pani Chłodno nie zupełnie myliła się, licząc na rozsądek i dobre wychowanie córki. Lucy cofnęła się przed mezialiansem...

A tu, czytelniku, maleńkie wyznanie na korzyść naszych salonów. Ile tam pocałunków przemknęło się po obsypanych ryżową mączką obliczach — nie nasza rzecz! mezialiansów jednak nie widzimy. Inna rzecz powiedzieć komuś: „kochajmy się, póki będziemy mogli”. Za to potem, gdy czas przeminie, mówi się:

„Ja cię wiecznie będę... wspominać,
„Ale twoją być nie mogę.”

Opinia publiczna jest światłem, kogo oczy bołą, sprawia sobie umbrelkę—męża. Wielu młodzieńczych gier by nie bywało, gdyby nie nerwy—te nieszczęśliwe nerwy!

Wszystko to jednak dobre dla nas; Wilkowi chyba na to się przydało, że

„ na pocieszenie
„Słodką mu zostawiono rzecz — bo doświadczenie.”

Puścił konia Lucy. Mógł jej wprawdzie powiedzieć, że postępował uczciwie, że bez takiego rozwiązania, jakie rzeczom

nadał, stosunki ich byłyby poprostu niemoralne, że pragnął uszlachetnić je i t. d. Mógł i wiele jeszcze powiedzieć, ale na coby to się przydało? Puścił konia Lucy... i nie skinąwszy jej głową, wrócił powoli do siebie.

A wracał bardzo powoli. Wracając, czuł tylko, że stało się z nim coś niezwykłego.

W pełnym zamętu kołowrocie myśli z wysileniem polował na iskierkę świadomości siebie, na wyraźne przynajmniej odbicie spełnionego faktu.

Dziwna rzecz! Nie czuł nawet żadnego bólu, nie rozpaczał, poprostu był ogłuszony.

Po długiej dopiero pracy uchwycił pewien rezultat wypadków. Rezultat ten był taki:

Po pierwsze — stracił Lucy; po drugie — sponiewierano go; a po trzecie...

Trzecia myśl trudna była do sformułowania. Ma ją mniej więcej człowiek wtedy, gdy mówi: „Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że jestem głupcem.” Refleksya niezbyt bolesna, ale okoliczności, wśród

których stał Wilk, czyniły ją dlań może boleśniejszą, niż dwie poprzednie. W praktyce życia szła za nią utrata wiary w ludzi, miłości do ludzi i nadziei, żeby kiedyś było lepiej, niż jest.

Wilk przesiedział bezsenny całą noc.

Ważyli się jego losy w samotnych godzinach bólu i rozmysłu. Godziny takie stanowią przełom w życiu. Ranek miał okazać, czy Wilk wyjdzie z walki niedoległą, czy zahartuje się jeszcze w ogniu.

Tymczasem gwiazdy pobladyły. Z mgły i szarych barw półswitu kształty zaczęły występować coraz wyraźniej.

Dniało.

Światło w izbie, gdzie siedział Wilk, zagasło, skrzypnęły drzwi — Wilk wyszedł i pobudziwszy parobków, ruszył z nimi do roboty.

To był dobry znak.

Gdy wreszcie rozwidniło się zupełnie, jedno spojrzenie na twarz Wilka przekonywało, że był uratowany.

Twarz jego była dość blada (nie spał całą noc), ale spokojna lubo poważna. Może było w niej nawet coś ostrego. Je-

dnak nie osiwiiał, ani ołysiał, ani się pochylał, ani nawet nie był smutny. Po godzinie pracy niktby go nie odróżnił od wczorajszego i codziennego Wilka. O ósmej wrócił do domu i jadł dobrze.

Parobcy zauważyli jednak, że tego dnia nie był zbyt cierpliwy; ale on i zawsze niezbyt był cierpliwy. Wieczorem znów pojechał do Strączka w sprawie połamanych drzewek i znów odpowiedziano mu, że pana niema. Wilk domyślał się, że go nie przyjmują, ponieważ jednak nazajutrz była niedziela, sądził, że złapie Strączka i rozmówi się z nim po kościele.

Niestety! nie przewidywał, co z tej rozmowy wyniknie. Już w czasie sumy Wilk zauważył, że zebrani obywatele, zamiast zwykłych pogawędek i polowań, woleli patrzeć na niego i szeptać między sobą tajemniczo. Strączek przyjechał później i, o ile Wilk mógł miarkować, przyjechał pijany. Za jego przybyciem spojżenia i szepty zwiększyły się.

Wkrótce domysły Wilka zaczęły się wyjaśniać. Wyszędłszy z kościoła, spostrzegł, że obie strony ścieżki, przez którą

miał przechodzić, zajmowali panowie Szumnicki, Chłodno, dwaj Hoszyńscy, Golibrodzki, Skomornicki, na środku zaś ścieżki stał Strączek z miną bezczelną i wyzywającą.

Wilkowi żywiej uderzyło serce: „O przez wszystkich Bogów! — pomyślał — nie radzę im teraz wchodzić mi w drogę.” „Teraz” to znaczyło: po onegdajszem zerwaniu z Lucy. Wilk, jako ongi Hamlet, czuł, że w nim teraz jest coś niebezpiecznego.

— No, cóż mości kolonisto! — zawołał Strączek — wygrałeś sprawę? Co ci się odemnie należy?

Wilk pobladł.

— Panie Strączek! — odrzekł głosem, któremu naprózno usiłował nadać ton spokojny — panie Strączek, wyrażenia twoje mogą być niebezpieczniejsze dla ciebie, niż dla mnie.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się nienaturalnie Strączek. — Pytałem, co ci się należy? Doniosłeś, że to ja łamałem drzewka.

— Ha! ha! ha! — zabrzmiało w chórze.

Wilka oczy błysnęły, jak u prawdziwego wilka.

— Panie Strączek! chwila jeszcze, a nie odpowiadam za siebie,

— *Ah! cela devient curieux!* — zawołał hrabia Szumnicki.

— Co ci się należy?—pytam—zresztą, milczeć!

— A ty mi z drogi! i wy wszyscy, jak tu jesteście!

— Co? co? Ty śmiesz tak mówić? A oto ci zapłata! oto za drzewka! oto jeszcze rubel na wódkę!

Strączek rzucił w oczy Wilka garść pieniędzy. Krew nie woda! Niby uderzenie piorunu ozwał się policzek... Strączek padł jak długi.

— Nikczemnicy! — krzyknął Wilk.

Zrobił się popłoch niemały: Szumnicki zgubił okulary — inni panowie połamali kapelusze; mówiły złe języki, że Hoszyńscy z takim pośpiechem wsiadali do karety, że w środku uderzyli o siebie głowami. Wieczorem przyjechał do Wilka Skomornicki, jako sekundant Strączka. Hoszyńscy odmówili mu podobno tej przysługi. Wilk zgodził się na pojedynkę.

„Pojedynek ten — pisał do przyjaciela — spadł na mnie niespodzianie. Mimo wszystkiego, co przeciw pojedynkom mówią w wielu kwestyach nie znajduję innego rozwiązania. Z tem wszystkim kłopot to dla mnie niemały. Mniejsza, że nigdy nie umiałem strzelać, a dziś mniej niż kiedykolwiek, ale ani wiem skąd wezmę świadka. Ciebie nawet nie proszę — wiem, że twoje zasady nie pozwalają na to. W okolicy mam tylko nieprzyjaciół, a nie mogę przecie wezwać którego z moich parobków, bo rzecz nie chodzi o kije. Zmiłuj się, przyślij mi kogo z Warszawy! Chciałbym rzecz skończyć jaknajprędzej. Sądzę, że to źle się skończy dla jednego z nas, ale chybaby sprawiedliwości nie było, żeby w walce między mną a Strączkiem — zwycięstwo miało paść na jego stronę. Na wszelki jednak wypadek chcę być w porządku, dlatego posyłam ci kopię testamentu. Bądź zdrow i zmiłuj się, dawaj świadka, bo nie wiem co zrobię.”

Ale wypadek wyprowadził Wilka z kłopotu. Tegoż dnia otrzymał list od pana Ludwika, w którym ten ostatni zrzekał się

stanowczo czytelnik, obiecywał wyrzucić ją w błoto. On wie, że Wilk jest zdrajcą, że zamierzał wydrzeć mu Kamillę — ale nie z tego! W końcu dawał do zrozumienia, że gdyby Wilk chciał dochodzić orężem „tych tu słów”, to on, t. j. pan Ludwik, gotów stanąć na żądanie.

Równało się to prawie wyzwaniu. Wilk uśmiechnął się i rzucił list do ognia, ale po krótkim namyśle siadł i odpisał w ten sposób:

„Dziecko jesteś, panie Ludwiku! Nikt nie myśli się z tobą strzelać; czytelnik zaś może nie wyrzucisz na ulicę, jeśli zechcesz pofatygować się do mnie dziś, o co, licząc na twój honor i poczciwe serce, najmocniej cię upraszam.”

W parę godzin potem pan Ludwik przybył istotnie do Mżynka — Wilk powitał go serdecznie.

— Czekałem na pana z niecierpliwością.

— O co chodzi?

— Ze wszystkich ludzi, których poznałem w tej okolicy, cenię cię, panie Ludwiku, najwięcej; tyś przynajmniej nie

zepsuty aż do szpiku kości. Podaj mi rękę i słuchaj.

— O co chodzi, panie dobrodzieju?

Wilk opowiedział wypadek ze Strączkiem, poczem rzekł:

— Liczę na pana, że zechcesz być moim świadkiem. Nie mam tu nikogo w okolicy; wszyscy mnie nienawidzą i wszyscy prześladują.

— A! jakto być może?

— Jednak, cóż ja komu złego zrobiłem; pracowałem jak wół, chcąc polepszyć w okolicy gospodarstwo, a te pieniądze, za które stoi czytelnia, od ust sobie odjąłem. Czego ja chciałem, panie Ludwiku? gdzieś szedł? do czegoś dążył?

Pan Ludwik uznał za stosowne odpowiedzieć cokolwiek, ale poprzestał na tej uwadze.

— Patrz! — mówił dalej Wilk. — W innych stronach kwitnie wszystko, rozumem, ładem, dostatkiem, wznosi się rolnictwo, wznosi się przemysł, budują fabryki, ludzie pracują, czytają, myślą; wszyscy dążą do tego, co rozumne i dobre — błogosławią naukę i pracę, a u nas co?

Wilk zaczął się stopniowo ożywiać i na twarz wystąpiły mu rumieńce; mówił z żarem.

— U nas męty, zło i niemoralność: lenistwo i pycha u góry, ciemnota u dołu. Toż patrz, kto u nas zamożny? kto szczęśliwy? kto choć spokojny? Jedni wydają życie po groszu na gnuśnych i marnych zachciankach, drudzy choć i pracują — to łzy i pot im zapłata, bo pracują nieumiejętnie. Więc czegożem ja chciał? czy chciałem własnych korzyści? czy znalazłem między wami szczęście? Jeślim wam mówił: porzućcie karty, butelki, bilard, próżniactwo! jeślim ostatni groszłożył na czytelnię, jeślim wołał: pracujcie, pracujcie, w nauce przyszłość, w nauce wam własne dobro! to, panie Ludwiku, czy własny interes mną powodował? A no, spojrzysz i tu (Wilk pchnął ręką okno i ukazał na pola mżynieckie), widzisz, jak zielenią się pola, jak szumi zboże. Patrz! wszędzie znać żelazną pracę. Pamiętasz, że Mżynek był rudera, a dziś powiedz, gdzie rozkwit podobny? Z dumą powiadam: jam to uczynił, a Boga biorę na

— Przysięgam! przysięgam! Aaa! ostatni grosz na książki. Przysięgam, będę innym człowiekiem!

— Ano, to uściskaj mnie i bądź moim świadkiem.

Pan Ludwik rzucił się w ramiona Wilka, a gdy potem podniósł głowę, bogdaj, czy to nie inny był już człowiek. Oczy świeciły mu takim ogniem, jak nigdy przedtem; drżał, wielkie skry zapału przechodziły go od stóp do głów.

Obudziła się dusza i rwała do postępu a światła.

— Ach! czemuż pan nie przemówił tak do mnie pierwej — zawołał wzruszonym głosem. — Pan dobrodziej bywał czasem taki ostry! taki surowy!

Pan Ludwik ani przypuszczał, że wyrzekł słowa ogromnej wagi, tłumaczące w znacznej części ogólną niechęć, jaką budził Wilk. Tak! tak! — bywał Wilk surowy i ostry! On sam, usłyszawszy ten łagodny wyrzut, spuścił głowę i milczał. Każdy ma swoje wady — to prawda, ale Wilk milczał, bo nie chciał się tłumaczyć

tem panu Ludwikowi, że każdy ma swoje wady, a nie umiał tłumaczyć się inaczej.

W życiu brakło mu nieraz wyrozumiałości. Daje to do myślenia. Wilk nie umiał wychodzić z ludźmi — nie dość miał umiarkowania i miłości. Wilk przedstawiał szowinizm postępu.

Pan Ludwik zabawił parę godzin u Wilka, czekając na Skomornickiego, sekundanta Strączka. Gdy przyjechał, ułożono warunki: odległość dwadzieścia kroków; przeciwnicy mieli, zbliżając się do siebie, strzelać, kto pierwszy chce — ale o ośm kroków już strzał był obowiązkowy. Prócz tego, by po pojedynku nie narażać ni przeciwnika, ni świadków, że każdy ze strzelających będzie miał przy sobie list, w którym sam siebie oskarża o samobójstwo.

Pozostawało kilka dni do ostatecznego terminu. Przez te kilka dni Wilk pracował, jak i dawniej, w polu, w wolnych godzinach uprawiał się w strzały, wieczorami zaś porządkował swe sprawy i pisywał. Oto jeszcze kilka słów z jego listu, pisanego do przyjaciela w przeddzień spotkania.

„Mimo że nie umiem strzelać, nie wiem jakie przeczucie mówi mi, że wyjdę z tej walki zwycięzko. Jutro termin. Staram się być spokojnym; ale nie mogę opędzić się pewnym myślom, z którymi, zdawało mi się, że już skończył raz na zawsze. Wyznaję, że chciałbym choć raz jeszcze ujrzeć Lucy — tak... popatrzeć się na nią z jakiego kąta jeszcze choć przez chwilę. Oddałbym Bóg wie ile, żebym mógł przynajmniej nie pogardzać nią. Wiem, że to słabość, ale wstyd wyznać, jak trudno mi walczyć z podobnymi myślami. Zresztą, jestem spokojny i mam dobrą nadzieję. Czy odebrałaś kopię testamentu? Jutro o piątej rano termin. Natychmiast po pojedynku przyjeżdżam do Warszawy. Bądź zdrow, drogi chłopcze! ściskam cię i pozdrawiam znajomych.”

W. Garbowiecki.

Nazajutrz za ledwie świt, na skraju lasu między miasteczkiem a Mżynkiem, Wilk z panem Ludwikiem czekali na przeciwników. Twarz Wilka była poważna, ale oczy

patrzyły jasno. Spokój, a nawet chłód jakiś wiał od jego postaci; znać było, że chwili obecnej nie brał lekko; w rysach jego malowała się niezłomna wola, a nawet pewna zaciętość.

Po kwadransie oczekiwania przybyli Strączek ze Skomornickim i doktorem.

Wszyscy skłonili się sobie wedle zwyczaju, poczem przeciwnicy spojrzeli sobie w oczy.

Był to niejako pojedynek przed pojedynkiem. Strączek spuścił wzrok ku ziemi.

Zapewne wziął to za zły znak. Nie tchórzył, ale widocznie nie miał spokoju Wilka. W ruchach jego była pewna gorączkowość, a na ustach uśmiech, ale też tylko na ustach, Bóg wie, co się tam działo w duszy, to tylko pewno, że nienawidził przeciwnika ze wszystkich sił.

Palił cygaro. Zdawało się, że był dobrze po kilku butelkach. Odmierzono metę — przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Tu, jak wiadomo ci czytelniku, następuje mówka. Treścią jej miłość bliźniego, kończy się zaś wezwaniem przeciwników do wzajemnego uściskania się.

Przeciwnicy odmawiają.

Mówka brzmi po polsku. Zły zwyczaj, ale taki zwyczaj! Następne za to słowa, jeśli sekundanci są ludźmi dobrego tonu, mówią się po francusku:

— *Messieurs commencez!*

A że Skomornicki był człowiekiem dobrego tonu, dał więc oczyma znak panu Ludwikowi, poczem zwrócił się do przeciwników i rzekł:

— *Messieurs commencez!*

Wilk podniósł pistolet do wysokości ramienia i, zbliżając się do przeciwnika, mierzył spokojnie. Broń w jego ręku, jak gdyby ujęta w żelazne cęgi, nie poruszała się najmniejszym drganiem. Tymczasem wionął wiatr cichy, zaszemrał liść, z brzezi nowych gałązek krople rosy, niby brylantowy deszcz, spadły na ziemię.

Przeciwnicy przetrzymywali się wzajemnie; byli już od siebie o jakie ośm kroków.

Świadkowie spojrzeli na siebie niespokojnie.

Nagle buchnął strzał... Sekundanci skoczyli żywo naprzód.

Wilk zachwiał się, zacharczał krwią i padł na twarz z szeroko rozłożonemi rękoma.

Kula Strączka strzaskała mu czaszkę.

Jeszcze nie koniec historii. Starania hrabiego Szumnickiego, Chłodnów i Hosińskich urwały głowę sprawie, jaka wytoczyła się po śmierci Wilka. Powszechnie zgodzono się na to, że powodem śmierci było samobójstwo, a powodem samobójstwa... Dobrowolni świadkowie, którzy znali dobrze Wilka, złożyli piśmiennie następujące zeznanie:

1. Ponieważ nieboszczyk za życia odznaczał się niezwykłą tak w słowach, jak postępkach oryginalnością i dziwactwem swych zasad;

2. Ponieważ zakładał jakieś czytelnie i sprowadzał książki, których nikt nie chciał czytać;

3. Ponieważ ze szczególną natarczywością napadał na ludzi, zachęcając ich, mimo najsilniejszego oporu, do nauki;

4. Ponieważ uczył czytać swoich parobków;

5. Ponieważ do gospodarstwa w swojej kolonii wprowadzał dziwaczne i nieznanne nowości, jako to: jedwabnictwo, pasieki, wysadzanie dróg owocowymi drzewami, bez czego, jak wiadomo, wszyscy porządni ludzie obejść się mogą;

6. Ponieważ, mimo iż podobno był szlachcicem, sam za pługiem chodził i dopuszczał się częstokroć najprostszych prac w gospodarstwie;

7. Ponieważ takie postępowanie ze zdrowym rozsądkiem pogodzić się nie da...

Przeto oni — podpisani świadkowie — jednomyślnie zgadzają się: „*że nieboszczyk cierpiał pewnego rodzaju manię, która dla wszystkich rozsądnych była widoczną, a która z czasem, przeszedłszy w zupełne obłąkanie, stała się przyczyną samobójstwa.*

Wilka, jako samobójcę, pochowano po za murem cmentarnym. Na grobie jego porósł bujnie piołun.

KONIEC.

II.

Dwie drogi.



Dwie drogi.

I.

Miś Rossowski leżał w głębokim fotelu naprzeciw Jana Złotopolskiego, który leżał w drugim fotelu. Miś palił cygaro i puszczał dym na Jasia, a Jaś palił cygaro i puszczał dym na Misia.

Milczeli. Wreszcie Miś spojrzał posępnie na guziki swych kamaszów i odezwał się:

— No i cóż będziesz dalej robił?

— Albo ja wiem.

Nastała znowu chwila milczenia. Jaś nalał Misiowi szklanę porteru, sam z rezygnacją pociągnął ze swojej. Widać było

pewne zakłopotanie na twarzach obydwóch: zgadłeś, przyszła na nich ciężka chwila.

— Wiele ci może zostać po zajęciu Złotopola? — spytał znowu Rossowski.

— Nic.

— Nic zupełnie?

— Te trochę gratów.

Widocznie niedola, o której mówili, miała na imię: ubóstwo. A jednak na pozór nic nie zdawało się go zapowiadać: ubrania na nich były pierwszej mody; fotele, na których siedzieli, aksamitne, mieszkanie umeblowane ze smakiem i dostatkiem; przed nimi stała elegancka zastawa do śniadania. Nic nie brakło, chyba wesołości u rozmawiających.

— Więc cóż tedy myślisz robić?

— Mówiłem ci, że nic nie wiem.

— O! ciężkie czasy, w których nawet ludzie tacy, jak my, muszą sami o sobie myśleć.

— Ciężkie! — potwierdził Złotopolski.

— Z Bujnickimi nie możemy skończyć?

— Choćby dziś. Matka jest za mną, a panna pewno nie ma nic przeciw.

— Zatem kończ.

— Mój drogi, upewniam cię, że mój przyszyły papa ma jeszcze więcej długów odemnie.

— Dlaczegoż się więc starasz o pannę?

— Bo ją kocham.

Jaś Złotopolski powiedział to takim tonem, że choć mu było nie do śmiechu, i sam się roześmiał i rozśmieszył Rossowskiego.

— Doskonały jest ten Jaś! Mów no bez żartów.

— O czym?

— O Fanny Bujnickiej.

— Dobrze. Otóż żenię się z Fanny dla tych samych powodów, dla których nie żenię się z Berlińską.

— Berlińska ma tylko jedną zaletę.

— Jaka?

— Sto tysięcy rubli.

— Przepraszam cię, dla mnie ma osiemkroć.

— A to jakim sposobem?

— Chyba nie wiesz, co powiedział papa Berliński, że jeżeli córce trafi się nie-szlachcic, to dostanie sto tysięcy rubli —

a jeżeli szlachcic, zwłaszcza taki, jak ja lub ty, to osiemkroć. Ale Berliński ma jeszcze jedną zaletę, o której może nie wiesz.

— Nie wiem.

— A no, dziadka hassydę, który do dziś dnia wyprawia pobożne tańce z dzieściorgiem przykazań na głowie.

— Oj, to sęk!

— Fanny ma przynajmniej nazwisko.

— I brzemie długów papy?

— I to sęk!

— Słuchaj, Jasiu! ja ciebie nie rozumiem. Nigdybym się nie ożenił z panną bez nazwiska, ale też nigdy nie wziąłbym nazwiska bez pieniędzy. Berliński ma jedno, Fanny — drugie. Z obiema nie możesz się przecie żenić.

— Być... albo nie być?

— Patrzaj! z Szekspira coś zarywasz?

— Oj, Misiu Rossowski! Misiu Rossowski!

— Czego chcesz?

— Naiwny jesteś.

— Tak twierdzisz?

— Tak. Uważaj: Fanny, gdyby dziś miała pieniądze, nie poszłaby za mnie dlatego, że ja ich nie mam. Dla Berlińskiej mam przynajmniej nazwisko, Fanny go nie potrzebuje — jej potrzeba pieniędzy.

— I tobie potrzeba pieniędzy.

Jaś Złotopolski zanucił:

„Potrzeba nam pieniędzy

„Wenus pieniędzy nie chce dać...

— Otóż dlatego, szanowny Misiu Rossowski, że Wenus nie chce dać pieniędzy, a my obadwa potrzebujemy, ona zgodzi się wyjść za mnie, a ja zgodziłem się już.

— Mów dalej, mój drogi... ty czasem bywasz taki dowcipny! zatem pobierzecie się i...?

— Ja będę żonaty, a ona zamężna.

— A dalej?

— Domyśl się, Misiu! Ja nie należę do ludzi, którzy robią coś bez powodu. Fanny wyjdzie dziś za mnie dlatego, że nic nie ma, a ja ożenię się z nią dlatego, że kiedyś coś będzie miała. Rozumiesz teraz, mój panie? Będę miał żonę, jakiej ty przy twoich Rossowcach nigdy nie znajdziesz. Rozumiesz, mój panie?

— Myślisz o ciotce?

— Myślę i myślę, że siedzi na dożywociu po swoim mężu, a stryju Fani, zatem to nie może minąć.

— A jakby to minęło?

Złotopolski położył rękę na ramieniu Rossowskiego.

— Przyjacielu! śmierć nikogo nie mijają. Kiedy cioci zaśpiewają: „*Dies irae*”, to ty, drogi Misiu, zaśpiewasz mi wówczas coś weselszego, np...

— Pana Tadeusza, jeszcze przedtem nim cioci: „*Dies irae*”. Nawet przypomnij sobie nutę, bo ci to będzie potrzebne.

Złotopolski posmutniał.

— *Yes!* Jeżeli mi sprzedadzą Złotopole, to Fanny ani przed, a po śmierci ciotki mnie nie zechce.

— *Yes!*

— Och! gospodarować teraz, to lepiej kamień sobie u szyi uwiązać! — przerwał Złotopolski.

— Och, gospodarować teraz, to lepiej się nie rodzić!

— Dawnoś był u siebie, w Złotopolu?

— Rok temu. A ty w Rossowcach?

— Rok temu, drogi Jasiu.

— My to najlepiej rozumiemy, co znaczy gospodarstwo!

— A tak, właśnie dlatego, że siedzimy w Warszawie.

— Możemy zatem ocenić, jak małe mamy dochody.

— Zresztą, z raportów naszych ekonomów...

— Wiesz, Misiu, my jesteśmy męczennicy!

— Znosimy to z rezygnacją: „*noblesse oblige!*”

— Ktoś dzwoni.

— Niech sobie dzwoni. Jeżeli wierzyciel, nie oddam mu ani grosza; owszem, zabawimy się. Franciszek, puszcząć!

Po chwili Franciszek, lokaj, otworzył drzwi panu adwokatowi Maszko. Był to młody jeszcze człowiek, który pracę doszedł do kawałka chleba i wszystko sobie tylko zawdzięczał. Prócz adwokatury, zajmował się rozmaitemi interesami i miał się dobrze. Ale że pochodził z mieszczan z Przytyka, szukał tedy bardzo naturalnie związków z szlachetną młodzieżą, któ-

ra go tolerowała, a czasem się nim bawiła. Ale pan Maszko miał zdrowy rozsądek i wolał, żeby tacy ludzie drwili z niego, niż żeby nie mieć znajomości między takimi ludźmi. Pan Maszko miał nawet rozum, bo oczywiście tacy ludzie oddawali mu w ręce interesa majątkowe, na czym zarabiał; pan Maszko miał nawet charakter, bo oddawał wszelkie możliwe usługi takim ludziom, szukał ich, szczyił się ich znajomością, ale pieniędzy im nie pożyczął.

— *Bonjour! bonjour mes amis* — witał pan Maszko, podając ręce obydwom.

Młodzi ludzie, nie wstając, podali mu dłonie.

— Ach, Maszko! że też ty nigdy nie nabierzesz manier — rzekł zimno Rossowski. — Ty chyba nie masz w sobie krwi naszej.

— Naprzód, wiedz o tem — odparł przybyły, — że Maszkowie są tak dobrą szlachcią, jak i wszyscy inni, a powtóre, powiedz mi, w czem moje maniery zasługują na zarzuty?

— Jak ty rękę podajesz?

— Jakże mam podawać? Wyciągam dłoń i ściskam rękę tego, z którym się witam.

— A to jest do najwyższego stopnia *mauvais genre*.

— Do najwyższego stopnia!—potwierdził Złotopolski.

— Przez Boga żywego! co mam robić?

— Jakto? tego nie wiesz? Nas przecie nie trzeba tego uczyć, my mamy to we krwi.

— Ależ i ja mam we krwi, zareczam wam za to; tylko jak nie wiem, no, to nie wiem! Mam we krwi, ale... w zarodku... Każda rzecz potrzebuje się rozwinąć.

— Wiedz więc o tem, że ręki się nie wyciąga wedle zasad dobrego tonu.

— Tylko co się robi?

— Tylko się kurczy.

— Zmiłuj się, jak ja skurczę rękę i ten, z którym się witam, skurczy ją także, to się nie przywitamy.

— To się nie przywitacie, ale nie ubliżycie w niczem prawom, przyjętym przez ludzi dobrze wychowanych. Podając rękę, trzyma się dłoń wyprostowaną przy sa-

mych piersiach, albo przy samej pasze. Uważasz: ręka powinna być skurczona, dłoń wyprostowana i położona przy samej pasze. A kto chce, niech po nią sięga. Oto jest godne człowieka dobrze wychowanego.

— A co! zawsze coś we mnie mówiło, żeby tak rękę podawać! Tak, tak! to jest najodpowiedniej. Jasiu, mój drogi! przychodzę do ciebie w pewnym interesie. Ale co ci jest? jakiś smutny jesteś?

— Mam długów więcej, niż włosów na głowie.

— O! istotnie, to bardzo nieprzyjemna rzecz.

— Jaka rada na to?

— Zapłacić.

— Skąd wziąć pieniędzy?

— Sprzedać Złotopole.

— Chcę to oddawna zrobić, ale skąd kupca?

Maszko uśmiechnął się.

— Właśnie z tem do ciebie przychodzę.

— Wybawicielu!

— Ludzie, jak my, powinni sobie pomagać! Znajdzie się kupiec.

— Kto?

— Niemcy.

— Jacy?

— Koloniści.

— Aa!

— Ale musisz jechać do Złotopola.

— Po co?

— Ułożyć cały interes. Ja pojedę z tobą.

— I zostanie mi się co, jak sprzedam w ten sposób Złotopole?

— Mój kochany, Złotopole razem z Kalinowszczyzną, to magnacki majątek; gdyby towarzystwo sprzedało, to nietylko ty nic byś nie dostał, ale jeszcze wierzyciele by spadli. Inna rzecz kolonizacya.

— Ileż może pozostać?

— Ze trzykroć — rzekł niby niedbale Maszko. — Zresztą, uważasz, ponieważ to tak dobrze brzmi: Złotopolski na Złotopolu — znajduję więc sposób, żebyś Złotopole sprzedał, a jednak je miał.

— Niech kto co chce mówi, ten Maszko jest jednakże gentlemanem. Jakże to będzie?

— Szczerze ci dziękuję. Jestem gentlemanem i dlatego właśnie rozumiem położenie gentlemana, który ma więcej długów, niż włosów na głowie. Złotopole sprzedasz Niemcom, a zostawisz sobie dwór, ogród i parę mórg lasu na park. To wszystko będzie się oczywiście zwało: Złotopole.

— Maszko!

— Kochany Jasiu! Tak jest i za granicą, prawdziwy szlachcic trudni się polowaniem, ale nie rolą. Złotopole będzie ni-
by twojem *pied à terre*.

— Wiesz, Misiu! — zawołał Złotopol-
ski — Maszko jest równy nam pod każdym
względem, a jednak, o Misiu! Misiu! mię-
dzy nami i Maszką jest jedna wielka
różnica.

— Jaka?

— Że Maszko ma głowę, a my jej nie
mamy.

Rossowski odrzekł obojętnie:

— Kto wie, czy Pan Bóg nie dlatego
dał Maszce głowę, żeby nas nie utrudzać
zbyt ciężarem.

— Jużto tobie musi być lekko, drogi Misiu?

— I tobie, kochany Jasiu.

— Ależ, przyjaciele! — zawołał Maszko — nie macie sobie nic do wyrzucenia. Jasiu, pod jednym warunkiem zajmę się twemi interesami.

— A warunek ten?

— Dasz nam u siebie, w Złotopolu, obiadek przyjacielski; zaprosisz mnie, Misia, Antosia i kogo chcesz więcej z naszego grona.

— Doskonały projekt.

— Zatem pojutrze najdalej jedziemy do Złotopola. *Adieu Mich! Farevel John!*

Tu Maszko wziął za kapelusz i ulokowawszy rękę koło pachy, wyciągnął palce w kierunku Misia i Jasia, a zaś Miś i Jaś, ulokowawszy ręce pod swojemi pachami, wyciągnęli palce ku Maszce. Dłonie ich spotkały się ze sobą.

Gdy Maszko wyszedł, Miś udusił gwałtownie w popielniczce nawpół dopalone cygaro i odezwał się z gniewem:

— *Ambetuje* mnie ten Maszko!

— Przyznaj jednak, że on ma głowę.

— Właśnie, ta głowa, ten spryt do interesów, ten dar radzenia sobie na świecie, przepraszam cię, ale my tacy nie jesteśmy.

— Albo to między nami nie ma ludzi z głową?

— Nie mówię, ale nie do interesów. Wiem, że Władzio ma głowę — mój ojciec miał głowę...

— A i ty przecie masz talent krasomówczy?

— Że tam czasem jaki *speech* powiem.

— Powiesz na obiadku w Złotopolu. Ej! co tam! niech żyje Maszko i niemcy.

— Wiesz, Jasiu, co ci powiem?

— Nie jestem jasnowidzącym, Misiu, zatem nie mogę odgadnąć.

— Że niemcy chyba mniej jeszcze rozumu od nas mają.

— Dobrze powiedziane — *mais pourquoi ça?*

— A bo dają nam gotówkę, a biorą ziemię.

— Dobrze powiedziane.

— Ich chyba Pan Bóg na to stworzył, żeby ratowali szlachtę polską, — bio-

ra ̄ ziemię, a dają talary; rozumiesz, Jasiu! — talary!

— I rozumiem i czuję, że będę je posiadał. Nie mów nic o tem u Bujnickich; chcę Fanny zrobić niespodziankę.

— Dobrze. *Adieu!*

— *Adieu!*





II.

Panna Fanny Bujnicka, perła okolicy, „*fleur de Cuyavie*”, siedziała w salonie z matką i jednym gościem, niejakim panem Maciejem Iwaszkiewiczem, inżynierem. Rozmowa biegła koło niezwyklej i niespodzianej wieści, że Złotopolski ma podobno wyjechać do siebie na wieś.

Iwaszkiewicz spoglądał na pannę Fanny, a czasem i ona spoglądała na niego, gdyby kto chciał ściślej brać rzeczy, to może i częściej, niż dobry ton pozwala pannie spoglądać na człowieka, który niżej stoi od niej na drabinie socyalnej.

Bo pan Iwaszkiewicz niżej stał. On był synem profesora, a ona córką obywatela ziemskiego. Któżby chciał porównywać? Ale znali się oddawna. Państwo Bujniccy,

choć, a raczej dlatego, że mieli majątek ziemski, mieszkali w Warszawie, ojciec Iwaszkiewicza, jako profesor, także w Warszawie i w jednym z Bujnickimi domu, zatem panna i młodzieniec znali się od małego i ongi, nieraz bywało, bawili się w jednym ogródku.

Bo pani Bujnicka, chociaż młody Iwaszkiewicz nazywał się Maciuś, i choć był tylko synem profesora, pozwałała się Fani z nim bawić.

— Moja Faniu — mawiała zwykle — nawet i tacy ludzie, którzy nie mają majątków ziemskich, są, kochanie, naszymi bliźniemi. Pamiętaj o tem, Faniu!

Bratowa pani Bujnickiej, druga pani Bujnicka, łajała matkę Fani o taką popularność: „Jabym—mówiła—nie pozwoliła bawić się mojej córce z chłopcem, który ma takie trywialne imię, a zresztą bałabym się, żeby dziewczynka nie nasiąkała jakimi zasadami w złym duchu.

— Prawda, moja droga, ale młody Iwaszkiewicz ma bardzo dobry akcent—odpowiadała matka Fanny. — Nie rozumiem,

skąd tacy ludzie mogą mieć tak dobry akcent.

Wiadomo powszechnie, ile u nas dobry akcent może cudów sprawić. Miś Rossowski mawiał nawet, że nie pojmuje, jak uczciwy człowiek może mieć zły akcent.

Zawdzięczał więc Maciuś francuzczyźnie, że mógł się bawić z panną Franciszką Bujnicką. I bawili się też, bywało, jako dzieci, gwarząc, szczebiocząc, skacząc. Ona biegała naprzód, a on nadażał za jej złotemi lokami, które wiatr w biegu kołysał, i zbierał dla niej to kwiatki, to kamyczki świecące, i co Bóg dał, byle Fania rozweseliła błękitne oczki i powiedziała: „*merci!*”

Płyną lata, jak obłoki po niebieskim przestworzu i w miarę, jak dzieci rosły, coraz miłszą zdawała im się wspólna zabawa. Sielanka zmieniałaby się na inny może poemat, gdyby nie interwencya prozy, która pod postacią gospodarza domu, nie dozwoliła Maciusiowi bawić się dłużej z Fanią.

Poprostu profesor, ojciec Maciusia, nie miał czem płacić za mieszkanie i musiał

wyprowadzić się, a pan Bujnicki miał czem płacić i został.

Płyną lata, jak fale wiślane! Od tego czasu płynęły jedne za drugimi, i ani Maciuś nie widywał Fani, ani Fania nie widywała Maciusia. I zapomnieli o sobie, jak kazał czas, czyli owe lata — fale.

Ale los jest miłosierny i zawsze sprawia tak, że ci, co się widywali za rannych lat dzieciństwa, spotykają się i później.

Przez to oni mogą kochać się dalej, a i powieściopisarz może ciągnąć dalej powieść.

Nie wiedziała tedy Fania o Maciusiu nic a nic. Ona wyrosła na pannę Fanny Bujnicką, „perłę okolicy”, a on...

Na wieczorze u hrabstwa W. Fania ujrziała raz między rojem czarnych fraków, białych gorsów, wąsów, bród, breloków, binokli, młodego człowieka, o opalonej twarzy, z czarną brodą, który zaintrygował ją nieco.

Zaintrygował ją, bo zdawało jej się, że go zna.

— Kto jest ten pan, taki wysoki? — szepnęła przyjaciółce swej, Mani Rossowskiej.

— Mania Rossowska przypatrzyła się bacznie młodzieńcowi, pokazywanemu przez Fanię, i odrzekła:

— To coś nowego.

— Wiesz, że ja go znam jakoś.

— Ja go nigdy nie widziałam.

Proszę wystawić sobie zdziwienie Fani, gdy po chwili nieznajomy przedstawił się jej matce, a potem wraz z synem gospodarza domu zbliżył się ku niej.

— *Mademoiselle!* — zawołał syn gospodarza — *j'ai l'honneur de vous presenter monsieur Iwaszkiewicz, ingénieur.*

Fania zarumieniła się przeciw wszelkim prawidłom dobrego tonu, który nakazuje obojętność, i nie mogła się wstrzymać od dość głośnego objawu zdziwienia.

Poczem spojrzała ciekawie na towarzysza lat dziecinnych! Och! zmienił się bardzo! Dawniej był to sobie poczciwy i nieśmiały Maciuś, a teraz siedział koło niej mąż dojrzały, który więcej zdawał się badać ją, niż usiłował bawić. A mówił przytem poważnie; nie odwoływał się do wspomnień z ogródka. Maciuś nie podobał się Fani.

Ale Fania za to podobała się Maciu-siowi. Miała też same złote loki, też same błękitne, wesołe oczy, a obnażone ramiona trzymała tak ślicznie w rąbkach koronek, tiulu i gazy, że jakby dwa gołąbki bliźniacze, zdawały się chcieć ulecieć z tych rąbków, by bujać swobodnie po powietrzu, jak dawniej w ogródku.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, to i Maciuś podobał się więcej Fani. Skończył szkołę centralną w Paryżu, był inżynierem, stał na czele jakiejś fabryki, rozmawiał swobodnie, a co nawet dziwnem zdawało się Fani, że słowa jego, choć równie w dobrym tonie, jak słowa innych panów—miały przecie pewien sens i znaczenie.

Odtąd widywali się stale.

A że w księdze wspomnień, którą każdy w mniej więcej głupi sposób zapisuje, najdłużej nie blednieją wspomnienia lat dzieciennych, przeto Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich coraz to częściej i Fania wydawała mu się coraz miłszą.

Bywał więc często i kto wie, coby się było stało, gdyby nie to, że o Fanię zaczął się starać Złotopolski.

Ktokolwiek on tam sobie był ten Iwaszkiewicz, zawsze był to Iwaszkiewicz, nie Złotopolski. Owo papiery jego spadły głęboko w oczach szczególnie pani Bujnickiej. On chodził piechotą, a Złotopolski jeździł powozem; on był fabrykant, czy tam coś, a Złotopolski obywatel wiejski; Złotopolski miał konia wierzchowego, a on nie; Złotopolski miał grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowemi guzikami po bokach, a on nie miał grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowemi guzikami po bokach.

— Jednakowoż, dziwna rzecz — mawiała pani Bujnicka — ten Iwaszkiewicz, podobno, ma znaczne dochody; mógłby mieć to wszystko, co ma Złotopolski, a jednak... ale nie! jemu właśnie brak tych instynktów, które w Złotopolskim są wrodzone.

I proszę też posądzać wielki świat o interesowność. Miło nam stanąć w jego obronie: Pani Bujnicka wiedziała, że Iwaszkiewicz ma nawet większe dochody, niż Złotopolski, a jednak bez wahania oddała

pierwszeństwo ostatniemu, i nawet rzekła kiedyś do córki.

— Faniu, na miłość Boga! nie pozwalaj Iwaszkiewiczowi poufalić się ze sobą.

Fania podniosła na matkę błękitne oczy.

— *Soyez tranquille chère mère!*

— Ja wiem, że przecie o nim nie myślisz, ale nawet i stosunki zażyłości z takim człowiekiem, to już rzecz trochę kompromitująca.

Papiery Iwaszkiewicza doszły do *minimum*.

Przyjmowano go odtąd tak zimno, że na dobrą sprawę powinien był poprostu pójść do stu... kropek i nie bywać więcej, ale on mimo to bywał, bo każdy człowiek ma jakąś achillesową piętę, a w Iwaszkiewiczach tą piętą był niewymowny pociąg do błękitnych oczów Fani.

Złotopolski nie uważał go nawet za współzawodnika.

— Ot, jakiś *parvenus*, który się wcisnął do *gramundu* — mawiał o nim.

„*Gramund*” znaczy w ucywilizowanym polskim języku: wielki świat.

Iwaszkiewicz za to uważał Złotopolskiego za współzawodnika i zapewne dlatego śmiał twierdzić, że brak mu piątej klepki.

Ale Złotopolski zwyciężał Iwaszkiewicza.

Zwyciężał przynajmniej dopóty, dopóki wieść się nie rozeszła po *gramundzie*, że na hipotece Złotopola jest przynajmniej tyle długów, co snopów na jego łąkach. Nie jedna matka z wielkiego świata pokręciła wtedy głowę.

— Ten poczciwy i kochany Jaś! — mówiono — z nim podobno bardzo cienko, a to taki miły chłopak i w takim dobrym duchu.

Taż sama wieść rozniosła się jednocześnie, że Iwaszkiewicz z zarządzającego przeszedł na współwłaściciela fabryki maszyn.

Gdy doszło to z kolei i do Bujnickich, matka weszła z poważną twarzą do pokoju córki.

- Na Złotopolu pełno długów — rzekła.
- Skąd mama wie?
- To już każdy wie.

Panienska milczała zasepiona.

— Cóż mama każe teraz robić?

— Złotopolski odprawił, podobno, grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowemi guzikami po bokach.

— Tego już tylko brakowało.

— To może jeszcze nie prawda. Ale! wiesz, com słyszała?

— Cóż można było gorszego słyszeć?

— To już co innego: że Iwaszkiewicz pochodzi ze szlachty... szkockiej.

— On nawet i nazwisko ma trochę szkockie.

— No! to znowu... nie! ale familia mogła się przewać! Przyznaj, Faniu, że ty masz pewien „feblik” do tego Iwaszkiewicza.

— Jak tam mama uważa.

— Poczciwe dziecko!

Papiery Iwaszkiewicza skoczyły nagle w górę.

Bo też interesa Bujnickich zaczynały iść na dół. Pan Bujnicki, który mieszkał na wsi i który w ciągu mozolnego swego żywota był generalnym dostawcą pani Bujnickiej, ociążał jakoś na starość, czy co?

i zanedbywał się coraz bardziej w dostawach. On mawiał, że nie może nastarczyć, że robi długi. Jakoż trudno mu było nie wierzyć, a raczej łatwo się było przekonać, że robił długi. Pocieszali się tylko tem państwo Bujniccy, że i co do długów nie pozostali za całym obywatelstwem.

Ale papiery Iwaszkiewicza szły przez to coraz bardziej w górę.

A kiedy jeszcze gruchnęło między ludźmi, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś, co było, jak sądzono, oznaką czegoś niedobrego, papiery inżyniera doszły do *maximum*.

I właśnie widzimy go w tej chwili, siedzącego u państwa Bujnickich i rozmawiającego z matką i panną. On spogląda często na „perłę okolicy”, która zdaje się być zamyśloną i poważną.

— Więc i pan słyszał, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś? — pyta pani Bujnicka.

— Tak — odpowiada inżynier.

— Ciekawam, co go powoduje?

— Konieczność zapewne.

— I prędko będzie z powrotem?

— Zdaje się, że nieprędko. Mówił mi Maszko, że zaprosił jego i kilku z młodzieży swojej sfery na obiad do Złotopola. Maszko nazwał obiad ten pożegnalnym.

Pani Bujnicka spogląda niespokojnie na córkę.

— Być może, że przyjdzie pożegnać się z paniami — mówi inżynier.

— Może być — odpowiada obojętnie Fania.

— A kto wie — odpowiada ze znaczącym uśmiechem pani Bujnicka; — może właśnie dlatego, że wyjeżdża, nie przyjdzie. *Vous savez...* są takie położenia, w których, choć kto wyjeżdża, nie przychodzi jednak...

Z oczu inżyniera strzelił nagle radosny promień, tembardziej, że zdawało mu się, iż na słowa matki Fania uśmiechnęła się z przymusem, a nawet policzki jej powlekl lekki rumieniec.

— Dała mu odkosza. Teraz rozumiem wszystko! — pomyślał.

— Darujcie, moi młodzi państwo, że na chwilę zostawię was samych, ale mam

coś powiedzieć służbie. *Pardon, monsieur!* Faniu, dotrzyмай tu panu towarzystwa.

Na twarzy Iwaszkiewicza nie było znać, by się obrażał tem, że pani Bujnicka zostawia go samego z Fanią; a pani Bujnicka rzeczywiście wyszła na chwilę i, spotkawszy służącego, rzekła:

— Jeśli tu przyjdzie pan Złotopolski, powiedz, że przyjmujemy za godzinę.

Pani Bujnicka nie chciała istotnie; żeby Złotopolski przyszedł przy Iwaszkiewiczu.

Tymczasem Iwaszkiewicz siedział sam na sam z Fanią w salonie. Milczeli przez chwilę oboje, wreszcie Iwaszkiewicz poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Towarzystwo straci zapewne wiele na wyjeździe pana Złotopolskiego.

Z kwaśnej miny inżyniera możnaby sądzić, że zapewne chciał powiedzieć coś innego, ale to jakoś tak samo mu się wymówiło.

— Tak pan sądzi? — spytała Fanny.

— Ja? o nie, pani! ja myślałem, że może pani tak sądzi?

— Niech mi pan wierzy, że w tej chwili myślałam zupełnie o czem innym.

Ja myślałam o naszym ogródku dzieci-
nym. Pamięta pan nasz ogródek?

— Jeżeli kto z nas dwojga go zapom-
niał, to nie ja.

Fania spuściła oczy.

— I nie ja... także...

— Pani! — rzekł Iwaszkiewicz — dzie-
kuję z całego serca za te słowa. Ja nie
trwonię ich nigdy naprózno i nie przy-
puszczam, żebyś i pani mówiła je bez po-
czucia prawdy.

— Czy ja panu co złego kiedy zrobiłam,
że pan mnie sądzi tak surowo?

— Ja?

— Wiem — mówiła dalej ze smutkiem
w głosie. — Pan przy swoim rozumie uwa-
ża mnie za próżną i popsutą dziewczynę
światową, pan nie wierzy, że ja mogę coś
szczerze mówić, a jednak...

W niebieskich oczach Fanny błysnęło
coś nakształt łez.

— A jednak mam jeszcze kilka kwiat-
ków zasuszonych z naszego ogródka... ale
ja jestem próżna i popsuta dziewczy-
na światowa? ja nie umiem pamiętać?
Prawda?

— Nie, pani, to ja nie śmiałem się spozdiewać, że pani pamięta?

— I dlatego nie spytał pan nigdy o to?

— Dlatego. Bałem się spytać, bo nadto cenilem te wspomnienia. Tak jest, bałem się, byś pani nie rozwiąła ich jednym obojętnym uśmiechem.

— Mój Boże! Tyle mówią o pańskiej energii, a pan taki nieśmiały. Czy to tylko ze mną?

— Tylko z panią.

— A przecież my się znamy od tych czasów, kiedy jeszcze pan mi mówił... jak to tu teraz nawet powiedzieć?... kiedy pan mi mówił: „Faniu”.

— O, pani! jeśli to żarty, to złe żarty...

— Jakie przystoją zepsutej, światowej dziewczynie? Ha, jeżeli tak, to dajmy temu pokój. Może pan woli o czym innym mówić. Otóż i mama przychodzi! Dużo pan ma zajęcia w swojej fabryce?

Pani Bujnicka weszła tymczasem do pokoju i, rzuciwszy przenikliwym wzrokiem na Fanię, spytała łaskawie:

— O czym-że to państwo rozprawiacie? o fabryce?

— Tak; łaskawa pani! właśnie mówiliśmy o fabryce.

— Musi to jednak być panu przykro siedzieć od rana do wieczora między robotnikami?

— Nie, pani.

— A jednak są to ludzie bez wychowania; wystawiam sobie, jak straszne muszą mieć maniery.

Iwaskiewicz uśmiechnął się.

— Przy młotach i ogniskach, buchających skrami, mają wcale odpowiednie.

— Trudno jednakże podobać sobie w takich zajęciach.

— Ja tam miłuję je z całej duszy. Przyczem (tu oczy Iwaskiewicza ożywiły się) robię teraz wielką próbę, która jeżeli się uda...

— Przyniesie panu wielkie dochody?

— To może nie. Jest to rzecz inna. Pragnę usunąć wszystkich ludzi obcych z fabryki, a mieć robotników swoich, tuziemców. Przez to mam nadzieję wszczęć powoli między nas zamięrowanie przemysłu. A u nas potrzeba podnosić przemysł.

— Jednak słyszałam bardzo dystyngowanych ludzi, mówiących, że przemysł nie zgadza się z naszym charakterem.

— Często i dystyngowani ludzie mówią absurda.

— Tak pan sądzi?

— Szczerze tak sądzę. Nie przeczę, że z natury kraju, rola zawsze będzie stanowiła główne zajęcie większości, ale i gospodarstwo rolne nie powinno ograniczać się produkcją surowych materyałów; ono albo musi stać się przemysłem... albo wyjść z naszych rąk.

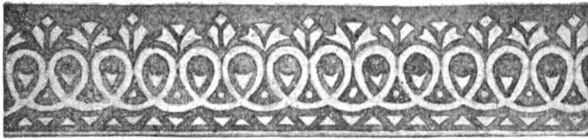
— Mówiono mi, że gospodarstwo przemysłowe potrzebuje znacznych kapitałów.

— Bez kwestyi.

— Skądże ich wziąć?

— Z rozumnej pracy, której więcej nam jeszcze brak, niż kapitałów.





III.

Na Złotopolu gwarno, zgiełkliwe i wesoło. Zjechał pan, a z panem i inni panowie. Przyjechali także z Prus panowie Szulce, Miller, Mitke, Jausch, Wiseman, pełnomocnicy kolonistów. Układy idą żywo i dość szybko posuwają się naprzód. Raz wraz przyszli dziedzice Złotopola chodzą od rządcy, u którego stanęli, do dworu, gdzie stoi pan z innemi panami. I koloniści radują się, poglądając, jak wiatr chwieje zbożem na łąkach mazowieckich, i młody dziedzic z zadowolaniem obserwuje ładowne kieszenie panów Szulce, Millera, Jauscha et comp. Po wsi tylko strach przyszłych sąsiadów, ale co komu do tego? Zbierają się gromadki gospodarzy

i radzą. Wolno i im radzić, niech każdy myśli o sobie. Ożyło całe Złotopole i jeszcze piękniejsze wydaje się, niż zwykle. I to dobra nowina! im Złotopole piękniej się wyda, tem niemcy więcej za Złotopole dadzą.

Prócz chłopów wszyscy kontenci. Pan Maszko rozpływa się z radości, bo oto księżę Antoś, który ma także majątek do rozkolonizowania, chodzi z nim pod rękę lub klepie go po ramieniu i mówi mu: „*cher ami*”, a pan Maszko nazywa go z kolei swoim pocziwym Antosiem. Jaś Złotopolski każe nakrywać do obiadku, a Miś przygotowuje *speech*, który powie przy pierwszym zdrowiu.

— Jasiu! Jasiu! — woła wreszcie księżę Antoś — widziałeś swoją Fanny przed odjazdem?

— Nie, nie widziałem; chcę jej zrobić niespodziankę.

— Ucieszy się mała! — wtrąca Maszko.

— Spodziewam się — odpowiada Złotopolski. — Ma ona dosyć na to rozumu.

— O to najmniejsza! — przerywa księżę Antoś — ale ładna kanalikka. Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie!

Pan Maszko parska śmiechem z całej duszy; on jest tegoż samego zdania, ale nie umiałby się tak dosadnie wyrazić.

— Nie! wiecie panowie — woła pan Maszko — że ten Antoś jest tak wyborny, że ha! ha! ha! uważaliście, jak on to powiedział: „Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie!”

— Ależ, kochany Maszko! każdemu może się trafić powiedzieć coś dowcipnego — mówi skromnie ksiązę Antoś.

— Nie, nie, nie każdemu!

Tymczasem Miś Rossowski zbliża się i, usłyszawszy o co chodzi, mówi:

— Co się tyczy Fanny, to ja wiem, że ona może się liczyć nawet do bardzo wykształconych. Ja wam za to zaręczam.

— A z czegoś to poznał? — pyta Złotopolski.

— Z czegom poznał? Na własne oczy widziałem, jak u Wici Zdzierżyckiej, która, jak wiecie, chce uchodzić za uczoną, Fanny trzymała w ręku książkę z filozofią Hegla.

— No i cóż?

— I cóż? I zobaczywszy, że to Hegel, powiada: „a!” a prosta rzecz, że gdyby nie słyszała o Heglu, toby nie powiedziała: „a!”

— Trzeba było powiedzieć: „b!” — mówi ksiązę Antos — to i tybyś uchodził za uczonego.

Tu już pan Maszko bucha takim śmiechem, że pęka mu spinka przy kołnierzyku, a Miś Rossowski odpowiada:

— Nie puszczaj się, drogi Antosiu, na alfabet, bo wątpię, czy dociągniesz do końca.

— *Ma foi!* i ja wątpię. Jasiu, chodźmy na obiad. Misiu, gotuj *speech!*

Jakoż przechodzą wszyscy do sali jadalnej, z której ścian spoglądają na nich wąsate, groźne twarze dawnych Złotopolskich. Maszko spogląda na nich, jak lis na winogrona. Wszyscy siadają do obiadu.

— A cóż twoi niemcy? — pyta Miś.

— Spodziewam się, że nie z nami — odpowiada Jaś. — Sprowadziłem im bajryszu, który piją teraz u rządu.

— Ależ mają, bo mają talarki.

— Któżby je miał? to tylko na nas takie ciężkie czasy, że niedługo nie będziemy mieli co do ust włożyć! Antosiu, porteru czy piwa angielskiego?... Doskonale!... Misiu, jakie wino pijasz po zupie?

— No, a mój *speech*?

— Powiesz przy mumie. Tak, moi panowie! ciężkie teraz czasy i musimy się djablo ograniczać.

— Kolonizacya to jedyny nasz ratunek.

— Niech żyje kolonizacya!

— Kolonizujmy, parcelujmy! niech żyje kolonizacya!

— Panowie! tylko nie unośmy się — mówi Miś. — Prawdziwi gentlemani nie unoszą się przed bifsztykiem. Tak jest przyjęte.

— *Yes! yes!*

Tymczasem podają bifsztyk, po którym, nawet ludziom najlepszego tonu wolno być wesołemi, a zarazem przynoszą muma, który ma własność rozweselania ludzi wszystkich tonów. Książę Antoś spogląda pod światło na szumiące perełki złotego napoju, potem wstaje i woła:

— Zdrowie gospodarza!

— Zdrowie gospodarza! — powtarza pan Maszko.

— Obyśmy dożyli lepszych czasów!

— Obyśmy dożyli lepszych czasów! — powtarza Maszko.

— Cicho! — woła Miś.

Wszyscy siadają. Miś pozostaje stojący i, trzymając kieliszek, mówi:

— Panowie, mówię poważnie, bo *speech* powinno się mówić poważnie.

„Zebraliśmy się tu, aby odpocząć po pracy i trudach, jakie dla dobra naszego ogółu ponosimy w stolicy. Wprawdzie i tam, mową i drukiem, z pomocą pism, zarzucają nam, że nie robimy nic a nic — ja protestuję („I ja!” woła Maszko). Maszko, nie przerywaj! Ja protestuję! — My to nawet w dzisiejszych ciężkich czasach utrzymujemy godność naszego ogółu. Pytam: dlaczego? A któż ożywia wyższe towarzystwa? Kto stanowi prawa dobrego tonu? kto utrzymuje polor towarzyski, kto dyktuje prawa szyku? — My! Gdyby nas nie było, nie byłoby tego, co nazywamy wyższem towarzystwem, a wszakże Anglia

ma swoich lordów, Francya swoją noblesse, Niemcy swoich baronów. My utrzymujemy tę równowagę u nas. Jest to porządek natury. Kto nie wierzy, niech spojrzy na konie i barany. Są między końmi szkapy chłopskie i folbluty, są między baranami zwykle i merynosy. Sama natura tak postanowiła, sama natura i nas postawiła na czele ogółu. My to bowiem jesteśmy końmi folblut, my jesteśmy baranami z rasy merynos! (Brawo! brawo!). — Nie przerywajcie! A teraz, panowie! jeżeli słowa moje trafiają do waszego rozumu, kto sprawił, że możecie ich słuchać? — Złotopolski. Kto przez kolonizację daje nam przykład, jak powrócić owe dobre czasy, gdy ludzie, jak my, nie mieli długów? — Złotopolski. A przytem on jest tak dobrym folblutem, tak dobrym baranem merinos, jak każdy z nas. Panowie! Sądzę przeto, że ów gentleman zasługuje, aby mu wykrzyknąć: hip! hip! Zatem hip! hip! Jeszcze raz: hip! hip! (Maszko krzyczysz jak mazur, nie anglik!) hurra! hurra!

Jaś Złotopolski dziękuje towarzyszom, trącając się z niemi kolejno. On wie, że

każdy może pójść jego śladem i nie widzi w swoim postępku nic godnego uwielbienia. Przecież kolonistów nie zabraknie.

— Panowie! nie przeceniajmy się wzajemnie!

Wreszcie po kilku jeszcze zdrowiach obiadek się kończy.

— Teraz kawa, cygara i przechadzka — mówi gospodarz.

Jak miło jest na wsi, po dobrym obiedzie i po kawie, pójść jesienią na przechadzkę, gdy na dworze skrzy się pogoda, liść nie szmerze, a w ulewie promieni słonecznych pływają białe nitki pajęczyny. Tak cicho i spokojnie płyną one włókienka z przędzywa Matki Boskiej, jako żywot szlachcica polskiego bez skazy na sumieniu, bez długów na hipotece. Jesień polska, gdy się uśmiechnie, to chociaż rzewnie jakoś, ano już tak pocziwie i serdecznie, że z duszą i sercem kupi cię takim uśmiechem. Wesoło wtedy i radośnie wiejskiemu człowiekowi. Przyszedł czas spocząc po pracy: chlebny czas, zbożny czas! W rzysskach krzyczą z wielką wrzawą koniki polne, a na ugorze pastuch, choć zbył już

fujary, ale i bez fujary zawodzi całą duszą pieśń wiejską:

„Rozbujają się siwe łabędzie po wodzie!”

Młodzi panowie w Złotopolu byli w doskonałych humorach: właśnie zjedli wyborny obiad, byli po kawie; czas był pogodny, pełen słońca, pajęczyny, wrzawy koników i pieśni wiejskich.

Z cygarami w ustach panowie wyszli do ogrodu we dwie pary, Miś ze Złotopolskim, a księżę Antoś z Maszką. Księżę Antoś twarz miał trochę czerwoną, mocno śmiejące się oczy, trochę dymiącą czuprynę i trochę niepewne nogi.

— Ja-siu ko-chany! śliczne to twoje Złotopole, jak mi ho-nor miły — mówił, zwracając się do gospodarza.

Rzeczywiście Złotopole ślicznie wyglądało i zbliżka i zdaleka. Pałac pański prawdziwie wygodny; za pałacem ogród graczony w ulice, szumiący odwiecznymi drzewami; za drzewami szeroka i ogromna szyba wody, młyn, tartak, grobla sadzona jarzębiną, po bokach, jak okiem dojrzał, łąny mazowieckie — i na końcu widnokregu okrawek lasu, czarna, szumiąca choina.

— Śliczne to twoje Złotopole! — powtórzył książę Antoś. — W którą stronę pójdziemy?

— Chodźmy na okop szwedzki; stamtąd piękny widok.

— Gdzież to jest?

— A za ogrodem, niedaleko stawu.

Panowie, przeszedłszy z pół wiorsty, wyszli z ogrodu i wkrótce ujrzeni porośły wrzosem i chwastem wysoki nasyp ziemny, z którego istotnie otwierał się rozległy widok na okolicę.

— To tu? — spytał Miś. — A istotnie ładny stąd widok.

— To okop szwedzki.

— Skąd się tu wziął?

— Jeszcze od wojen szwedzkich. Tu podobno bronił się mój pra-pradziad Karolowi XII.

— Ehe! to tu była bitwa?

— Tak. Tu tylko ziemię poruszyć, zaraz natrafisz na kości.

— Ho! ho!

— A no, patrz! — zawołał nagle książę Antoś — ot, czaszka!

Istotnie, w dołku wypłókanym od deszczów, na podścielisku wrzosów, leżała pożółkła od czasu czaszka; słońce oblewało promieniami ten czerep zapewne jakiego sodalisa, który tu ongi gardło dał, chwyląc imię Maryi i mękę krwawego Chrystusa. Czerep spoglądał pustemi jamami oczu i na Jasia Złotopolskiego i na Misia Rossowskiego i na księcia Antosia. Rozwalona widocznie mieczem lub toporem kość ciemieniowa okazywała czarne wnętrze pełne ziemi i zielska.

— *Après diné c'est un peu dégoûtant* — zauważył Maszko.

Jaś Złotopolski uśmiechnął się.

— Ciekawym, co niemcy zrobią z kośćmi, które tu znajdują. Ale? (tu Złotopolski zwrócił się do Maszki), czy okop objęty pomiarami, czy mój?

— *Nein, nein!* to nasz ma bycz! — zawołał nagle jakiś basowy głos za plecami Jasia.

Był to głos pana Jauscha, który stał obok pana Wiseman i obcierał z potu ogromne i czerwone oblicze. Pan Jausch i pan Wiseman, trzymając w rękach por-

celanowe fajki, poważnie poglądali na okop i na panów, stojących na okopie. Pan Jausch był otyły, pan Wiseman chudy, ale obaj mieli czerwone chustki na szyjach i długie kamizelki z świecącymi guzikami. Pan Jausch pogładził ręką podbródek i powtórzył:

— Mi przyszli tu szpaciren, ale to ma bicz nasz ten wal.

Poczem oba z panem Wiseman wdrapali się na nasyp.

— A cóż wy z tem będziecie robili? — spytał ksiązę Antoś.

— Mi nie tacy głupi, aby pozwolili się marnować takiemu dobry plac — tu będzie ogórki kwitnąć.

— To cmentarzysko dawne, tu pełno kości.

— To nie szkodzi! to kości pójdzie precz, a tu będzie ogórki kwitnąć.

— Musicie lubić ogórki?

— Lubi! lubi! O!... — zawołał pan Jausch, spostrzegłszy czaszkę — prawda, że tu jest kości, aber to będzie z niemi tak!

Tu pan Jausch kopnął silnie czaszkę sodalisa, która, jęknąwszy echem, potoczyła się nadół między wrzosa.

— Ha! ha! ha! twarda polska głowa. Tu będzie ogórek kwitnąć.

Zaśmiał się serdecznie pan Jausch, a pan Wiseman zaśmiał się jeszcze serdeczniej.

Złotopolskiemu nagle krew uderzyła do głowy, a oczy zaświeciły jak węgle. Chwila jeszcze, a i pan Jausch byłby stoczył się z okopu wślad za czaszką sodalisa, ale gospodarz zmiarkował się... Przecież ci koloniści dlatego przyjechali, żeby ratować szlachcica wiejskiego—przecie ich Pan Bóg na to stworzył. Kiedy ratują żywych, niech sobie kopią umarłych. *Honny soit qui mal y pense!*

Panowie wrócili do domu, ale w domu czekała ich nowa niespodzianka. Starsi z gromady Złotopolskiej przyszli z interesem do pana, trzeba było ich przyjąć.

Jaś z resztą towarzystwa wyszedł na ganek; chłopci zbliżyli się ku niemu.

— A czego to chcecie? — spytał.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki. Czego chcecie?

Stary jeden gospodarz skłonił się i począł mówić w imieniu reszty:

— Myśwa przyszli, bośwa słyszeli, że jaśnie pan sprzedaje Złotopole kolonistom.

— A sprzedaję, ale wam co do tego? wy macie swoje grunta, ja mam swoje.

— Nie można rzec! ale myśwa przyszli prosić, żeby jaśnie pan nie sprzedawał Złotopola. Tu nasi ojce pracowali, tu i jasnego pana ojciec żył i pomer, myśwa tu zawsze byli swoi, a z kolonistami nie dojdziemy do ładu. Z niemi nikt nie trafi do ładu; my się ich boiwa; my przy kolonistach zmarniejemy do szczętu. Niech jaśnie pan nie sprzedaje Złotopola. To mazurska ziemia, nie kolonistów. Jak pan z Brzeźnicy ich puścił, to i jemu teraz bieda i gospodarzom bieda. My wolimy, żeby pan grunta dworskie trzymał, niż koloniści.

— Tak mnie kochacie, czy co?

— Ee! prawdę rzec, my jaśnie pana nie znamy; ino się boiwa kolonistów. Ono my rozumiewa, że to teraz czasy takie, czy co, że każdy pan potrzebuje pieniędzy,

ale my byśwa chcieli jako zaradzić, żeby jaśnie pan dostał pieniędzy i nie sprzedawał Złotopola. Ono tu nigdy żadnych kolonistów nie bywało. Ojciec jaśnie pana siedział z nami na roli i byliśwa swoi.

— Jakże to chcecie zaradzić? — spytał Maszko.

— A my byśwa kupili krzynę lasu za to, cośwa się złożyli, ino żeby tych pogonów tu nie bywało.

— Moi kochani! — przerwał Złotopolski — mnie wasza krzyna lasu nic nie znaczy, a jakem postanowił rozkolonizować Złotopole, tak i zrobię. Nie trzeba było oto szkód robić, a zboża wypasać, a okradać mnie na wszystkie strony, tobym nie sprzedawał Złotopola.

— Nie kradliśwa, jaśnie panie, nigdy i nie będziemy — odezwał się jeden z gromady.

— A nie mówił mi to rządca o szkodach?

— Szkoda szkoda, ale nie kradliśwa.

— Niby to nie wszystko jedno?

— Juści nie, jaśnie panie; myśwa pieniędzy nie kradli, a jak tam który niecno-

ta wypasł koniczynę, albo wzion zboża z pola, no to wzion, nie ukradł.

Książę Antoś wziął się aż pod boki ze śmiechu.

— Człeku, bój się Boga! to przecie jedno.

— Nie, jasnie panie, złodziej to taki, co pieniądze kradnie.

— Szczególna filozofia — zauważył Maszko.

— Jasiu! — zawołał książę Antoś — jutro rozmówicie się w Złotopolu, a teraz temu każ dać wódki i niech zostanie, a reszta niech sobie idzie do djabła. Poczekaj-no, mój człowieku, dostaniesz wódki, boś zuch! ale powiedz mi jeszcze, czy ksiądz wasz nic wam o tem nie mówił, że jak kto „wzion”, to to samo, jakby ukradł?

Chłop widocznie nie miał ochoty do gawędy; na twarzy znać mu było frasu-nek; ale jużto może wódka, jużto nadzieja przemówienia jeszcze raz w interesie gromady, skłoniła go do odpowiedzi:

— Jegomość nie mówili o tem nic.

— No, a o czym jegomość mówili?

— Ee! bo to trudno spamiętać.

— Jasiu, każ mu jeszcze dać wódki.

A no, przecie musicie pamiętać, co jegomość mówili?

— Ono przeszłej niedzieli to jegomość narzekali na mularzy chyba, czy co?

— Jasiu, daj mu jeszcze kieliszek! Na kogo? na kogo?

— Na mularzy. U nas jest tylko jeden, karbowego Podysioka syn, ale on się przysięgał, że o niczem nie słyisał.

— A o czemże miał słyiszeć?

— Ano, że mularz chcieli pono Ojca Świętego prochem wysadzić, niby ze dworca, gdzie mieszka, ale w nocy przyszło od Pana Jezusa pisanie do Ojca Świętego, żeby się pilnował.

— Aa! jestem w domu! — zawołał Maszko. — Czy to nie o wolno-mularzach jegomość mówił.

— A ino, ino, ino!

— *Ma foi!* — zawołał ksiązę Antoś — doskonałem się ubawił. No, idź już sobie, mój człowieku!

Ale gospodarz zwrócił się do Złotopolskiego.

— Jaśnie panie, a ze Złotopolem jak będzie.

— Nie nudźcie mnie już wszyscy razem i idźcie do djabła, raz powiedziałem.

— Ha! to trzeba iść. Niech panu Bóg nie pamięta. My głupi ludzie jesteśwa, ale my rozumiewa, że to jakoś nie dobrze dzieje się teraz między panami.

Panowie znów zostali sami.

— Czy rzeczywiście, takie szkody ci robią? — spytał Złotopolskiego Miś Rosowski.

— *Mais parol d'honneur!* i nietylko mnie, ale wszędzie.

— No, to dlaczego raz im tego księża nie wytłumaczają? — przerwał księżę Antoś.

— Bo mają co lepszego do tłumaczenia — odpowiedział Miś. — Dziwię się, mój Antosiu, że nie rozumiesz tego. W dzisiejszych czasach są kwestye ważniejsze i obchodzące bardziej ludzi w dobrym duchu. Wstydź się, Antosiu, tego nie rozumieć.

Księżę Antoś się obraził.

— Wiedzą ludzie i bez tego, kto jestem.

— Dajcie-no pokój — rzekł Złotopol-
ski. — Ot, zmęczyłem się już temi ciągle-
mi sprawami: Wiecie co, robimy pulkę dla
zabicia czasu. Czas, to pieniądze.

— Doskonale zastosowane! — woła Ma-
szko. — Nigdzie tyle, ile przy grze nie
sprawdza się, że czas, to pieniądze.





IV.

Nazajutrz była niedziela, młodzi panowie pojechali więc do kościoła. Po całej okolicy rozbiegła się już była wieść o tem, że w Złotopolu bawi nietylko gospodarz, ale i kilku z młodzieży najwyższego towarzystwa. Dlatego w kościele zjazd miał być liczniejszy, niż zwykle. Każdy ciekawy był widzieć szczególnie księcia Antosia. Cała okolica była poprostu dumna z jego obecności. Sąsiedzi Złotopola, mający córki na wydaniu, długo biedzili się i rozprawiali, czy wypada powitać go mową, czy nie. Stało, że wypada. Pan Sidorowicz, właściciel Drżącej, pogńiewał się nawet z panem Feliksowi-

czem, właścicielem Mszczynowa, o to, jak się ta mówka powinna zaczynać. Pierwszy sądził, że najwłaściwiej będzie zacząć od: „Są chwile w życiu” — drugi uważał taki początek za „trywialny” i proponował: „Gdy na horyzoncie księżyc zajaśnieje.” Wiele z tego powodu było kłopotów, bo przytem żaden z tych panów nie chciał ustąpić drugiemu w tem, kto będzie miał mowę. Jeszcze więcej były wzruszone panie. Dla okolicy bytność takiego księcia Antosia wydawała się faktem niezwykłym, albowiem w całym powiecie, prócz Złotopolskiego, siedziała szlachta jednowioskowa, a nawet i Złotopolski hrabia nie był, co mu poczytywano za złe w niektórych kółkach. Ruch tedy panował wszędzie. Pani Zwiernicka, właścicielka Okopcina, naprzód wystawiała sobie jaki to musi być miły ten *prince Antoine*; ona już dziś (czemu się sama dziwi), choć nigdy go nie widziała, czuje do niego szczególną sympatyę i ręczy, że przecucie jej nie zawiedzie. Również i panny Słomińskie, spierające się zwykle o to, która ma najmniej ciała, wiodą na ra-

chunek księcia Antosia spór jeszcze zaciętszy. Najmłodsza zastrzega sobie nawet z góry, żeby siostry nie brały jej za złe, jeżeli książę Antoś na nią najpierwej zwróci uwagę, bo ona temu nie winna, że ma coś takiego szczególnego w twarzy, co ściąga na nią uwagę wszystkich. Są jednak i takie domy, które oświadczają, że im wszystko jedno, kto będzie na sumie w niedzielę, i jeśli wystąpią trochę uroczyściej, niż zwykle, to wcale nie dla jakichś tam gości z Warszawy, ale dla honoru i dla pokazania, że: „fiu! fiu! z nami niełatwo!” Z tem wszystkiem służba dostaje rozkaz, żeby wystąpić z liberyą, końmi i powozami jak najporządniej.

— A niech mi się jeden z drugim nie dopilnuje — dodaje energicznie pan domu — to ja mu się nie dopilnuję!”

Z drugiej strony w Złotopolu Miś Rosowski, „jedyne dziecko z taktem” i „duża prawdziwego szyku”, jak go zwać w Warszawie, zaklina przyjaciół, żeby, pomimo ciepła, wziąć watowane angielskie paletoty, bo prawdziwy gentleman powinien być zawsze za ciepło ubrany, a przy-

tem powinien nawet i na wsi dawać wzór prawdziwego tonu.

— To jest naszym obowiązkiem — mówi Miś; — niech każdy spełnia swoje posłannictwo, a kiedy Opatrzność postawiła nas jako wzór, bądźmyż prawdziwym wzorem.

Maszko robi uwagę, że dla pospolitej szlachty, tacy ludzie, jak oni — to jest Maszko i jego przyjaciele — nie mają żadnych obowiązków, ale Miś zbija go uwagę, że tacy ludzie, jak oni, już dla siebie samych mają pewne obowiązki, których nie mogą przekraczać.

Panowie ze Złotopola przybywają zatem do kościoła w angielskich paletotach, co sprowadza rumieniec wstydu, na twarze tych z młodzieży wiejskiej, którzy mają letnie okrycia. Niektórzy z nich jednakże biorą za złe warszawskim elegancom te paletoty, uważając w tem chęć ubliżenia szlachcie, a nawet wynoszenia się ponad nią.

Mimo to, oczy wszystkich skierowane są ku gościom z Warszawy, a uwaga tak dalece zajęta niemi, że nikt nawet nie sły-

szy głosu kaznodziei, który to głos jest jednakże tak silnym, że słusznie możnaby się obawiać o dachówki kościoła. Tym razem, ku większemu zbudowaniu chłopskich słuchaczy, spada z ambony Darwin. Mówca widzi go wyraźnie w chwili skonania, jak odwołuje swe pisma, *wije się z boleści i ryczy wściekle*. Ów prawdopodobny ryk Darwina przejmuje słuchaczy taką zgrozą, że jedna z bab, ockniona właśnie z drzemki, woła na cały głos: „O kosteczki, one kosteczki nieszcześliwe!” — z czego znów trudno zrozumieć, czy nad swemi, czy nad darwinowskimi kosteczkami lituje się ta niewiasta.

Tego rodzaju kazania, o ile częste po wsiach, o tyle bywają pożyteczne. Chłopów ostrzegają przed Voltaire’em, masonami, Renanem, Darwinem, a nie-chłopom tłumaczą zarazem, dlaczego ciż chłopci twierdzą, że co innego jest: „*wxion*”, a co innego: „ukradł”. Takimi lichemi sprawami, jak to słusznie zauważył Miś, nie warto się zajmować; daleko ważniejszym jest ostrzegać nieumiejących czytać przed

„*złemi*” książkami, niż pilnować ich pojęć moralnych.

Ale wreszcie kończy się kazanie, a następnie i suma, poczem wszyscy wychodzą przed kościół. Tu mimo ostrzeżeń Misia, że parafiańszczyzną jest nie jechać natychmiast po mszy do domu, niepodobna tej parafiańszczyzny uniknąć, ponieważ Złotopolskiego zatrzymują i witają znajomi. Następuje obustronna prezentacya, przyczem panowie z Warszawy lokują dłonie prawie tuż pod pachami i wyciągają palce, po które, wedle wyrażenia Misia, kto chce, niech sobie sięga. Jakoż szlachta sięga, a pan Sidorowicz z panem Feliksowiczem zbliżają się jednocześnie do księcia Antosia.

— Są chwile w życiu... — zaczyna pan Sidorowicz.

— Gdy na horyzoncie księżyc jaśnieje... — przerywa pan Feliksowicz.

— Przepraszam pana! nie o tem mowa.

— Bardzo pana przepraszam!

Tu obaj mówcy rozdymają nozdrza i spoglądają na siebie z wściekłością, a księżę Antoś na nich ze zdumieniem; szczę-

ściem, zbliża się proboszcz i zaprasza towarzystwo do siebie, dokąd i damy już przeszły.

Rzeczywiście panowie zastają damy na plebanii. Po prezentacji, pani Zwiernicka z Okopcina rumieni się lekko i, zwracając do księcia Antosia, mówi:

— Nigdy nie miałam szczęścia widzieć księcia, a jednak poznałam go odrazu.

— Jakimże sposobem, szanowna pani?

— Znałam w Waszawie kilku członków pańskiej rodziny. Pan masz rysy zupełnie książąt M...skich... szczególniej nos!...

Książę Antoś dotyka ręką tej szacownej części ciała, która zwróciła uwagę pani Zwiernickiej i odpowiada:

— O tak, pani! my wogóle mamy nosy...

— Mające coś szczególnego — przerywa najmłodsza panna Słomińska. — Są pewne rysy, mające coś szczególnego — dodaje, spuszczaając skromnie oczy.

— To zależy, jak czyje — odpowiada pani Zwiernicka. — Jakże księciu podobała się nasza okolica.

— Prześliczna, *ma foi!* szczególnie płeć piękna; nie znajdzie sobie równej w całej Europie! A nawet, co mówię w Europie? w całej Warszawie.

Ogólne rozradowanie. Panna Słomińska spogląda na księcia Antosia i uśmiecha się wstydliwie.

— *Charmant! délicieux!* — szepcze w zachwyceniu pani Zwiernicka.

— Książę zapewne stale Warszawę zaszczyca swoją bytnością? — pyta pani Sidorowicz.

— Owszem, szczególnie latem, zaszczycam i wieś — odpowiada naiwnie zapytany.

— Zapewne dla gospodarstwa, a raczej zarządu włości?

— O, nie! To rzecz mego rządcy; ja przyjeżdżam tylko czasem dla polowania i krowi. Czy w tej okolicy znajdują krowi?

— Niestety! bardzo mało.

Miś Rossowski, który aż do tej chwili, jak przystoi na prawdziwego gentlemana, nie mieszając się do rozmowy, patrzył na sufit, zwraca się nagle ku panom i mówi:

— Dziwię się bardzo, jak mało u nas starają się o rozpowszechnienie tej gry, która jednak stanowi główną rozrywkę arystokracji angielskiej.

— I nietylko angielskiej, ale arystokracji całego świata — wtrąca Maszko. — Przypomnij sobie, Misiu, że i my po całych dniach grywamy w krokieta u hrabiostwa W.

— Tembardziej, że nasz kraj, zdaje się, sama Opatrzność stworzyła do krokieta. Kraj jest równy i trawniki udają się doskonale.

Pani Zwiernicka i panny Słomińskie oświadczają, że i im trudno zrozumieć, jak mogły istnieć dotąd bez gry, a pani Sidorowicz dowodzi, że nawet już dawno prosiła o to męża.

— Mężu! musisz kochanie sprowadzić krokieta.

— Kogo, duszko? — pyta pan Sidorowicz.

— Figlarz! udaje, że nie wie, o co chodzi — woła pani Sidorowicz, chcąc ukryć rumieniec, jaki na twarz jej wywołała ignorancja męża. — Jabył nawet sama się

tem zajęła, ale naprzód, ja ciągle jestem niezdrowa, a powtóre, ja tyle mam na głowie!

Tu oczy wszystkich mimowoli zwracają się na głowę pani Sidorowiczowej, której kok zdołałby przekonać najzatwardziały, że dama ta istotnie niemało ma na głowie.

Tymczasem inna grupa wiejskiego towarzystwa, złożona z mężczyzn, zbranych koło Jasia Złotopolskiego, z niemniejszym zajęciem rozmawia o kolonizacji, jako o jedynym środku, pozostałym dziś szlachcie.

— Szczęśliwyś, szczęśliwyś sąsiedzie! — mówi pan Feliksowicz. — Myśmy wszyscy powinni iść twoim śladem.

— Moi panowie! — odpowiada Jaś — każdemu otwarta droga. Dzisiejsze nasze położenie jest takie, że pozostaje nam albo rozkolonizować majątki, albo z nich wyjść.

— Tylko, że jak rozkolonizujemy, to także z nich wyjdziemy — robi uwagę jeden ze słuchających.

— Nie jestem ja też za tem, żeby sobie nie zostawić jakiejś części. Owszem,

ponieważ obywatele wiejscy są czołem ogółu, każdy z nas przeto, moi panowie, powinien sobie zostawić dwór i część ziemi, żeby nie stracić charakteru posiadacza wiejskiego.

— Ale oczywiście, to tego, ho! ho! mości dobrodzieju! — woła otyły pan Waszkowski — no bo i bez tego, mości dobrodzieju!... Co to ja chciałem powiedzieć?

— Namysł się pan — odpowiada pan Feliksowicz.—Ale skądże szanownemu sąsiadowi taka myśl szczęśliwa przyszła? — pyta Złotopolskiego.

— Myśl to nienowa i podobno praktykowana już oddawna między nami. Co do mnie, wyznaję, że winienem ją przyjacielowi memu, panu Maszko.

Obecni obywatele ściskają kordyalnie rękę Maszki, który mówi z rozrzewnieniem:

— Panowie! ludzie, jak my, powinni sobie pomagać.

— Co to ja chciałem powiedzieć?! — woła grzmiącym głosem pan Waszkowski.

Ale ruch powstających osób nie pozwala panu Waszkowskiemu przypomnieć

sobie, co chciał powiedzieć. Wszyscy żegnają z uniesieniem Misia, Jasia i Maszkę, a szczególnie księcia Antosia, którego bytność pozostanie na długie czasy w pamięci powiatu N. Pani Zwiernicka nie żegna go inaczej, jak: „do widzenia!” Ona wie na pewno, że kto ma rysy książąt M...skich, ten będzie miał i wrodzoną im grzeczność, zatem nie inaczej, jak: „do widzenia!”





V.

Tymczasem w Warszawie rzeczy zaczęły brać obrót dla Złotopolskiego wielce niebezpieczny. Pan Maciej Iwaszkiewicz coraz lepiej był widziany i przez panią Bujnicką i przez Fanię. Próbowwała wprawdzie pani Bujnicka dowiedzieć się z różnych źródeł o istotnym stanie spraw Złotopolskiego, ale próby nie udawały się najczęściej. Książę Antoś i Miś Rossowski, którzy niedawno wrócili ze Złotopola, mogli ją rzeczywiście objaśnić, ale ci związani słowem, jak wiemy, przez Jasia, milczeli, lub wyrażali się o nim tak tajemniczo, że to tylko powiększało niespokojność pani Bujnickiej.

— Ja jestem matka — mówiła ta dama — i nie mogę oddać dziecka w ręce człowieka bez majątku. Iwaszkiewicz, jakkolwiek nierówny Złotopolskiemu, wyszłachetni się przez związki z nami. Zresztą, w dzisiejszych smutnych czasach pieniądze wiele znaczą, a kto wie, czy nie wszystko.

Pani Bujnicka patrzyła jednak zbyt pesymistycznie na dzisiejsze czasy. Pieniądze wprawdzie dziś wiele znaczą, ale nie wszystko. Obok kapitału brzęczącego istnieje w praktyce towarzyskiego żywota i drugi kapitał, który, choć umarły, daje jednak kupony, mające wcale niezły kurs w praktyce. Kapitałem tym są trumny pradziadów. Iluż to ludzi żyje wyłącznie z tego kapitału, a ma się jednak dobrze. Jadają dobre obiady, piją dobre wina i palą dwuzłotowe cygara. Na świecie wszystko jest handlem i wymianą. Ci, którym brak kapitału trumien, kupują obiady, wino i cygara posiadającym go, a wzamian kupują też i zaszczyt ich towarzystwa i możliwość prowadzenia się z nimi pod ręką.

kę i prawo mówienia im: Jasiu, Misiu, Antosiu etc.

Potem drwią wprawdzie z siebie wzajemnie, ale handel na tem nie traci, a życie zyskuje.

Pani Bujnicka miała jeszcze jeden powód przyjmowania łaskawiej Iwaszkiewicza.

Powodem tym była Fania.

Fania zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Dawniej zawsze swobodna, a jednak pełna chłodu i panująca nad sobą, dziś stawała się zamyśloną, nieuważną, mniej ostrożną w wyrażeniach i nakoniec okazywała Iwaszkiewiczowi więcej nawet przychylności, niż pozwalały na to prawa form towarzyskich.

Przyszło do tego, że pani Bujnicka musiała zwrócić uwagę córki na zbyt wyrazistość ich stosunków.

— Faniu — rzekła — jakkolwiek nie mam nic przeciw Iwaszkiewiczowi, ale pomyśl, moja duszko, czy nie zbyt wyraźnie okazujesz mu... nie chcę wymówić tego słowa! Pamiętaj tylko, że zwłaszcza pannom naszego towarzystwa nie przystoi

okazywać wyraźnie przy wszystkich... nie chcę wymówić tego słowa.

Pani Bujnicka była matką wielce troskliwą i wielce dbałą o wychowanie córki. Zdarzyło się raz, że kiedy Fania miała lat piętnaście, a wujaszek sprzeciwiał się jej, że musi iść za męża, pani Bujnicka prosiła go, żeby nie używał przy jej córce wyrażen niemoralnych.

Tymczasem Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich prawie codziennie. Widywali się przytem z Fanią i na rozmaitych zebraniach towarzyskich. Widywali się na herbatach z *kanapkami* u hrabstwa W., tam właśnie, gdzie codziennie grywano w krokieta; widywali się na herbatach z *tartinkami* u senatorowej M., gdzie znów Zubicki, znakomity literat przyszłości, czytywał swoje artykuły: „*O stosunku szlachty łęczyckiej do rozwoju cywilizacyi w ogólności.*” Nakoniec spotykali się dość często, a może najczęściej, na wieczorach państwa C...skich, które cudowny dwunastoletni wirtuoz, hrabia Józio, uprzyjemniał grą na skrzypcach, a starszy jego brat, „nieporównany” hrabia Władzio, sztukami ma-

gicznemi i doświadczeniami z magnetyzmem zwierzęcym, wykonanemi na suce gospodyni domu.

Uspokajało to do wysokiego stopnia panią Bujnicką, że Iwaszkiewicza przyjmowano we wszystkich tych domach z całą grzecznością, a raz nawet sam książę Tadeusz chodził z nim pod rękę blisko kwadrans, potem zaś, zbliżywszy się do pani Bujnickiej, rzekł:

— Nie chciał mi się przyznać Iwaszkiewicz, że stara się o rękę Fani, ale tak ogólnie mówią, i jeżeli tak jest, to winszuję kuzynce.

Pani Bujnicka spojrziała ze strachem na mówiącego, w obawie czy nie drwi, ale książę Tadeusz był poważny, zresztą siwe jego włosy nie pozwalały przypuszczać, żeby drwił.

— Tak!... to jest... on bywa... to jeszcze niepewne — odpowiedziała pani Bujnicka.

— Dajcie mu bez wahania córkę, kuzynko. On pójdzie wysoko.

— Przed tobą, kuzynie — odpowiedziała ucieszona dama — nie będę ukry-

wała, że i on ma swoje *ale*, t. j. że on sam sobie podobno wszystko winien, ale cóż robić nam w dzisiejszych czasach, tembardziej że Fania okazuje mu wiele sympatyi.

Tu troskliwa matka wskazała księciu Tadeuszowi na Fanię, do której właśnie zbliżał się Iwaszkiewicz.

— Patrz, kuzynie! — rzekła pani Bujnicka.

Rzeczywiście twarz Fani, gdy młody człowiek stanął przed nią, zajaśniała uśmiechem. Podniósłszy się nieco, zebrała jedną ręką fałdy sukni i, wskazawszy mu miejsce obok siebie, zaczęła ożywioną rozmowę.

Porzucimy i my księcia Tadeusza z panią Bujnicką, a posłuchajmy rozmowy młodej pary.

— Jakże pan znajduje wieczór dzisiejszy? — zaczęła Fania.

Inżynier spojrział po oświetlonym salonie i spytał:

— Pani lubi wieczory i zabawy?

— Ja przyznam się panu, że wolę mój pokój, w którym mogę myśleć o tem,

co mi najmilsze, ale mama chce, żebym się bawiła, więc muszę bywać, choć onegdaj naprzykład nudziłam się z całej duszy u senatorowej L. Dlaczego pan tam nie był?

— Nie miałem czasu, zresztą nie wiedziałem, że panie tam będą.

— Jak to nieładnie z pana strony, a ja myślałam, że pan przyjdzie i tak mi smutno było jakoś samej słuchać wywodów pana Zubickiego o stosunku szlachty łączyckiej do cywilizacyi w ogólności.

Inżynier spojrział na nią ze spokojnem, ale głębokiem przywiązaniem.

— I wczoraj pan u nas nie był — ciągnęła tonem wyrzutu Fania.

— Niech mi pani wierzy—odparł — że tyle tylko mam chwil prawdziwego szczęścia w życiu, ile spędzam ich u państwa, ale muszę pracować na chleb powszedni.

Fania uśmiechnęła się nieznacznie.

— A przytem — ciągnął dalej Iwaszkiewicz—w pracy cała moja wartość, nie chciałbym jej tracić w oczach pani.

— Od tylu lat nauczyłam się cenić pana, że opinii mojej w tym względzie

nic nie zmieni. Ale pracując, nie trzeba zapominać o przyjaciółach.

— Zawsze o nich pamiętam.

— O, niech pan pamięta! a co do opinii ich, niech pan będzie spokojny. Niestety! to ja powinnam się lękać. Wiem, że ja nie umiem dorównać panu, ani się podnieść do jego wysokości (tu w głosie Fani zadźwięczał smutek). Wiem, że panna, przywykłego do życia seryo, może i nudzi moje szczebiotanie, ale niech mi pan wierzy, że ja pragnęłabym z całej duszy zasłużyć na szacunek pana, pragnęłabym mu dorównać, ale właśnie dlatego potrzebuję wskazówek pana. Pan mnie już tyle nauczył, w tylu rzeczach otworzył mi oczy na świat, że i nadal proszę o pomoc pańską. Pan mi nie odmówi?... prawda?

Tu Fania złożyła z wyrazem prośby białe rączki i pochyliła główkę tak, że złote jej loki posypały się po ramionach.

Iwaskiewicz potarł dłonią czoło, i z przymkniętymi oczyma zdawał się snić jakimś czarownym snem. Miękkie, pieszczone słowa Fani płynęły niepojętym

czarem do jego uszu. Zdawało mu się, że cały chór słowików przyleciał z wilgotnych olszyn i zaczął pieśń skrzydlatą, że całe powietrze pełne było poprostu anielskiej muzyki. Cały salon wraz z szeregiem lamp, z rojem gości, z obnażonymi ramionami kobiet, z twarzami mężczyzn, zakręcił mu się w oczach.

Ale nie zdobył się na odpowiedź, bo w tej chwili ozwały się skrzypce cudownego dwunastoletniego wirtuoza i czar przysnął. W salonie powstał szmer gotujących się do słuchania gości i nieśmiertelny Bethowen zaczął jęczyć całą gamą przeraźliwych tonów, ryczyć basem, piszczyc w niebogłosy wiolinem... zapewne z zachwytu nad wybornem wykonaniem swej sonaty ręką cudownego wirtuoza.

Na twarzach słuchaczy pojawił się podziw i zdumienie. Oto stary hrabia W. okręca szybko palce rąk złożonych na wydatnym żołądku, zamruża oczy i kiwa w takt głową, a twarz jego wyraża taką ekstazę, że lada chwila rozplynie się we łzach; pani Bujnicka od czasu do czasu zwraca się do pani C. z żywemi giesta-

mi przeczenia, na znak, że temu, co sły-
szy, niepodobna uwierzyć, a znany lite-
rat, chorąży światła, Zubicki, przewraca
nuty cudownemu dziecku i rzuca spoj-
rzenie na grupy panien, rozdymając przy-
tem nozdrza.

Wreszcie egzekucya Bethowena koń-
czy się, następują oklaski; czarne fraki
zajmują dawne miejsca obok różnokolo-
rowych sukien; po całym salonie brzmi
nanowo ożywionym gwarem rozmowa,
najczęściej o cudownem zjawisku, które
ogładano przed chwilą.

— *Magnifique! magnifique!* — woła obok
Fani cienki głosik młodziutkiego filara
salonowego. — *Savez-vous mademoiselle que
c'est incomparable!* Dosyć powiedzieć, że ja
nawet, któremu zarzucają zbytnią złośli-
wość w sądzeniu dzieł sztuki, a jednak
wyznaję, *que je suis vaincu.*

Fania spogląda na drobniuchną postać
i bezwąsą twarz młodzieńca, któremu za-
rzuca zbytnią złośliwość w sądzeniu dzieł
sztuki i odpowiada:

— Nie wiedziałam, że pan już taki
surowy.

— Chciałem nawet — odpowiada młodziutki filar — iżby po egzekucyi Bethowena egzekwował jeszcze i Chopina, ale powiedziano mi, że czeka nas co innego.

— Cóż nas jeszcze czeka?

— Doświadczenia hrabiego Władzia z magnetyzmem. Oto nawet wnoszą już stół. Muszę iść, bo się tam bezemnie nie obejdzie.

Z temi słowy młodziutki filar opuszcza Fanię i śpieszy tam, gdzie jego obecność jest konieczną.

— Przerwano nam naszą rozmowę — rzekła Fania — a chwila jej była dobra, ale teraz znów jesteśmy tak prawie, jak samotni.

Iwaskiewicz spojrział na nią wyrazistemi oczyma.

— Zatem dla mnie wraca dobra chwila — rzekł.

Fania zamyśliła się jakoś.

— Każda dobra chwila ma to do siebie — rzekła — że już nie powraca raz drugi.

— I dlatego?...

— Dlatego trzeba umieć z niej korzystać.

— O, pani! nie jedna chwila w życiu bywa jak zasłona, pokrywająca przyszłość. Człowiek przychodzi aż do niej, i sam nie wie, czy ją podnieść, czy czekać jeszcze. W niepewności jest ból, ale jest i nadzieja.

— Odwagi trzeba, panie Iwaszkiewicz.

— A czasem i zachęty.

— Kto doradza odwagę, ten zachęca.

— A jednak, jak to trudno! Panno Fanny! oto taka zasłona leży teraz na oczach moich. Nie wiem, czy po zerwaniu jej zobaczę światło, czy ciemność. Ale, pani, w imię naszej dawnej przyjaźni, powstrzymaj mnie lub zachęć wyraźnie — powiedz: „zerwij” lub: „daj pokój”.

Była chwila długiego milczenia, podczas którego serce Iwaszkiewicza biło śmiertelną trwogą.

Fania zakryła twarz wachlarzem, ale razem z szelestem jego skrzydełek doszedł Iwaszkiewicza jeden cichy, jak ruch piór łabędzich, wyraz:

— Zerwij!

— Ja panią kocham! Fanny, ja ciebie kocham!

Fania nie odrzekła nic, ale jeszcze troskliwiej zakryła twarz wachlarzem, a ręce jej drżały widocznie. I znowu niepewność wstrząsnęła sercem Iwaszkiewicza, a niepewność ta trwać miała tem dłużej, że w tej chwili „nieporównany” hrabia Władzio, magnetyzujący suczkę gospodyni, zawołał:

— *Voyez mes dames et mes demoiselles!*
Oto suka śpi już od pięciu minut i jeżeli ścisnę ją teraz za ogon, ani piśnie, tak wielką jest potęga magnetyzmu.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy wrzask suki, dowodzący, jak wielką jest w istocie potęga magnetyzmu; poczem nastąpiły żywe oklaski podziwu i uwielbienia dla nieporównanego hrabiego Władzia, który tak szczęśliwie umiał połączyć głęboką wiedzę z wysokim urodzeniem i majątkiem.

To wszystko sprawiło, że Fania nie mogła dać odpowiedzi Iwaszkiewiczowi. Równocześnie zbliżyło się do niej kilku

innych filarów salonów państwa C., a następnie przyszła i sama pani Bujnicka. Iwaszkiewicz z coraz wzrastającym niepokojem zauważył, że Fania przez resztę wieczoru była milcząca i niby smutna; unikała starannie jego wzroku, a oczy jej błędziły z nieokreślonym wyrazem po całym salonie. Zmiana w jej twarzy uderzyła wkrótce i matkę.

— Co tobie jest, Fanieczku, czyś nie chora? — spytała matka. — Może wrócimy już do domu?

— Dobrze — odrzekła krótko.

-- Ale obiecałam odwieść panią Szemiot. My wysiadziemy, a ona pojedzie dalej. I ja już jestem zmęczona. *Et voila* i pani Szemiot! Jedziemy.

Fania była niepojęcie milcząca. Nawet wówczas, gdy Iwaszkiewicz już w przedpokoju otulał ją ciepłym płaszczem jesiennym, prócz lakonicznego „*merci*”, nie usłyszał od niej ani słowa.

Dopiero gdy wsadziwszy panie do powozu, gotował się zamknąć drzwiczki, Fania przerwała milczenie.

— Mamo — rzekła — niech pan Iwaszkiewicz siada z nami; odwiezie dalej panią Szemiot.

Iwaszkiewicz wsiadł więc do karety. Mimo całego niepokoju nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu rozkoszy, gdy na dość ciasnem siedzeniu znalazł się obok Fani, i gdy za każdym silniejszym wstrząśnieniem dotykał ramieniem jej ramienia. Zresztą, jako tonący w każdej desce widzi ratunek, tak i on ostatnią interwencję Fani poczytał za dobry znak. Przecie jej milczenie mogło być tylko skutkiem wzruszenia. Nie słucha się w dwudziestym drugim roku życia czarownego słowa *kocham* spokojnie. Trudno je wymówić, ale równie trudno go wysłuchać bez gwałtownego bicia serca. Każdy, kto je raz w życiu wymówił lub wysłuchał, pamięta dobrze, jakie wzburzenie, jaki niepojęty zamęt, jaką rozkosz, ale i jaki przestрах budzi ono, gdy płynie nietylko z ust, ale i z serca. Hej! świat się zatoczy, zakręci i pociemnieje i zabłyśnie razem. Słyszysz szum własnej krwi w żyłach, szelest własnego pulsu. Jedno ma-

leńkie słówko! a jest w niem tyle wartości, ile warto szczęście. Nie więcej rzuca światła cicha błyskawica na tło nocne, jako to słowo na ciemne i głupie strony żywota. Ale ma i ono stronę odwrotną. Gdy brzmi bez echa, bywa śmiesznem, gdy bez prawdy — nikczemnem. A jednak często brzmi i w ten sposób. Biblia nie może zabronić szatanowi, żeby ją cytował, tak i ono nie może zabronić mężczyznom, żeby je kupowali, kobietom, żeby je sprzedawały; głupcom wogóle, żeby go nie rozumieli; konwenansowi, żeby je odrzucał. Dla konwenansu jest ono za silnem, a jeśli porównanie do błyskawicy się podoba, i za jaskrawem. Stąd ucywilizowany i ogładzony głupiec nie wymawia go, ale daje do zrozumienia z pomocą omówień, które są plewą nawianą powiewem prawdy i prostoty. Iwaszkiewicz złamał konwenans, ale nie popełnił ani śmieszności, ani też był nikczemnym, bo mówił prawdę. Wstąpiła przytem w niego nadzieja, że i Fania nie poczyta mu za złe owego złamania praw towarzyskich. Dlaczego jednak milczała?

Kareta toczyła się szybko wśród głuchych i pustych ulic. Osoby, siedzące w karecie, pod wpływem rozlicznych wrażeń nie mówiły do siebie nic.

Pani Bujnicka spała, — jeżeli nie tak uprzejmie, jak miała zwyczaj sypiać na kanapach podczas długich wieczorów tańczących, to równie smacznie. Pani Szemiota tonęła zapewne w rozmyślaniach, że jechać kareta daleko jest wygodniej, niż chodzić piechotą. Iwaszkiewicz nakoniec rozmyślał, że owa śliczna i ukochana jego Fania, której oddech mógł teraz łowić uchem, krótką już tylko chwilę będzie przy nim tak blisko.

Nagle ciszę przerwało westchnienie Fani.

Westchnienie to było tak ciche i niewyraźne, że nie dosłyszała go ani pani Szemiota, ani pani Bujnicka, a i Iwaszkiewicz odczuł je raczej.

Nagle zadrżał.

Zdało mu się, że Fania silniej oparła się na jego ramieniu.

Tymczasem z wolna kłoniła się ku niemu jej złota główka. Pełne woni, a mięk-

kie jak pela, loki musnęły mu skroń raz i drugi. Za chwilę twarz jego owionęło jej ciepłe tchnienie. Dziwny jakiś dreszcz rozkoszy wstrząsnął nim od stóp do głowy. Równocześnie wśród fałd burnusa zbliżała się ku niemu biała, jak kwiat, ręka. Dotknięcie loków powtórzyło się znowu, a wkrótce uczył cały ich potok na ramieniu. W ciszy nocnej mógł już usłyszeć bicie pulsów w skroniach Fani. Nagle głowa jej z całym zaufaniem snu lub miłości spoczęła na jego ramieniu.

Wtedy odszukały się ich dłonie i tak już trwali w wielkiej ciszy, a w większym jeszcze szczęściu.

Ale, o czytelniku! powiem coś na ucho, Fania nie złamała konwenansu, bo... konwenans tam się kończy, gdzie się zaczyna szara godzina.





VI.

Jaś Złotopolski nudził się z całej duszy w Złotopolu i jeśli nie wyjeżdżał „*comme tous les diables*” do Warszawy, to tylko dlatego, że Maszko trzymał go, jak to mówią, za poły. Maszko był człowiek nieoszacowany. Kto z panów obywateli, mających do rozkolonizowania ojczysty majątek, wyobraża sobie, że to tak łatwo, ten może się srodze zawieść.

Jaś nigdyby sobie nie dał rady, gdyby nie Maszko. Ale z pomocą tego ostatniego sprawa szybko posuwała się naprzód, a nawet z wyjątkiem niektórych prawnych formalności można ją było uważać za skończoną. Złotopole wkrótce po wyjeździe Misia i Antosia zmieniło się do niepoznania. Teraz wyglądało jakby obóz.

Na ogromnem podwórzu między zabudowaniami folwarcznemi stały szałas i namioty cywilizacyjnej awangardy, która z żonami i dziećmi ściągała do Złotopola. Tymczasem rąbano las, a przy końcu cienistej lipowej drogi, prowadzącej do dworu, widniały już żółte zręby belek mających się stawiać domów; obok kup cegły wznosiły się stosy gątów lub wiórów, wśród których kręcili się z piłami lub siekierami pracowici przybysze w krótkich kaftanach, a długich kamizelach. Budowle wznosiły się szybko; nikt nie przeszkadzał kulturträgerom. Czasem tylko osowiały jaki mazur, przechodząc koło rozpoczętych budowli, zwijał w kłęby potężne pięści i spoglądał z podełba, jak pies na łańcuchu, na przyszłych swych sąsiadów. Ale nie przychodziło do zajść.

Wieś była dosyć odległa, a parobcy dworscy mieli najsurowszy rozkaz niedawania zaczepki. Zresztą i koloniści zbyt już licznie ściągnęli, żeby się mieli obawiać! Pełno ich było wszędzie i w czworakach i w zabudowaniach folwarcznych. Ktoby wieczorem przechodził koło czwo-

raków, ten mógłby osądzić, że cudem jakim został przeniesiony w krainę Szprei. Z okien biło jasne światło i dochodził gwar ożywionej rozmowy; czasem pudel zaszczekał, czasem zadźwięczała gitara, zabrzękły kufle. Zamiast pieśni, onych prostych o Jasieńku i Kasieńce, brzmiała teraz bardziej ożywiona nuta: „*Wo ist das deutsche Vaterland?!*” zamiast smętnego: „*danaż, oj dana!*” słychać było weselsze: „*ein, zwei, drei!*” Nigdy tyle życia nie bywało w Złotopolu, chyba może za tych czasów, gdy dwór i dziedzińce wrzały rojami szlachty, zgromadzonej na turka lub szweda. Ale dziś był to widok spokojniejszy i bardziej stosowny do naszej epoki. Zamiast strasznych pancernych, kręciły się po podwórzu jasnowłose *Mädchen*, po płotach zamiast kulbak i znaków bojowych zwieszały się niebieskie pończochy tychże *Mädchen*. Ehe! inne trochę czasy, a tamte minęły, jak i wiele innych rzeczy, które minęły także...

Z początku bawił Złotopolskiego ten ruch i to rozbudzone życie. Przytem czuł to, co czuje każdy człowiek po spełnieniu

dobrego czynu. Wprowadzał żywioły cywilizacyjne, dawał dobry przykład obywatelstwu, wychodził z długów, sprzedawał Złotopole, a jednak je miał, wedle wyrażenia Maszki, bo zostawały mu: dom i ogród. Słowem, urosł sam we własnej opinii. Ależ miało to wszystko i swoje ciemne strony. Trzeba było siedzieć na wsi, jeździć do powiatu, wchodzić w stosunki z urzędnikami, ścisnąć się z nimi za ręce, podawać im otwartą na roścież porte-cigares, aby czerpali z niej dla utrwalenia stosunków, trzeba było zapraszać ich na śniadania, gadać z nimi, patrzeć, jak przymrużają jedno oko na znak, że sprawa idzie dobrze, dziękować za zapewnienia, że: „ile się *da*, tyle się zrobi” i tak dalej. Tego wszystkiego nie lubił nasz wykwintny bohater. W końcu za tęsknił za Warszawą i za towarzystwami i za swym zwykłym trybem życia i za Misiem Rossowskim i za księciem Antosiem i za swym groomem w obcisłych ineksprymablach i za tem wszystkim, czem był zwykły wypełniać czas od godziny dziesiątej rano do drugiej po północy.

Jeden tylko Maszko dotrzymywał mu towarzystwa, ale i ten wyjeżdżał dość często z kolonistami, a w końcu wyjechał na dwa dni do Warszawy.

— Gdy wrócę, spodziewam, że już wszystko będzie skończone — rzekł mu, wyjeżdżając.

— Ach! przekłete to Złotopole — odmruknął Jaś — czy koniecznie muszę zostać?

— Musisz, przyjadą tu geometrzy, trzeba będzie ich przyjąć. Kochany Jasiu! dwa dni tylko.

— Przez które jeśli nie zwaryuję, to będzie cud.

— Przywiozę ci wiadomość z Warszawy. Ciekawys zapewne, co tam słychać w naszych kółkach.

— No jedź już.

— Adieu!

Te dwa dni były dla Jasia najgorsze. Dwa dni siedzieć prawdziwemu gentlemanowi na wsi, w zupełnej samotności, to istotnie rzecz nie mała. Jaś chętnie byłby pojechał w sąsiedztwo do pani Zwiernickiej, Feliksowiczów lub Słomiń-

skich, ale znów nie wiedział, kiedy przyjedzie geometra. Na dobitkę zapomniał w Warszawie pilniczka do paznokci, bo gdyby był nie zapomniał, miałby przynajmniej zajęcie, ale bez pilniczka ani rusz. Jasiowi mimowoli przyszła na myśl uwaga, jak trudno jest być wzorem obywatelstwa i dawać dobry przykład, niechby przez parę tylko tygodni. Wprawdzie znalazł niejaką ulgę w tej uwadze, jednakże nie spodziewał się, żeby mu wystarczyła na całe dwa dni.

Nie tak więc nawet kochanek wygląda przyjscia oblubienicy na umówione rendez-vous, jak on wyglądał powrotu Maszki.

Drugiego dnia zrana przyjechał geometra dla ostatecznego potwierdzenia wymiarów, ale z niego Jaś nie miał wielkiej pociechy z tej przyczyny, że geometra był trochę głuchy, a na wszystko, co do niego mówiono, wyszczerzał zęby, wytrzeszczał oczy i odpowiadał z wyrazem zdziwienia:

— Wszelako?!

Jaś był w rozpacz.

Ale wszystko ma swój koniec, nawet dwie doby na wsi. Trzeciego dnia zaturkotał powóz przed gankiem — Maszko przyjechał.

Jaś wybiegł na ganek.

— Skończone? — spytał.

— Skończone.

Jaś odetchnął głęboko, potem podał Maszce obie ręce.

— *Je vous remerci de tout mon coeur!*

— Ludzie, jak my, powinni sobie pomagać.

— Pieniądze odebrałeś?

— Odebrałem więcej, niż się spodziewałem: trzykroć pięćdziesiąt.

— Bardzo zmęczony?

— Nie! albo co?

— Bo za godzinę wyjeżdżamy do Warszawy.

Maszko położył rękę na ramieniu Złotopolskiego.

— Niebardzo masz po co tam wracać.

— No?

— To, co wiem, nie może ci być przyjemnem.

— Zwłaszcza, gdy nie wiem, o co chodzi.

— Więc powiem ci, że spóźnisz się trochę. Fanny wychodzi za Iwaszkiewicza. Już jest po deklaracyi.

Maszko mówił to z pewną troskliwą przezornością, ale jakież było jego zdziwienie, gdy, zamiast spodziewanego wybuchu, Złotopolski rzucił spokojnie kawałek niedopalonego cygara i rzekł:

— Ho! ho!

— Jasiu! — zawołał wówczas z entuzjazmem Maszko — my wszyscy, których *noblesse oblige*, staramy się być gentlemanami, ale ty jesteś niedoścignionym wzorem!

— Gdyby tu był Miś — rzekł obojętnie Złotopolski — przypomniałby ci, że przede wszystkim prawdziwy gentleman nie unosi się.

— On sam uniósłby się nad tobą.

— Zresztą, mój kochany — ciągnął Złotopolski — jeśli przyjąłem tę wieść obojętnie, to tylko dlatego, że nic nie tracę i niczego się zrzekać nie myślę.

— Jakto, nawet Fani?

— I Fani.

— A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z nią, skoro został przyjęty?

— Ja! — rzekł z mocą Jaś.

Maszko zauważył, że przy owem: „ja” oczy Złotopolskiego zabłyśły dziwną dumą, że mimo delikatności rysów, stał się wówczas podobny do wszystkich Złotopolskich, których portrety wisiały w sali jadalnej.

— Czy ty myślisz—spytał — że Iwaszkiewicz ci ustąpi?

Złotopolski uspokoił się szybko i odpowiedział już chłodno.

— To mi wszystko jedno, wiem tylko, że ja nie ustąpię. Mój drogi Maszko! wierzaj, że tu nie chodzi mi o Fanię, ale o mój honor. Gdyby ktokolwiek z pomiędzy nas oświadczył się Fani podczas mojej nieobecności, anibym palcem ruszył. Ale ponieważ nazywam się Złotopolski, nie mogę pozwolić pierwszemu lepszemu intruzowi, żeby mi w drogę wchodził. Dlatego nie cofnę się nawet przed pojedynkiem, a nadto mnie znasz, żebyś miał wątpić o tem.

Istotnie, Złotopolski wcale tchórzem nie był. Nie mieszał się do żadnych niebezpiecznych spraw na wielką skalę, ale w pojedynku umiał stać bez mrugnięcia okiem pod lufą przeciwnika. Oto niedawno wyzwał był i ranił jednego ze swoich znajomych za to, że śmiał twierdzić, jakoby on, Złotopolski, dał fałszowanego muma na wydanym u siebie obiadku. Maszko nie wątpił zatem o prawdzie słów jego.

— Dobrze to jest — rzekł — ale jakże ty możesz pojedynkować się z Iwaszkiewiczem?

— Sądzę, że do tego nie przyjdzie, ale ostatecznie wolę takiego Iwaszkiewicza pobić, niż być od niego pobitym — jeszcze w takiej rzeczy.

— Jasiu! ty jesteś niedoścignionym wzorem!

— Dobrze. Tymczasem idę i każę zaprzęgać.

Złotopolski wyszedł. Maszko, zostawszy sam, szybko przysunął się do lustra.

— A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z Fanią? — spytał sam siebie półgłosem.

— Ja! ja! — odpowiedział również sam sobie. Przytem, strojąc przed lustrem rozmaite grymasy i miny, starał się naśladować ton i wyraz twarzy Złotopolskiego.

— Ja! ja!

Tegoż dnia wieczorem obaj byli już w Warszawie. Złotopolski pobiegł natychmiast do Misia.

— Jak się masz?

— Dobrze.

Podali sobie ręce.

— No, wiesz ci — rzekł Miś — sprawa skończona?

— Jedna skończona, druga się rozpoczyna. Wiesz, Misiu, co ja ci powiem?

— Co?

— Że, mimo iż cię zwą: „jedynym człowiekiem z taktem”, mało jest ludzi tak ograniczonych, jak ty.

Miś rozczesał spokojnie palcami faworyty.

— Wpływ prowincyi: żywość porużeń, skłonność do grubiaństwa — pomruknał.

— Przestań no, przestań! Jak ci się zdaje, dlaczego Iwaszkiewicz został przyjęty?

Miś rozczesał drugi raz faworyty.

— Bo się oświadczył.

— Do dyabła! Gdybyś był powiedział u Bujnickich, dlaczego wyjechał do Złotopola, gdybyś był powiedział, że *robię interes*, że nie jestem zrujnowany, że wyjazd mój na wieś nie jest fugą, mogłoby się dziesięciu Iwaszkiewiczów oświadczać.

— Ani słowa.

— Więc dlaczegoż nic nie mówiłeś?

— Naprzód dlatego, że mnie to nic a nic nie obchodzi.

— W tem też i dowód twojej inteligencji. Nie obchodzi ciebie to, że taki Iwaszkiewicz odsadził od panny jednego z ludzi naszej sfery.

Miś zmieszał się cokolwiek, ale odrzekł:

— Powtóre, że ty sam, wyraźnie ty sam związałeś i mnie i Antosia słowem,

że nie wspomnimy o tem; chciałeś przecie Fanny zrobić niespodziankę.

— A tymczasem ona zrobiła mi niespodziankę.

— Na honor! prawda!

— Otóż, kiedyś wiedział, jak rzeczy stoją, nie trzeba się było krępować słowem. Mogłeś się domyśleć, że będę ci tylko wdzięczny za takie niedotrzymanie słowa. Ale, żeby się czego domyśleć, potrzeba umieć myśleć, a to nie twoje rzemiosło.

— Rzemiosło zapewne nie moje. Chwała Bogu, nie potrzebuję bawić się żadnem rzemiosłem, lecz skorom dał słowo, że będę milczał, to — rozumiesz, drogi Jasiu, choćby od tego i twoje szanowne życie zależało i Fani i wszystkich Bujnickich i całej Warszawy — jeszczebym ani pisał. Rozumiesz, Jasiu?

— Ciekawym, czy równie skrupulatny jesteś w oddawaniu długów na termin, na który przyrzekasz.

— To inna rzecz. Długów nie robię u ludzi naszej sfery. Jeżeli ty na przykład pożyczysz mi pieniędzy, których mi

właśnie potrzeba, to, bądź pewny, że ci oddam na termin.

— Dziękuję! Za tobą przyjdzie Antoś, za Antosiem Władzio magnetyzer i tak dalej.

— Z Władziem nie żyjesz blisko, a Antoś nie potrzebuje pieniędzy.

— Co? Antoś nie potrzebuje pieniędzy?

— Nie potrzebuje, bo je ma.

— Antoś ma pieniądze?

— Antoś żeni się z Berlińską.

— Ha! *Canaille!*

— Przyszedł do Berlińskiego pożyczyć pieniędzy. Berliński zaklął mu się na Boga, uczciwość, sumienie i honor, że nie ma gotówki. A że Antosiewi potrzeba było gotówki, więc powiedział Berlińskiemu, że musi ją mieć, bo się chce żenić; Berliński spytał go z kim? Antoś odpowiedział: „Z pańską córką!” — przyczem dał mu słowo, że nie drwi, *stante pede* oświadczył się córce; na drugi dzień były zaręczyny, po których Berliński dał Antosiewi pieniądze, a Antoś dał Berlińskiemu weksel.

— Że się ożeni z jego córką?

— Podobno. Czy dotrzyma, to inna kwestya, dość, że dziś ma pieniądze, których ja nie mam i których chcę od ciebie pożyczyć. — Dasz?

— Dam, ale mówmy o mojej sprawie. Dawno byłeś u Bujnickich.

— Wczoraj. A ty prędko będziesz?

— Skorzystam, że jutro dzień recepcyi u nich. Czy myślisz, że pozwolę sobie zabrać Fanię takiemu Iwaskiewiczowi?

— Ależ bo ona zakochana, zakochana ta mała Fania.

— Drwię z tego.

— *E bien!* Jutro rano przychodzę do ciebie po pieniądze, a wieczorem będziemy obaj u Bujnickich.





VII.

Wtorkowe recepcye pani Bujnickiej dość były liczne, chociaż nie uprzyjemniał ich ani „znakomity” Zubicki, ani „cudowny” magnetyzer hrabia Władzio. Jedyną ich ozdobą była Fania i elegancki świat, który tam bywał. Jak się rzeczy na takich zebraniach odbywają, łatwo się domyśleć. Punkt dziewiąta wieczór, pani Bujnicka, już strojna, siada na kanapie w oświetlonym, ale jeszcze pustym salonie, a siada dlatego, żeby pierwszy frak, który wejdzie, zastał ją już siedzącą i myślał, że ona zawsze tak siedzi na kanapie, zachowując tę pozycję, daleko uroczytszą, niż każda inna. Tymczasem w również oświetlonym przedpokoju, słychać gniewliwy szept przeznaczonego do

zdejmowania paletotów lokaja Feliksa. Stary Feliks gniewa się na syna swego, małego Feliksa, przeznaczonego do zdejmowania kaloszy, a gniewa się o to, że mały Feliks te kalosze regularnie co wtorek gdzieś zapodziewa lub gubi, skutkiem czego on — jego rodzony ojciec, nazywa go bezbożnikiem i przepowiada mu, że wyjdzie na wisielca. Wreszcie, daje się słyszeć uderzenie dzwonka, otwierają się sprężyscie drzwi salonu i pokazuje się w nich mniej więcej głupia fizyognomia pierwszego gościa. Przybyły podnosi głowę, rozwesela oblicze, jakby go Bóg wie jakie szczęście spotkało i trzymając obiema białymi rękawiczkami kapełusz tuż przy piersiach, posuwa się, podrygując na każdej nodze w kierunku kanapy, na której siedzi pani Bujnicka. Następują powitania, wzajemne zapewnienia i ożywiona francuska rozmowa. Potem już uderzenia dzwonka powtarzają się co chwila i wkrótce salon napełnia się gwarem, paryskim akcentem, białymi krawatami, wyziewami perfum, gorącym, tiurniurami i trenami dam, folblutami roz-

maitych ras i wszystkiem, co razem wzięte stanowi szyk, komfort etc.

Ponieważ na wieczorach tygodniowych bywają ci tylko, których gospodarz lub gospodyni domu się spodziewa, łatwo zatem wystawić sobie zdziwienie pani Bujnickiej, gdy nagle w otwartych drzwiach, obok chudego i długiego Misia, pojawił się Złotopolski. Pani Bujnicka zdawała się nie dowierzać własnym oczom, a jednak nie było najmniejszej wątpliwości. Tak jest! był to Złotopolski we własnej osobie, razem ze swojemi jasnymi faworytami *à l'anglaise*, ze swoją zawsze równie piękną, niby wyrzeźbioną twarzą, której mleczna, prawie dziewicza barwa, dziwnie odbijała od patrzących dumnie ciemnych oczu i męskich wąsów: on! on! elegancki jak zwykle, ufraczony, ukrawacony, urękawiczony, uczesany, jak zwykle, bez zarzutu — zatrzymał się na chwilę we drzwiach, i, podniósłszy głowę, obrzucił oczyma cały salon, potem zbliżył się do gospodyni.

Pani Bujnicka uśmiechnęła się z przy-musem; mniej wprawna w obroty światowe Fania zmieszła się nawet, tembar-

dziej, że Iwaszkiewicza przy niej nie było; na twarzach obcych pojawiło się oczekiwanie.

Ale Złotopolski nie miał wcale miny zrozpaczonego kochanka, przeciwnie, na twarzy jego, obok spokojnej pewności siebie, malowała się nawet wesołość. Z całą swobodą i lekkością powitał panią Bujnicką, uściśnął rękę Fani i, skłoniwszy głową obecnym, począł rozmawiać z gospodynią.

— Nie spodziewaliśmy się powrotu pana — zaczęła uprzejmie pani Bujnicka. — Pan na długo do Warszawy?

— *Vous savez madame*, że stałe moje siedzisko jest w Warszawie.

— Tem lepiej dla naszych towarzyszt; powrót pana jest niezmiernie miłą dla nas niespodzianką.

— Ach! prawda, że to jakoś żyjemy w czasie, w którym panują niespodzianki, ale co do mnie, nie miałem i nie mam zamiaru opuszczać miasta. Wyjechałem tylko na pewien czas dla uregulowania interesów Złotopola, a po ich uregulowaniu natychmiast tu wróciłem.

— Czy przynajmniej pomyślnie panu poszło? W naszych ciężkich czasach nie masz nic kłopotliwszego, jak gospodarstwo.

— Nikt tego lepiej nie wie, jak ja, który przez trzy tygodnie przeszło musiałem siedzieć na wsi. Ale przynajmniej muszę oddać sobie sprawiedliwość, że interesa uregulowałem tak, jakem się sam nawet nie spodziewał.

— Tak pomyślnie?

— Tak pomyślnie.

— Faniu, uważasz, co pan Złotopolski powiada? Jakże się szczerze cieszymy! Szkoda, że pan wcześniej nie przyszedł, byłybyśmy z Fanią posłuchały szczegółów.

— Ja sam wyznaję, że przyszedłem cokolwiek późno — rzekł z naciskiem Złotopolski — ale mam nadzieję, że nie za późno.

Chwila milczenia.

— W każdym razie witamy pana, jako miłego gościa — rzekła pani Bujnicka.

— Który przyrzeka, że swoje opóźnienie będzie się starał wszelkimi siłami naprawić — odrzekł, schylając głowę Jaś.

— Czasem to bywa niepodobne — wtrąciła chłodno Fania.

Złotopolski uśmiechnął się.

— Pamiętam — rzekł — że dziada mego, Kasztelana, nazywano w salonach za czasów Księstwa Warszawskiego: „*Monsieur le Malgrétout*”. Przypominam pani, że jestem jego wnukiem.

— Czyż i panu dają tę nazwę?

— Spodziewam się, że zasłużę na nią.

— Więc dopiero w przyszłości?

— Tak pani! w mojej dewizie przedewszystkiem o przyszłość chodzi.

— Przyszłość nie zależy od pana.

— Śmiem sądzić inaczej.

— Nie radzę panu szczerze. Skądże to zaufanie?

Złotopolski zniżył cokolwiek głos.

— Nie wiem, może wytrwałość pana Iwaszkiewicza nauczyła mnie wierzyć, że i najniepodobniejsze rzeczy stać się mogą.

Fania zarumieniła się mocno.

— Umie sobie radzić ten pan Iwaszkiewicz — ciągnął dalej Złotopolski, ale dziś takie czasy, że wszyscy muszą sobie sami radzić. Ja naprzykład, nietylko że

zostałem przytem, co stanowi istotnie Złotopole, ale i mimowoli wyszedłem na kapitalistę.

— A to jakim sposobem? — spytała z żywym interesem pani Bujnicka.

— W ten prosty sposób... A! otóż i pan Iwaszkiewicz. *Bonjour monsieur Iwaszkiewicz!*

Rzeczywiście Iwaszkiewicz zbliżył się do pani Bujnickiej i, powitawszy ją, siadł przy Fani.

Na widok Złotopolskiego brwi jego zsunęły się na chwilę, ale wkrótce twarz wypogodziła się nanowo. Owszem, tyle w niej było niezwykłego ożywienia i szczęścia, że to zwróciło uwagę Fani.

— Musiało pana coś pomyslnego spotkać — spytała, patrząc mu w oczy.

— Tak pani. Zdołałem urzeczywistnić dziś jeden z dawno upragnionych celów — i przychodzę właśnie podzielić się z panią radością.

— Słucham! słucham!

— Dziś oddaliłem ostatniego robotnika zagranicznego z mojej fabryki. Nie

mamy już ani jednego cudzoziemca —
wszyscy krajowcy.

.

— Więc jakim sposobem pan zostałeś
kapitalistą? — pytała równocześnie pani
Bujnicka Złotopolskiego.

— Sprzedałem część ziemi własnej
zagranicznym kolonistom i, spłaciwszy
wszystkie długi, zostałem przy wcale spo-
rej gotówce.

.

— Czy pan zyskuje na oddaleniu ob-
cych spytała Fania Iwaszkiewicza.

— Ja? — nie! z początku tracę.

— Więc któż na tem zyskuje?

— Ogół.

.

— Więc pan istotnie zyskał na koloni-
zacyi? — pytała pani Bujnicka.

— *Ja* zyskałem bardzo wiele.

— Czyżby kto stracił?

— Ogół — powtórzył, przechylając się
ku Fani Iwaszkiewicz, zanim Złotopolski

zdołał powtórzyć, że jego zdaniem stracili koloniści.

Nastąpiła chwila milczenia. Po białem spokojnem czole Fani przelatywały różne myśli, niby chmurki, mieszające jego spokój. Oto rozbierała pobudki postępków dwóch młodzieńców i usiłowała je ocenić. Istotnie, jeżeli ogół zyskiwał przez to, co uczynił Iwaszkiewicz, to tracił przez postępek Złotopolskiego. Współzawodnicy stawali przed nią w dwóch odmiennych rolach. Ale nie odrazu zrozumiała, dlaczego jedna z tych ról jest dodatnią, druga ujemną. Dobro ogólne! Pojęcie to legło przed jej myślą, jakby jakaś nieokreślona otchłań. Czowała jednak, że potrzeba ją sercem i rozumem napełnić od wierzchu do dna. A zadanie takie nie było łatwe do spełnienia, bo edukacya, jaką odebrała w latach dziecinnych, nie mogła tu być pomocą. Ktoby tam w wychowaniu panien zwracał na takie rzeczy uwagę? Przecież można być panną i dobrze wychowaną i „dobrze ułożoną”, nie wiedząc, co jest dobro ogółu. Ale Fania chciała teraz wiedzieć i kwoli tej chęci udała się

do Iwaszkiewicza. I dobrze się udała. Iwaszkiewicz był to człowiek z sercem. Wicher postępu rzucał na ono serce, ni-
by na rolę, różne ziarna, ale przyjmowa-
ły się tylko zdrowe. Gdy wicher wio-
nął kosmopolityzmem, serce to stawało
wówczas na kotwicy przeszłości, która to
kotwica — symbol nadziei — była zara-
zem i wiarą w przyszłość. Fania dobrze
wybrała. Była teraz podwójnie wdzięczna
Iwaszkiewiczowi, bo tłumacząc jej, co jest
dobro ogółu, tłumaczył zarazem, w czym
jest jego własna wyższość nad współza-
wodnikiem. Tak jest! Czemże był przy
nim ów piękny i modny panicz? Czyny ich
były wprost odwrotne. Fania spojrzała na
Złotopolskiego i uśmiech, nieledwie pogar-
dy, okolił jej usteczka.

— Czy pan słyszał naszą rozmowę? —
spytała go.

— Jaką rozmowę?

— Podczas, gdy pan rozmawiał z ma-
mą o Złotopolu, ja mówiłam z panem
Iwaszkiewiczem.

— Nie słyszałem nic.

— A to szkoda! Odmiennemi szliście panowie drogami.

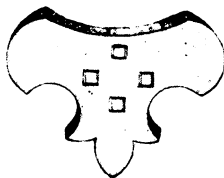
— Tem lepiej dla nas, bo gdyby drogi nasze się zesłyły...

— Wówczas?

— Wówczas musiałby jeden drugiemu ustąpić — zabrzmiał poważny głos inżyniera.

— Na honor! takby musiało być — odparł z dumą Złotopolski.

Dwaj młodzi ludzie spojrzeli sobie w oczy. We wzroku Iwaszkiewicza błysnął posępny płomień nieugiętej woli, ale i oczy Złotopolskiego błyszcząły, jak stal polerowana, z prawdziwie stalowym chłodem i uporem.





VIII.

Godzina była późna; lampy w salonie pani Bujnickiej paliły się mdłym światłem w zgęszczonym od wyziewów ludzkich powietrzu. Goście rozeszli się już wszyscy; ucichł gwar; samotność jakaś — i pustka wyglądały teraz z każdego kąta sali. Na twarzach pani Bujnickiej i Fani przebijała bladość i znużenie, a przytem znać było na nich i pewien niepokój. Obie panie zdawały sobie sprawę z ubiegłego wieczora i obie czuły jednocześnie, że w atmosferze domowej zawisło coś nowego, co jak burza, zapowiadało się milczeniem. Obie też nie dzieliły się wrażeniami i zamiast słów, słychać było tylko szelest ich jedwabnych sukien. Czasem spojrzenia matki i córki zbiegały się i rozbiegały

jeszcze prędzej. Nakoniec Fania pierwsza przerwała milczenie.

— Dobra noc, mateczko! — rzekła.

Pani Bujnicka uścisnęła córkę z niezwykłą tkliwością i gorąco ucałowała jej białe czoło, potem odeszła parę kroków, potem zatrzymała się znowu przy drzwiach, zdawało się, że chce coś mówić — zawahała się, odeszła.

Fania udała się do swego pokoju. Z pewnością miała o czem myśleć. Oparwszy głowę na rękę, nie odpowiada ani słowem przywykłej gwarzyć panience służebnej, która, układając pod czepeczek nocny złotawe jej warkocze, starała się zawiązać z nią pogawędkę. I niewesołe były myśli Fani.

Ostatnia rozmowa Iwaszkiewicza ze Złotopolskim przejęła Fanny śmiertelnym niepokojem; przypominała sobie dumne spojrzenia i niemal groźne słowa obydwuch. Przerzązał, a zarazem i oburzał ją upór Złotopolskiego. Jakto? więc dla niego — w jego planach — jej wola, jej osobisty wybór nic nie znaczył? Widocznie, traktował ją jak rzecz, nie jak wolną

niewiastę, bo kiedy chłodnemi słowy starała mu się okazać niechęć, odpowiedział jej jednym wyrazem: „*malgrétout*”. Dumny panicz, liczył na nazwisko, na majątek i sądził, że niemasz kobiety, którejby z wola, lub bez woli, nie można kupić za taką cenę. Postępowanie jego było po prostu zuchwalstwem, ale widocznie dumny panicz nie obawiał się jego następstw; nie obawiał się ani Fanny, ani jej narzeczonego. Tkwiła w tem może odwaga, ale tkwił i wysoki egoizm. Zuchwalec! śmiał jej powiedzieć „*malgrétout!*”, a wszakże ten sam Iwaszkiewicz, który bez drgnienia powieki umiał patrzeć w oczy osławionego z pojedynków człowieka, tak dziecięco prawie był nieśmiałym względem niej. Ale szlachetna ta nieśmiałość szła z niezsmarnowanej duszy, a dowodziła świeżości uczuć i prawdziwego szacunku i prawdziwego uczucia. Między Iwaszkiewiczem i Złotopolskim Fanny nie mogła się wahać w wyborze. Zresztą, już była wybrała — i nie o to chodziło w tej chwili. Niepokój jej i trwoga powstawały stąd, że nie wiedziała, do czego między

takimi dwoma ludźmi dojdzie i na czem się skończy.

A tymczasem panienka służebna skończyła ją rozbierać i odeszła. Fania zdmuchnęła świecę. W pokoiku dziewczycym zapanaował mrok, tylko promień księżyca wkraadał się białem pasemkiem za kotarę łóżka, tylko srebrna lampka, zawieszona przed posążkiem Madonny, świeciła w cieniu, niby robaczek świętojański. Nastąpiła cisłość — siostra nocy, kochanka nocy—jak mówią poeci.

Nagle w przyległym pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki, drzwi się otworzyły i pani Bujnicka w białym negliżu, ogarniając dłonią płomyk świecy, weszła do sypialni córki.

Fani serce zabiło niespokojnie, podniosła się na łóżku.

— Mama nie śpi jeszcze? — spytała.

— Nie, moje dziecko.

Pani Bujnicka siadła przy łóżku córki.

— Moje kochane, moje drogie dziecko! — przemówiła drżącym głosem.

W oczach Fani zakreśliły się łzy; pochylała się ku wyciągniętym dłoniom mat-

ki i, ucałowawszy je serdecznie, ukryła w nich twarz.

— Nie martw się, Faniu! ty płakałaś? Jeszcze nie stało się nic złego.

— O! stało się i wiele złego, mamó, i to ja sama temu winnam. Postępowałam, jak zepsute dziecko, a długo nie było w postępowaniu mojem ani prawdy, ani szczerości.

— Nie uczyniłaś nic godnego nagany.

— Drzę na myśl, co teraz będzie.

— Wszystko się dobrze skończy. Nie obawiaj się.

— Mamó! mamó!

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza.

Fania oderwała nagle twarz od dłoni matki.

— O czem mama mówi?

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza. Przyjęłaś go, ale zaręczyn jeszcze nie było. Wszystko można zerwać. Któż mógł się spodziewać, że Złotopolski tak dobrze stanie?

— Matko! — przerwała Fanny, płonąć jak róża.

— Czego chcesz, dziecko?

— Stoimy na biegunach i nie rozumiemy się zupełnie. Lepiej odrazu postawić rzecz jasno: czy mam zostać żoną Iwaskiewicza, czy nie?

Pani Bujnicka nie była przygotowaną na tak nagły zwrot ze strony Fani. Ona rachowała na swoją dyplomację, a tu trzeba było wprost powiedzieć: tak lub nie. A przytem pani Bujnicka nie cierpiała, gdy kto mówił wprost. Omówienia miały dla niej tyleż prawie wagi, ile treść sama; nawet, gdy myślała nad czem, gdy była tylko ze sobą, wszystkie jej myśli przybierały zawsze wyszukaną dyplomatyczną formę. Dlatego też pytanie Fani przejęło ją zdziwieniem, ale i oburzyło zarazem.

— Zmiłuj się, Fanieczku, jak można tak nazywać rzeczy po imieniu? Już jeśli dobrze ułożona panienka chce spytać o taką rzecz, to daje do zrozumienia, ale tak... wstydź się, Faniu!

— Ja jednak wprost pytam, jaka jest mamy wola? Potem ja powiem, jak mi się zdaje.

— Nie poznaję ciebie.

— To być bardzo może. Ja sama nie poznaję siebie od niejakiego czasu, ale mi z tem lepiej. Iwaszkiewicz otworzył mi oczy na wiele rzeczy, dlatego okazuję mu to, co czuję prawdziwie.

— Moje dziecko, nie drażnij mnie...

— Ja nie chcę mamy drażnić, ale...

— Panienka dobrze ułożona...

— Powinna miłować prawdę, a potem być dobrą żoną i matką.

— I matką? *Mais c'est affreux!* Kto cię takich rzeczy nauczył?

— Iwaszkiewicz! To takie proste rzeczy, a jednak nie wiedziałam o nich. A mam lat dwadzieścia dwa.

Teraz pani Bujnicka rozgniewała się na dobre.

— A czy ten mądry Iwaszkiewicz nie nauczył ciebie, że panienka dobrze wychowana wprzód nim zostanie dobrą żoną i mat... (nie chcę tego wymówić...), powinna być dobrą córką?

Fania spuściła głowę. Teraz pani Bujnicka miała swoją rację.

— Przecież tu nie o mnie chodzi — ciągnęła pani Bujnicka. — Ja będę miała jutro migrenę, ale niech się dzieje wola boża! — gotowam cierpieć! Mnie chodzi o twoje szczęście! Ja będę miała migrenę i nie może być inaczej. Po tem, co tu sły-
szałam, nie pozostaje mi nic, jak tylko... przyłożyć wizykatoryę za uszami. Ale Faniu! Faniu! zastanów się. Iwaszkiewicz, to burżuazya! Będziesz należała do bur-
żuazyi. Nie przeżyłabym, gdyby cię za-
liczano do burżuazyi. Niemasz nic bar-
dziej *mauvais genre*, jak burżuazya. Och,
burżuazya! burżuazya!

— Moja matko, jakże ja mogę wiareę
łamać?

— Nie było zaręczyn: deklaracya nie
obowiązuje.

— Och! obowiązuje deklaracya i...
Nie mogę! nie mogę, mateczko! Ja... ma-
mo!... ja nietylko deklaracyą związana je-
stem z Iwaszkiewiczem.

Pani Bujnicka zerwała się gwałtownie.

— Co ty mówisz, dziewczyno? — za-
wołała z przestrawem.

Fania podniosła się na łożku. Oczy jej zaszyły łzami, a jednocześnie purpurowy rumieniec malował zwolna jej twarz. Tak zarumieniona, ze złożonemi rękami, ze łzami w oczach, okryta potokiem rozplecionych warkoczy, sypiących się po gieleczku nocnem, z bijącym jak u przelęknionego ptaka sercem, podobną była do posągu skruchy lub pokory.

— Mamo! — ozwała się błagalnie.

— Mów, nieszczęśliwa!

— Mamo, to było w karecie...

— Co było w karecie?

— Wracaliśmy od państwa L..., z tego wieczoru, na którym hrabia Władysław... na którym suczka... narobiła wrzasku...

— Co dalej? co dalej?

— Mama z panią Szemiot siedziała w tyle, a ja z nim na przodzie i... wtedy ja... tak! wtedy... ja... sama nie wiem, jak się to stało...

— Zabijasz mnie, gnębisz, dręczysz, pastwisz się nade mną.

— I ja... oparłam głowę na jego ramieniu — kończyła jednym tchem Fania.

— I co więcej? — pytała gorączkowo matka.

— I nic więcej.

— Nic?

— Nic więcej, ale i to, co było, było bardzo niedobrze. Ja sama się oskarżam, ale...

— To było do najwyższego stopnia *mouvais genre*.

— Nie uważa na *genre*, kto kocha.

— Przestań! Słyszałaś, żeby panienka dobrze wychowana postępowała w ten sposób?

— Nie, mamó! nie słyszałam. Sama się obawiam, ale też i tłumaczę się przed własnym sumieniem przywiązaniem, jakie czuję dla Iwaszkiewicza. Gdyby mi po tem, co zaszło, jeszcze złamała słowo — to byłoby szkaradnie!

— Przecie tego nikt nie widział?

— Bóg widział. Ja za nic w świecie nie złamię słowa danego Iwaszkiewiczowi.

— Słuchaj-że, uparta dziewczyno: ja nie będę cię przymuszała, byś szła za Zło-

topolskiego, ale zapowiadam ci, że póki on nie ustąpi — za nic w świecie nie pozwolę na Iwaszkiewicza.

Fania podniosła w górę załzawione oczy.

— On jeśli ma jeszcze choć trochę honoru i uczciwości — to ustąpi.





IX.

U Złotopolskiego gwarно bywało od czasu, jak rozkolonizował Złotopole. Wszyscy znajomi okazywali mu tyle sympatyi, jak nigdy. Raz wraz zdarzało się, że przychodził do niego ktoś ze znajomych i mówił:

— Jasiu, pozwolisz, że ci złożę jeden dowód przyjaźni i zaufania?

— Jaki?

— Pożycz mi tyle a tyle?

— *Tiens!* to ma być dowód przyjaźni?

— Tak jest, bo dlaczegoż nie udaję się z tem do kogo innego. Rozumiesz, że pieniędzy nie pożyczają się od ludzi, z którymi nie jest się w bliskich stosunkach... no, chyba na procent, a przecież między nami mowy być o tem nie może.

I Złotopolski dawał.

Miał on naturę szlachcica polskiego, ową naturę, która to wyraźnie występowała w księciu „Panie kochanku”, gdy np. chodził między szlachtą i dawał jednemu czapkę: „weź!” — drugiemu pas: „trzymaj!” — trzeciemu szablę: „masz!” i tak aż do szarawarów.

Złotopolski nie umiał także odmawiać. Zresztą, jak tu się oprzeć dowodom przyjaźni?

Prócz tego wydawał śniadania, na których można się było najęść i napić *honeste* — ano, nie brakło mu gości.

W parę dni po wieczorze u pani Bujnickiej i po rozmowie jej z córką, Złotopolski siedział u siebie, w towarzystwie księcia Antosia i Maszki. Rozmawiali o narzeczonej księcia.

— Co ty z nią będziesz robił? Ha! ha! Z Berlińskich księżna M...ska, to dobrze brzmi! — rzekł Maszko.

— Co będę robił? Jeśli się ożenię, ona będzie siedziała na wsi, a ja w Paryżu.

— Albo papa, mama i dziadek Berlińscy ci pozwolą?

— Ja drwię z papy, z mamy i z dziadka — Berlińskich.

— Musi być teraz w dobrym humorze twój przyszły teść? — spytał Złotopolski.

— O! i w jakim! Robią teraz wyprawę, kupują powozy i malują na nich herby.

— Swoje czy twoje?

— Jużci moje, a tak wielkie jak talerz, jak ten talerz — rzekł książę Antoś, ukazując na jeden z zastawy do śniadania.

— A twoja narzeczona?

— Kocha się we mnie.

— A ty?

— A ja piję za twoje zdrowie, Jasiu! — rzekł książę Antoś, nalewając sobie szklanekę wina. — Jak mi honor miły, wszystkie kobiety są jednakowe.

— Ee!

— Jak mi honor miły! Taka dobra Berlińska, jak i twoja Fania, a może nawet i lepsza, bo...

Ręka Złotopolskiego spoczęła na ramieniu księcia Antosia.

— W twoim własnym interesie nie radzę ci robić takich porównań. Ty sobie

możesz brać żydówkę, czy czarta... wszystko mi jedno, ale wara mi mówić źle o Bujnickiej.

Książę Antoś spojrział w oczy Jasia, ale nie znalazł w nich żartu. Złotopolski nie udawał, owszem, usta jego drżały nerwowo, a ręka tak silnie ścisnęła ramię Antosia, że ten ugiął się mimowolnie.

— Ależ co tobie jest? Ależ bo ty wszystko seryo bierzesz. Ja nie miałem zamiaru...

W tej chwili dzwonek się odezwał — wszedł Miś Rossowski.

Miś Rossowski zimny i sztywny, jak zawsze, powitał obecnych i nie rzekłszy do nikogo słowa, rzucił się na fotel, a następnie, wyciągnąwszy nogi, począł rozczesywać palcami faworyty i poprawiać na sobie ubranie, które wyglądało jakoś dziwnie pogniecione i pomięte.

Wkrótce jednak spostrzegł, że stało się coś niezwykłego.

Jaś chodził wzburzony po pokoju, książkę Antoś i Maszko mieli dość wystraszone miny, a przytem milczeli wszyscy.

— Co tu u was zaszło? — spytał Miś.

Książę Antoś opowiedział, co zaszło.

— Niech Antoś poda rękę Złotopolskiemu i przeprosi go... Wybacz, Antosiu, ale co innego jest Fanny, a co innego twoja narzeczona.

Antoś i Jaś podali sobie rękę.

Tymczasem Miś, nałożywszy szkła na oczy, przypatrywał się uważnie Złotopolskiemu.

— A teraz, wiesz Jasiu, co ci powiem?— rzekł.

— A słucham.

— Że jeśli nie jesteś jeszcze zakochany w Bujnickiej, to przynajmniej wkrótce będziesz.

Złotopolski milczał.

— Zgadłem, czy nie zgadłem? — cedził, kołyszając się Miś.

— Powiem ci otwarcie. Ja sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Od powrotu ze wsi nie pojmuję Bujnickiej zupełnie. Sądziłem, że będę miał przeciw sobie tylko Iwazkiewicza, tymczasem mam i ją, najbardziej stanowczo. To mnie drażni: nie spodziewałem się oporu—to mi psuje humor.

— Już to ty nigdy nie będziesz prawdziwym anglikiem. Nadto jesteś sangwinierny.

— Mniejsza o to. Wracam do rzeczy. Nie taję przed wami, że Bujnicka zaczyna mi się podobać. Może właśnie ten opór jej — drażni mnie i przyciąga zarazem. Przytem, jak sobie chcecie, — ale w kobiecie rozkochanej jest jakiś czar niepojęty. Oto dlatego tak nam się podobają narzeczone i młode mężatki. A Fanny jest rozkochana w Iwaszkiewiczu.

— Czy masz na to dowody?

— Jak najpewniejsze, bo z jej własnych ust.

— Z jej własnych ust?

— Tak. Sama mi to powiedziała, nie dawniej, jak wczoraj u L...skich. Podczas gdy ten głupiec Zubicki czytał tam jakieś baliwerny, zbliżyłem się ku niej i po kilku słowach dałem do zrozumienia, że nie myślę się zrzekać praw, których, prawdę rzec, nigdy nie miałem. Jakoż odpowiedziała mi, że ich nigdy nie miałem, a przytem otwarcie wyznała, że matka już chciała zrywać z Iwaszkiewiczem, że jest za

mną, — ale że ona, Fania, nigdy nie odda mi ręki, bo Iwaszkiewicza kocha. Gdy to mówiła, miała łzy w oczach i w głosie. I ja byłem wzburzony. Nie sądziłem, żeby była tak uczciwą, a nigdy nie widziałem jej równie piękną. Nie zląkłbym się stu Iwaszkiewiczów, ale nie mogę znieść łez kobiecych. Powróciłem do domu zły i z klinem w głowie; bo zapomniałem wam powiedzieć, że wczoraj powtórzyła mi już drugi raz słowa, które, niech zginę, jeśli rozumiem.

— Cóż to takiego?

— Że szliśmy z Iwaszkiewiczem (którego oby czart porwał!) dwiema odmiennymi drogami.

— No, więc?

— I że gdyby nawet nie kochała jego, to, mając wybór między nami, oddałaby mu rękę już za to, że szedł drogą wprost przeciwną mojej.

— Cóż to za zagadka?

— Równie ją rozumiem, jak każdy z was.

— A wiesz, Jasiu, co ja ci powiem? — przerwał księżę Antoś.

— Mów.

— Że i ja tego nic a nic nie rozumiem.

— Nie odzywaj się, Antosiu, zanim się nie namyślisz — rzekł Rossowski.

— I napróżno łamię sobie głowę, co ona przez to rozumiała — ciągnął dalej Złotopolski.

Miś rozczesał faworyty.

— Mój kochany — rzekł — nie ty jeden napróżno łamiesz sobie głowę. Ja także myślę nad jedną kwestyą, z której żadną miarą nie mogę sobie zdać sprawy.

— Czy nie miłosna także kwestya? — spytał Maszko.

— Nie! Spójrzycie na moje ubranie.

— A toż co? pogniecione, pomięte, guzików brak?

— Otóż ma ono związek z moją kwestyą. Myślę, co za przyjemność może znajdować szlachta polska w takim ściskaniu się, od którego boki bolą i całowaniu, które sprowadza puchnięcie policzków.

— Godne Misia! godne Misia! — zawołał Maszko. — Czyś tego doświadczył.

— Spojrz na moje ubranie. Idę sobie tu do was, raptem spostrzegam na ulicy brata mojego stryjecznego, który jest wzorem gospodarzy i który raz na pięć lat bywa w Warszawie. *Imaginex-vous*, rozszerza nogi, rozkłada ręce, otwiera paszczę i czeka na mnie w ten sposób. Wpadam w tę otchłań; czuję, jak zaczynają mi trzeszczyć żebra, jak gniecie mi się kołnierzyk, jak rozwiązuje mi się krawat. Zjada mnie, otacza, pożera, wchłania; na policzkach literalnie czuję suche bańki, i to ma znaczyć: Jak się masz?

Książę Antoś i Maszko zanosili się od śmiechu.

— Gniewałeś się?

— Gniewałem się, alem tego po sobie nie pokazał — rzekł z powagą Rosowski.

— Co ona przez to mogła rozumieć?— mówił do siebie Złotopolski, który, zajęty swemi myślami, nie słyszał opowiadania Misia.

— Co ona przez to mogła rozumieć? Przecie u licha nie popełniłem nigdy nic nieuczciwego.

— No! już mniejsza, co ona tam rozumie — rzekł Maszko — ale co ty zamierzasz czynić?

— Ot właśnie, że i ja dobrze nie wiem. Im więcej mi się ona podoba, tem mniej mam ochoty zrzekać się jej, a z drugiej strony, iść wbrew sercu i woli takiej kobiety?...

— Matka ją zmusi — zauważył ksiązę Antoś.

— Ja nie chcę, by ją ktokolwiek zmuszał!

— A jednak, powinienes się z nią żenić — rzekł Maszko. — Ludzie, jak my, nie powinni ustępować takim Iwaszkiewiczom.

— Dać lekcję i ustąpić — mruczał Jaś. — Tak, to jedyny punkt wyjścia!... jedyny punkt wyjścia!

— Co? jaki?

— Taki! — rzekł, wskazując na pistolety zawieszzone nad łóżkiem.

Miś rozczesał faworyty.

— Służę ci za świadka — rzekł.

— Stchórzy Iwaszkiewicz! — krzyknął Maszko.

Złotopolski popatrzył na niego uważnie. Maszko się zmięszał.

— Daruj mi, Maszko, ale sędzę, że ty-
byś prędzej stchórzył — Iwaszkiewicz nie
stchórzy.

— Służę ci za świadka — powtórzył
Miś.

— Dobrze, ale pierwej muszę sam się
z Iwaszkiewiczem rozmówić. Skończy się
na tem, że ustąpię. Z Fanią, a zwłaszcza
z jej łzami nie protrafię wojować.

— To do czegoż pojedynek?

— Powiedzianoby, że ja, Jan Złoto-
polski, zląkłem się Iwaszkiewicza. Nie,
pojedynek musi mieć miejsce. Ustąpię,
ale dam lekcję. Nie myślę go zabijać,—
ale, albo on mnie, albo ja jemu dam
lekcję.

— Z jakiej przyczyny chcesz iść do
niego?

— Dla rozwiązania zagadki i znalezie-
nia powodu do pojedynku.

— Mogłeś się Fanny o to spytać.

— Nie chciała mi powiedzieć, by jak
sama mówiła, nie drażnić mnie. Ona tro-

chę przewiduje pojedynek i boi się go dla... Iwaszkiewicza.

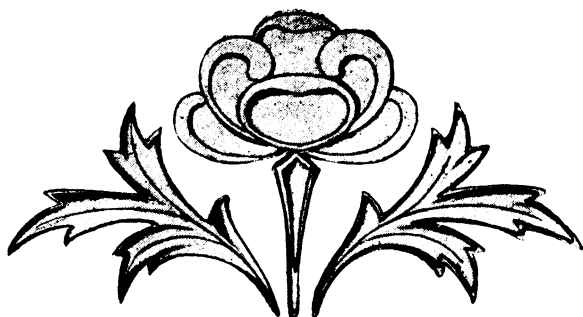
— Kiedy do niego pójdziesz?

— Dziś. Gdzie on mieszka?

— Nie wiem, ale zastaniesz go do wieczora w fabryce.

— Pójdę do fabryki.





X.

Jakoż o piątej wieczorem udał się Jaś do fabryki, ale nie zastał w niej Iwaszkiewicza. Natomiast młody jakiś inżynierek o rudych włosach, czarnych oczach i kobiecej prawdziwie twarzy, z wszelką grzecznością wskazał mu pokój dyrektora. Jaś postanowił oczekiwać na Iwaszkiewicza, który miał nadejść za godzinę, a tymczasem z nudów rozpatrywał się po dyrektorskiej izbie, lub wyglądał oknem na dziedziniec fabryczny. I jedno i drugie zajmowało go nie pomału. Pokój, w którym siedział, na pierwszy rzut oka zdradzał pracownię inżyniera. Ogromne brystole z pozaczynanemi rysunkami, wzory roz-

maitych machin, którychby Jaś nawet nazwać nie umiał, mapy, termometry, narzędzia fizyczne, tabele i księgi rachunkowe napełniały wszystkie kąty tej izby. Przy wchodowej ścianie była szafa napełniona książkami, na której stał ogromny globus i miniaturowa lubo bardzo dokładna lokomotywa. Po innych wisiały portrety znakomitych inżynierów zagranicznych; na wielkich półkach, umieszczonych tuż obok biura, widać było próbki rozlicznych rud żelaznych. Z tem wszystkiem komnata była dość pępna; czarne drewniane krzesła, czarny stół i szafy stanowiły całe jej umeblowanie. Ale też znać było, że nie przesiadywał w niej wykwintniś, tylko surowy mąż pracy. Praca twarda i wytrwała, poparta całą potęgą myśli ludzkiej, widniała tu z każdego szczegółu. Izba malowała mieszkańca. Złotopolski rozglądał się po niej z mimowolnym szacunkiem, połączonym ze zdziwieniem. On, który jako prawdziwy gentleman, nie robił całe życie nic a nic, on, trefny wykwintniś, którego zajęcia dzienne zależały od tego, jakie ubranie brał rano, może

pierwszy raz w życiu spotykał się tu z pracą twarz w twarz. Mimowoli porównał się teraz z Iwaszkiewiczem — i mimowoli uczuł, jak wiele był niższym od niego. Serce ścisnęło mu się smutkiem: zrozumiał, że Fanny miała słuszość.

Głuche poczucie tego odbiło się i na jego twarzy, ale posepną zadumę przerwał mu młody rudawy inżynier, który, zbliżywszy się, rzekł uprzejmie:

— Dyrektor przyjdzie o szóstej, mamy więc jeszcze pół godziny czasu; może tymczasem zechce pan obejrzeć fabrykę?

— Najchętniej. Dokąd pójdziemy?

— Pokażę panu maszyny, warsztaty, kuźnię, ślusarnię, odlewnię i co pan sam zechce.

Wyszli z izb inżynierskich. Młody i żywy, jak iskra, towarzysz Jasia nie żałował objaśnień. Wszedłszy do ogromnego, hałaśliwego budynku, gdzie mieściła się maszyna parowa, posłuchał trochę i rzekł:

— Tak, panie! idzie u nas robota, idzie!

— Ależ tu można ogłuchnąć — zauważył Jaś.

— Fraszka! trochę przyzwyczajenia!

A rzeczywiście trzeba było i sporo przyzwyczajenia. Fabryka była w pełnym biegu. Ogromne koła zębate i niezębate poruszały się z piekielnym rozmachem i piekielną szybkością; olbrzymie tłoki podnosiły się i spadały ruchem, mającym coś potwornego, warczenie kół, łoskot, zgrzyt, przeraźliwy świst i bolesne wycie piłowanego żelaza, huk młotów, ścisnęły duszę jakimś nieokreślonym a lęklivem poczuciem owej niepojętej siły, która nadawała ruch wszystkiemu. Każda cegielka budynku trzęsła się, jak w febrze; słowa ginęły dla ucha; samo powietrze zdawało się drżeć przelękle.

— A, co panie? — krzyknął inżynier do ucha Złotopolskiemu.

— Potęga! potęga!

— A tak ciągle jest od czasu, jak mamy dyrektorem Iwaszkiewicza.

— Czy tak?

— To panie jego ręka porusza wszystko.

— Ano zdolny musi być człowiek?

— Ho! ho! A przytem praca! praca! Dawniej tu inaczej bywało. Fabryka poczynała już bankrutować. Chodź pan dalej.

To mówiąc młody inżynier przeskoczył z belki na belkę; Złotopolski podążał za nim.

— Ostrożnie, bo pana pasy złapią! Tędy!

Tymczasem pociemniało na dworze, w budynku zabłyśły kinkiety, a przy ich blasku, przy łamaniu się światła z ciemniem, sala przybrała fantastyczne pozory jakiegoś przedsiönka piekieł.

— Koło zębate o podwójnem działaniu wynalazku dyrektora! — zakrzyczał głosem cycerona inżynier.

Złotopolski spojrział na ukazywany mu okrągławy potwór, kręcący się ze wściekłością w ciemnym kącie.

— Klapy bezpieczeństwa systemu amerykańskiego, zastosowane pierwszy raz w kraju przez dyrektora!

Jaś zagryzł wargi. Czemże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

— Dmuchawki, zabezpieczające robotników od opiłków, zastosowane przez dyrektora!

— Mało musicie mieć robotników, kiedy ich tak zabezpieczacie?

— Mamy dość, ale robotnik, to człowiek jak my i bliźni nam. W innych fabrykach, gdy robotnik umiera, dzieci pozostają bez chleba, u nas inaczej.

— Jakże jest u was?

— Dyrektor los wdów i sierot zabezpieczył ze składek ogólnych.

Jasiowi smutek ścisnął serce: czemuż on był przy owym Iwaszkiewiczu?

Ale zarazem budziło się w nim dziwne uczucie szacunku dla współzawodnika. Uczucie to sformułował Jaś w ten sposób:

— Chciałbym posiadać przyjaźń takiego człowieka.

— Przejdźmy do szlifierni, jeżeli pan chcesz? — pytał inżynier.

— Nie, panie! wyjdźmy już, bo ochrypnię i ogłuchnę zarazem.

— Piękny widok jest w kuźni.

— Nie, mam już dosyć.

Wyszli na dziedziniec fabryczny; na dworze już mrok padał, ale było jeszcze dość widno.

— Oto właśnie — rzekł inżynier — przechodzimy koło kuźni; rozdymają te

raz ogniska; — za chwilę znów zadzwonią młoty.

— Wasz dyrektor musi być czł...

Złotopolski urwał nagle.

W powietrzu zabrzmiała pieśń, przy której wstrząsły się szyby budynku; zagłuchły wszystkie inne odgłosy, — pieśń prawdziwie żelazna; rzekłbyś, nieludzkie dźwięczały nią płuca — pieśń na nutę stu młotów, bijących w takt jej słowom.

— Co to jest? — spytał Złotopolski.

Oczy młodego inżyniera zabłysły; rumieniec niekłamane zapachu wystąpił mu na lica.

— To kowale nasi śpiewają przy młotach. Posłuchaj pan.

Przystanęli obaj: słowa pieśni dochodziły wyraźnie:

Gdy warczy miech, gdy płonie żar,
Wśród razów ech, wśród iskier chmar,
Próżnować grzech, czas — boży dar.

Hej, w obroty ciężkie młoty!
Chrzęst cęg, młotów jęk,
Czerwone skry i krwawy pot
Milsze niż sów pieszczonych dźwięk,
Niż krwawe lzy w komnacie złotej,
Bo w pracy — źródł szczęścia i cnot.

Ku niebu skroń — ku ziemi dłoń!
Tam Boga chwal — tu hartuj stal!
Tam dojsć się ucz — tu kuj i tłucz!
Aby twa praca wydała plon,
Byś miał gotowy, gdy przyjdzie skon,
Żelazny do nieba klucz.

Każde słowo potężnej pieśni brzmiało w powietrzu z taką siłą, że Złotopolski z młodym inżynierem nie stracili ani jednego dźwięku.

— A co, panie?

Złotopolski milczał.

— W innej fabryce nie usłyszysz pan takiej pieśni.

— Dlaczego?

— Czyś pan nie słyszał po jakimu śpiewają. W innych fabrykach pracują cudzoziemcy.

Złotopolski zmarszczył brwi i szybko zbliżył się do inżyniera.

— Jak to pan rozumiesz?

— Dyrektor oddalił cudzoziemców, a postarał się o naszych ludzi — odparł inżynier.

Obie ręce Złotopolskiego spoczęły na ramionach towarzysza.

— Dlaczego on to uczynił? dlaczego to uczynił? — pytał gorączkowo.

— Dla dobra ogółu. Ale co panu jest?

— Nic! nic!

Złotopolski zamilkł nagle i sposepniał, jak noc. Zagadka, której nie chciała mu rozwiązać Fanny, leżała teraz jasno przed jego oczyma.

Ale jasność owa daleką była od radości: czemuż on był przy Iwaszkiewiczu?

Nagle w bramie fabrycznej odezwał się dzwonek.

— Dyrektor! — zawołał rudy inżynier. — Teraz ustępuję panom.

Jakoż po chwili w ciemnym mroku bramy fabrycznej zarysowała się wysoka, spokojna postać Iwaszkiewicza.

Złotopolski szybko zbliżył się ku niemu.

— Panie! — rzekł smutnym, poważnym głosem — nie znałem pana, ale przed chwilą poznałem i... teraz rozumiem Fanny... i ustępuję!...

Zanim Iwaszkiewicz zdołał ochłonać ze zdziwienia, Złotopolskiego już nie było.

Koniec, czytelniku! W parę dni potem Złotopolski odjechał za granicę i osiadł w Dreźnie. Iwaszkiewicz ożenił się z Fanią, ale mimo namów pani Bujnickiej nie chciał porzucić fabryki, którą i nadal, w podobnym jak przedtem duchu, zarządzał.

W Złotopolu za to na szwedzkich okopach kwitnęły ogórki, a jeno kości sodalisów póty nie znalazły spoczynku, póki chłopstwo nie ulitowało się nad niemi i „owych świętych szczątków żołnierskich” nie pochowało w poświęcanych grobach.

KONIEC.



TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
I. Nikt nie jest prorokiem między swemi	1
II. Dwie drogi	95



Druk Laskauera i Babickiego.

Klisze ozdób zakopiańskich i okładki wykonane w Zakładzie Fotochemigraficznym B. Wierzbickiego.

Papier ze Składu Fabrycznego Ignacego Wienera.

Portret H. Sienkiewicza na okładce wykonany według ostatniej fotografii z r. 1900, zdjętej w Zakładzie Fotograficznym J. Mieczkowskiego.



*Ozdoby w stylu zakopiańskim są własnością
wydawcy.*

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA,
NIEOBJĘTE WYDANIEM ZBIOROWEM.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA,
NIEOBJĘTE WYDANIEM ZBIOROWEM.

IV.

PISMA MŁODOCIANE.

SELIM MIRZA.
CZY CI NAJMILSZY?
SABAŁOWA BAJKA.

WARSZAWA
DRUK P. LASKAUERA I W. BABICKIEGO
Ś-TO KRZYSKA 11.

HENRYK SIENKIEWICZ.

SELIM MIRZA.

CZY CI NAJMILSZY?

SABAŁOWA BAJKA.

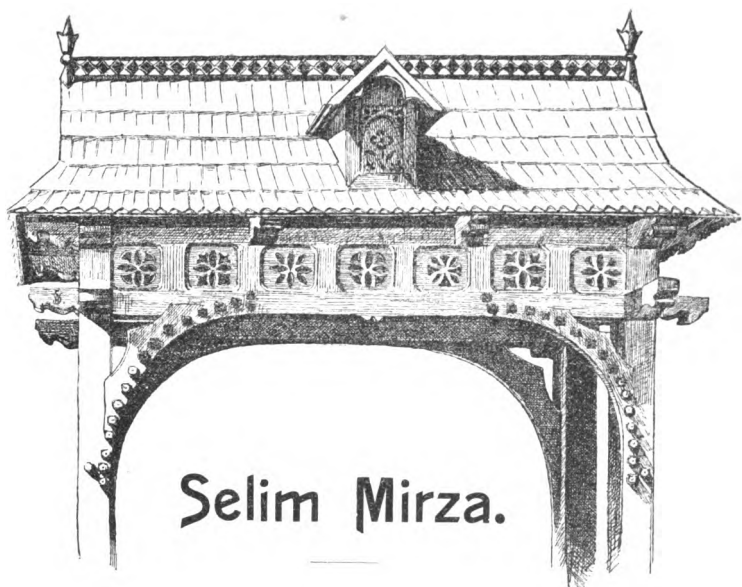


WARSZAWA.
NAKŁADEM STEFANA DEMBEGO.

—
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Іюня 1900 г.

SELIM MIRZA.



I.

Było to na wiosnę podczas wojny francusko-pruskiej. Belfort oblężony był przez prusaków, oddział zaś wolnych strzelców, w którym służyliśmy od pół roku obaj z Selimem, towarzyszem moich lat dziecinnych, kręcił się za ich plecami, bijąc się prawie codzień, chwytając posłańców z depeszami, napadając konwoje z żywnością.

Oddział ten był zbieraniną wszelkiego rodzaju awanturników, po największej czę-

ści cudzoziemców, ludzi skłonnych do rabunku, grabieży i wszelkiego rodzaju nadużyć, ale też nie ceniących życia, nie mających nic do stracenia, nawpół zdziczałych wśród ciągłego boju i prowadzących rzemiosło wojenne z instynktem i zamiłowaniem dzikich zwierząt. Sami nazywaliśmy się myśliwemi na ludzi, choć trudno było powiedzieć, kto tu był myśliwym, kto zwierzyną, bo i nas tropiono bez odpoczynku z całym niemieckim uporem i wytrwałością. Nie dawaliśmy spokoju, ale też i nie mieliśmy go sami ani w dnie, ani w nocy. Wśród dnia leżeliśmy po największej części w zaroślach, lasach i winnicach, w nocy zwłaszcza, jeżeli zdarzyła się noc ciemna i dżdżysta, wychodziliśmy na łup, podkradaliśmy się pod same obozowiska pruskie, porywaliśmy ludzi z placówek, tępiiliśmy patrole, zasadzaliśmy się w rowach kolei żelaznych na pociągi, lub wyrywaliśmy szyny, psuli telegrafy i t. p.

Nikt nigdy, nawet i rząd Gambetty, nie wiedział, gdzie jesteśmy, co robimy i gdzie się udamy. Byliśmy oddziałem

luźnym. Nie braliśmy wcale łożdu; jedliśmy najczęściej to, cośmy zdobyli na prusakach, piliśmy wódkę ułanów pruskich, otoczeni na wszystkie strony — zamknięci, rzecz można, naokoło murem dział i bagnatów, nie paliliśmy prawie nigdy ognisk, zmoczeni deszczem — suszyliśmy się na słońcu, zziębnięci — ogrzewaliśmy się w karabinowym ogniu.

— Mieszkamy za kołnierzem u prusaków — mawiali nasi żołnierze.

Istotnie, daleko za nami była Francya walcząca, uciekająca, były francuskie miasta, francuski rząd, armia, jednooki dyktator, manifesty, generałowie w złotych mundurach, gazety, szpitale wojskowe, zapasy żywności, ale to wszystko było po za nami. Bliżej były oddziały pruskie, bawarskie, saskie, my w ich środku.

Nieraz żelazna dłoń jakiego pruskiego generała opuszczała się na nas ostrożnie i cicho, jak ręka człowieka, który chce schwycić uprzykrzony owad. Upatrzwszy chwilę, dłoń ta spadała wreszcie, jak piorun, i chwytala tylko powietrze — my byliśmy już gdzieindziej.

Czasem znów podstawialiśmy bagnet pod taką dłoń, wówczas cofała się z okrzykiem wściekłości.

Ustawiczna wojna, zdrady, zasadzki wyrobiły w tych ludziach prawdziwie wilczy instynkt. Nie potrzebowali prawie dowództwa: działali cicho, sprawnie, przeźornie; wtedy, kiedy polowano na nich, ani chwili nie przestawali polować sami, umieli czyhać po całych nocach i po całych nocach tłumić oddech i po całych nocach wyteżać wzrok w jedną stronę, z której miał nadejść łup.

Ryzykując ustawicznie wszystko, umieli zachować ostrożność kota. Nieraz, gdyśmy leżeli w zaroślach, oddziały pruskie przechodziły tak blisko, że zdarzało mi się słyszeć głosy oficerów, ale jeżeli oddział był zbyt silny, nie padł ani jeden strzał.

Pułk wojska, idący wśród promieni słonecznych, rzuca cień.

— Byliśmy zawsze pewni, że kryjecie się w naszym cieniu — rzekł do nas jeden jeniec.

Istotnie byliśmy cieniem pruskim.

Ludzie nasi zatracili w sobie zwołna wszelkie uczucia ludzkie; nie mogą powiedzieć, żeby się bili dla Francyi i za Francyę, bili się, żeby się bić. O Francyę nie dbali. Żołnierzy francuskich z innych oddziałów, lub z armii regularnej, nie cierpieli tak prawie, jak prusaków, a pogardzali nimi więcej, niż prusakami. Przy spotkaniach, które zresztą rzadko się zdarzały, przychodziło zawsze do kłótni i bójek.

— Prusacy uciekliby, gdyby zobaczyli wasze twarze — mawiali do innych nasi żołnierze—ale zawsze widzą tylko wasze... spodnie.

Słowem, był to oddział pod każdym względem wyjątkowy, ale nie był liczny, owszem, topniał coraz bardziej, zarówno przez ciągłe bitwy, jak i przez trudy prawie nadludzkie. Przytem los rannych lub chorych naszego oddziału był straszny. Zostawiano ich poprostu w lesie. Raz, gdy jeden człowiek z nerwowego wycieńczenia upadł i prosił, żeby go dobić, słyzałem, jak odpowiedziano mu:

— Nie bój się, baranku, wilki cię tu znajdą.

Kandydatów nowych brakło, bo taka służba nie nęciła, choć z drugiej strony dawała obfitą nadzieję łupu. Zegarków, pieniędzy i pierścionków, zdjętych z trupów, mieli nasi ludzie tyle, że nie wiedzieli, co z nimi robić. Ale też i nie dbali o nie. W karty nie wolno było grać, kupować nie było co i gdzie, chować nie było warto, bo każdy wiedział, że prędzej czy później zginie.

Oddział więc codziennie stawał się mniejszy; kandydatów brakło jeszcze i dlatego, że nie było w nim żadnej dostługi. Żołnierz miał w kieszeni śmierć, nie buławę marszałka. Rząd obrony narodowej w buletynach swoich wspominał o nas bardzo rzadko.

— Oni o nas nie wiedzą—mawiał nasz dowódca, który tego rządu nie cierpiał.

Jednooki dyktator chciał nas jednak zobaczyć i przesłał rozkaz do La Roche-noire'a, naszego dowódcy, ażebyśmy się stawili na wskazane miejsce, ale La Roche-noire nie usłuchał rozkazu i zamiast na wskazane miejsce, poszedł na zasadzkę.

— Jeżeli nas chce widzieć — rzekł — niech przyjedzie do nas balonem, on to umie.

Zresztą, na paradzie oddział nasz źleby wyglądał: ludzie byli wychudli, poczer-nieni dymem, w mundurach podartych na strzępy, o oczach zaszłych krwią; niektórzy mieli głowy poobwiązywane chustkami, poplamionemi zaschłą posoką, nie czesani, nie myci, podobniejsi byli do zwierząt, niż do ludzi.

Ja znalazłem się w tym oddziale wypadkowo: namówił mnie do tego Selim. Kiedy wojna rozgorzała i kiedy obaj wybieraliśmy się z Paryża, ja chciałem wstąpić do armii regularnej, ale Selim rzekł:

— Pójdziemy do La Rochoire'a.

— Co to za jeden?

— Formuje oddział strzelców.

— Czy go znasz?

— Tak.

Skąd go znał, nie chciał mi nigdy powiedzieć, domysły zaś moje w tej mierze nie mają nic pewnego. Wiem, że, jeszcze przed wojną, Selim, który miał sporo pie-

niędzy, więcej nawet niż ich mógł wydać, awanturował się w Paryżu; wiedziałem, że miał pojedynek z kimś, należącym do arystokracji francuskiej, i że trzykrotnie wytrącił mu szpadę z rąk, szczegółów i nazwisk jednak nie wiedziałem nigdy dokładnie. Były to czasy, w których z Selimem nie żyliśmy blisko. Naprzód on był bogaty, powtóre, bądź co bądź, dzieliło nas wspomnienie Hani. Wprawdzie Selim postąpił z Hanią, jak człowiek honoru, nie mogłem jednak opędzić się myśli, że gdyby nie on, ukochana moja Hania nie przeszłaby strasznej choroby, nie przywdziałaby sukni zakonnej, że wreszcie, gdyby nie on, ja byłbym szczęśliwszy: nie miałbym w duszy takiej pustki, z jaką nosiłem się od lat ośmiu, i — może nawet — zamiast tułać się za granicami kraju, orałbym spokojnie zagon rodzinny.

Nakoniec, bolało mnie jeszcze i to, że podczas gdy ja, który mniej względem Hani zawiniłem, nosiłem się jednak ze smutkiem i jakby wyrzutem w duszy, Selim zapomniał o niej zupełnie. Przybywszy do Paryża, oddał się szumnemu, go-

rączkowemu życiu tego miasta z całą namiętnością swej wschodniej natury. Selim nigdy i w niczem nie znał hamulca. Jego majątek, rodowe nazwisko Mirzów Dawidowiczów, tej dumnej szlachty, jego wykształcenie wreszcie, bystrość umysłowa, żartki dowcip, a nakoniec piękność, odziedziczona po matce, otworzyły mu wszystkie podwoje rozkoszy w stolicy świata. Przyjmowano go wszędzie i rozrywano wszędzie. Ach, bo też piękny był ten chłopak, jak pomysł artystyczny, z temi swojemi anielskimi oczyma, biorącemi wprost za serce, z głową o liniach godnych dłuta rzeźbiarza, z wyniosłą giętką postacią, ze skrzydlatą młodością i bogactwem życia tak nieprzebranem, że im więcej rozrzucał je na wszystkie strony, tem więcej zdawał się je posiadać.

A przytem, nie był to piękny mężczyzna w znaczeniu tylko bulwarowem, jak zwykł pojmować piękność Paryż: w znaczeniu zwykłym, pospolitem. Wszystko, począwszy od umysłu, od owego nadmiaru życia, z którem sam nie wiedział co ma robić, a skończywszy na rysach

twarży, było w nim oryginalnem, niecodziennem.

Dla Paryża ten młody tatar, o rysach anioła, sile atlety, odwadze lwa i herbowej tarczy rycerza, był to kwiat o nieznannej barwie i woni. Łatwo zrozumieć, jak wyglądali przy nim markizowie nadsekwañscy: ich — życie szalone wyczerpywało, jego — zdawało się wzmacniać, oni byli duszami zgasłemi, jak wypalone lampy, on nawskroś był płomieniem, oni się przeżyli, on nie wiedział, co z życiem robić, oni byli rozczarowani, on sam był czarem, i wszystko naokół niego było dlań czarem.

Dla nich orgia była podniętą stępiących nerwów, dla niego — ochłodą przed zbyttem żarem krwi. A przytem, męty, leżące na dnie kielicha, nie czepiały się jego ust, zło odpadało od tej szlachetnej natury, jak suchy piasek od skały.

Charakter ten urabiał się w moich oczach, widziałem, jak się rozwijał prawie z dnia na dzień, dlatego znałem go nawskroś. Był to tenże sam Selim z lat dziecińczych, tylko podniesiony do potęgi.

Przeświadczenie o własnych siłach dało mu pewność, przeświadczenie zaś, poparte wrodzoną inteligencją, o nizkości i fałszywych pozorach większej części dusz ludzkich nauczyło go lekceważyć mężczyzn. Zarody niepohamowanej energii i przedsiębiorczości, jakie tkwiły w nim od lat dziecinnych, wybijały teraz do najwyższego stopnia, okrzepły i czyniły go pod pewnym względem niebezpiecznym.

Została mu dawna żywość i trochę nieopatrności, która łatwo mogła przy namiętnej, wrodzonej mu naturze przechodzić w zapamiętanie i szaleństwo, ale od zapamiętania i szaleństwa broniła go świadomość siebie, którą daje ludziom wykształcenie i subtelne, filozoficzne poniekąd poczucie każdego czynu, słowa, położenia i idei.

Nie był nigdy sentymentalny, ale jeżeli coś podobnego do sentymentalizmu drze mało za lat dziecinnych, choćby w atomie tylko, w jego naturze, teraz rozwiało się to bez śladu. Oto dlaczego wspomnienie Hani nie zostawiło w nim ani cienia smutku lub zarzutu. Kochać się umiał wśród

śmiechu, pocałunków, radości i wesela, wzdychać nie umiał.

Takie usposobienie jednak zgadzało się z charakterem i usposobieniem kobiet stolicy świata, dlatego kobiety te szalały za nim, chociaż wiedziały, że zdradzi je równie łatwo, jak bez wyrzutów, kiedyś zaś o tem z nim mówił, odrzekł mi:

— To nie obowiązuje, bawię się. Gdybym znalazł prawdziwą miłość, dałbym sobie rękę uciąć; ale jeżeli ona istnieje, z nas dwóch ty jej będziesz dłużej szukał, ale ją znajdziesz prawdopodobniej.

— Więc zwodzisz, gdy mówisz: Kocham?

Uśmiechnął się.

— Nie, wiem wprawdzie, że później zwiode, ale gdy mówię, nie zwodzę.

Mężczyźni, z którymi się spotykał, dzielili się na dwa obozy: jedni przepadali za nim, drudzy go nienawidzili. Co do Selima, miał swój nader oryginalny pogląd na nich.

— Wolę tych, którzy mnie lubią, ale szanuję więcej tych, którzy mnie nienawidzą, ci są samodzielniejsi—mówił do mnie.

Potem zaś zwykle dodawał:

— Zresztą, nie dbam o wszystkich.

Jednakże był doskonałym towarzyszem. Serce miał dobre, poczciwe, serce na dłoni, więc pomagał komu mógł i gdzie mógł, ale w przyjaźń nie wchodził łatwo; w chwili, kiedy z kimś dzielił się wszystkim jak z bratem, kochał go też jak brata, wtedy uczucie jego bywało szczere, niemal naiwne, płynące z głębi duszy, ale potem też same stosunki brał lekko. Selim wszystko brał trochę lekko.

Jednakże, gdy z powodów, o których już wspomniałem, odsunąłem się cokolwiek od niego i począłem żyć zamknięty więcej w sobie, Selim gryzł się tem niepomału. Z początku niejednokrotnie pytał mnie:

— Czego ty, waryacie, chcesz ode mnie?

Później przestał pytać, ale nie przestał boleć wewnątrz. Nieraz ze zgiełku, rozkoszy, blasków i wielkiego życia, biegł do mojej izdebki na Montmartre i, siadłszy pod oknem, wodził troskliwie za mną swemi anielskimi oczyma, jakby pragnąc

dopytać się do mego serca. Co do mnie, nie przestałem go kochać, owszem, może właśnie dlatego, że usposobienia nasze były wprost przeciwne, miałem dla niego tyle przynajmniej słabości, ile przywiązania. Ale cień Hani, który dla niego przestał istnieć, dla mnie stawał między nami. Zresztą, miałem i inne powody.

Oto nie mogłem z nim żyć narówni, a przytem on był wesoły, ja byłem smutny. O tak, ja miałem dosyć powodów do życia zdaleka od Selima, alem ich nie mógł mu zwierzyć, bom się obawiał jego współczucia. Miałem to w naturze, żem goryczami nie dzielił się z nikim nigdy. Kiedy poczułem cierń w sercu, wtedy zamykałem je tak, jak się zamyka muszla, w którą wpadnie ziarnko piasku. Zresztą, tak samo nie zwierzałem się nikomu i w szczęściu. Kto to czyni, czyni na mocy wewnętrznej potrzeby, ja nie czułem tej potrzeby.

W takich więc warunkach żyliśmy od lat kilku w Paryżu. Jam wegetował, on kwitł. Tymczasem wybuchła wojna. Wiadomość o niej przyjęliśmy obojętnie. Cały

Paryż uważał ją z początku jakby wojenną paradę. Sądono, że sam widok brodatych żuawów i czarnych afrów rozproszy Niemców na cztery strony świata. Sami owi żuawi i turkosi ciągnęli z Paryża na wschód, jak stada ptaków drapieżnych na łup. Dyszeli żądzą boju i krwi, drżeli z niecierpliwości, by jaknajprędzej znaleźć się w dymie, huk i kurzawie wojennej. Paryż upoił się, ale o przyszłość był spokojny.

— Jeden więcej tryumf — sądono — i oto koniec będzie wszystkiemu.

Ale kiedy dym z dział pod Wissenburgiem, Gravelotte i Sedanem opadł, przeżone oczy francuzów ujrzały klęskę najstraszniejszą, jaka kiedykolwiek na nich spadła. Owe pstre, czerwone, czarne pułki pierzchnęły przed żelaznymi legionami Niemców, jak leśne ptactwo przed stadem jastrzębi, a naokoło stolicy świata zacieśniał się coraz bardziej ciemny, a groźny mur pruskich wojowników. U bram Paryża, po nocach, zaczęło się rozlegać rżenie konia Atylli. Od czasu do czasu, wśród milczącego miasta, zatętniły kroki gońca

i rozległ się głos: „Pobili, naszych! nowa klęska!” Paryż na chwilę przykląkł, jak buhaj uderzony obuchem między rogi, ale potem podniósł się i ryknął.

Cały zresztą naród zerwał się do obrony. Groźny jednooki dyktator pożegłował z miasta balonem. Szale wojenne poczęły się wahać nanowo. Na północy, na południu, na wschodzie i zachodzie Francyi formowano oddziały, armie wyrastały z pod ziemi, jak grzyby. Kraj najeżył się bagnetami.

W takich to czasach, pewnego wieczoru wpadł do mnie Selim z rumieńcami na twarzy i z zaiskrzonemi oczyma.

Wpadłszy, rzucił mi się na szyję.

— Pójdziemy się bić! — zawołał.

Dawno chciałem to uczynić, więc słowa jego przyjąłem chłodno. Sądził, że to ów dawny chłód, który od kilku lat oddalał nas od siebie, więc rzekł prędko:

— Było coś między nami, ale na mojego proroka! niechaj to pójdzie w niepamięć. Henryku, znów strzemię do strzemięcia!

Przypomniałem sobie, jak mój ojciec rzekł do mnie, kiedy miał mieć pojedynek z Selimem:

— A to już bij, synku, aż się wszyscy dyabli będą śmieli.

Więc odpowiedziałem podobnie Mirzie:

— Tak, będziemy bili, Selimie, aż będzie w piekle słychać.

Potem uściskaliśmy się, a potem zaczęli sprzeczać. Ja chciałem zostać w Paryżu i bić się pod jego murami, Selim pragnął wydostać się z murów i zaciągnąć się do wolnych strzelców.

— Tu hołota mieszczańska zmykać będzie.

Potem zaczął mi opowiadać o La Rochenoirze i zaręczał, że pod jego kometandą znajdziemy, czego szukamy.

— On mnie nie cierpi — rzekł — ale to szczególniejszy człowiek. Nigdy nie spotkałem podobnego charakteru. Dałbym głowę za niego.

Czytelnicy wiedzą już, że napróżno wypytywałem się Selima o bliższe szczegóły pojedynku z La Rochenoirem. Domyślałem się, że on to był tym markizem,

któremu Selim w pojedynku wytrącił trzykrotnie broń z ręki, ale zresztą Selim miał mnóstwo pojedynków, trudno więc było coś stanowczego wnosić.

— Powiadam ci, że takich ludzi nie ma może trzech na świecie — mówił do mnie z naleganiem.

Ustąpiłem wreszcie, bo zwykle ustępowałem Selimowi, ale uczyniłem to z przykrością. W Paryżu dość było wziąć karabin i wyjść za mury, żeby się bić, ile dusza raczy — za Paryż trzeba się już było wydostawać balonem. Ta powietrzna żegluga nie uśmiechała mi się. Zresztą chciałem zaciągnąć się do jazdy, oddział zaś La Rochenoira był pieszy, ale Selim uparł się — i ustąpiłem.

Puściliśmy się więc w dwa dni później balonem, wioząc ze sobą mnóstwo depesz dla dyktatora. Dzień był chmurny, dżdżysty. Statek nasz, który w mieście samem wzbił się odrazu w górę o kilka tysięcy stóp, tuż za miastem opadł na dwa strzały karabinowe nad ziemię i włókł się ociężale ponad samym obozem pruskim. Widziałem cały obóz, jak na dłoni, białe

morze namiotów, reduty, działa, wartowników w śpiczastych hełmach, stojących nieruchomo, jak posągi, naokół obozu. Większe i mniejsze grupy żołnierzy ukazywały nas palcami, generałowie patrzyli na nas przez lunety i cały obóz zawrzał ruchem, którego gwar dolatywał aż do nas. Strzelono do naszego statku z małego polowego działka, ale nie słyszeliśmy nawet świstu kuli. Mr. Vaucourt, kapitan balonowy, dzielny aeronauta, ale wielki tchórz, umierał ze strachu na dnie łodzi. Selim śmiał się, jak dziecko, klaskał w ręce, kłaniał się niemcom i wołał na nich wszystkimi językami, a przytem potrząsał łódką, co powiększało jeszcze strach pana Vaucourt, ja zaś, trzymając karabin, śledziłem, czyby nie można dać strzału, ale zarówno zbytńia odległość, jak i kołysanie się łodzi stały temu na przeszkodzie.

Jednakże, kiedy dotarliśmy do ostatnich placówek obozu, balon zniżył się jeszcze bardziej. Teraz i Selim uchwycił za karabin, a oczy zaiskrzyły mu się, jak

u wilka. Wyteżył wzrok w jedną stronę, i po chwili rzekł do mnie:

— Patrz!

· Spojrzałem w stronę, którą mi ukazywał, i przez przezroczystą mgłę, wśród której płynęliśmy w tej chwili, dojrzałem, jak od czarnej ogromnej masy ludzi oderwało się kilkadziesiąt postaci na koniach i poczęło dążyć za nami.

Wkrótce gołem okiem mogliśmy dostrzec kwadratowe czapki ułańskie, mundury, lance i barwę chorągiewek. Z dołu dochodziły nas ich okrzyki; wkrótce znaleźli się tuż pod nami. Tymczasem statek zniżył się jeszcze bardziej i płynął coraz wolniej.

— To ułani! — zawołał Selim.

— *Nous sommes perdus!* — zajęczał pan Vaucourt.

Ułani tymczasem sadzili, co koń wyskoczy, ale bez najmniejszego porządku. Na przedzie biegł oficer, rosły mężczyzna, o jasnej brodzie. Kasztanowaty koń jego, widać, dzielniejszy od innych, sadził, jak szalony, wprost pod balonem, wyrzucając ziemię kopytami. Oficer, nie bacząc na

drogę, z podniesioną do góry głową, patrzył, jak w tęczę, w statek, krzycząc po niemiecku:

— Mamy was! mamy was!

— Trzymaj! — odpowiadał mu, śmiejąc się, Selim.

Tymczasem wpłynęliśmy na łakę, porośłą kępkami szuwarów i widocznie trochę bagnistą, konie bowiem ułanów poczęły więznąć i padać, blisko połowa została już za nami i wkrótce też zatrzymała konie, oficer jednak i dwudziestu innych ludzi dotrzymywali nam w biegu doskonale.

— Co za dzielne konie! — rzekłem do Selima.

— Możliwy już strzelać — rzekł.

Istotnie, nie byliśmy wyżej, niż na dwieście kroków nad ziemią, ale strzelać było trudno z powodu kołysania się łódki, która chwilami przybierała prawie poziome położenie.

— Czy nie możesz pan sprawić, żeby ta dyabelska łódka nie tańczyła, jak baletniczka? — krzyczał podniesionym głosem Selim, jak gdyby pan Vaucourt był głuchy.

— *Nous sommes perdus!* — jęknął pan Vaucourt.

Wówczas Selim, trzymając się jedną ręką lin, powstał w łódce, drugą zaś zmierzył z karabinu do oficera, jak gdyby strzelał z pistoletu.

— Chybisz — rzekłem.

— Spróbuję.

Rozległ się głucho strzał, któremu natychmiast odpowiedział okrzyk wściekłości z dołu. Spojrzałem: oficer nie patrzył już w górę, ale upadł twarzą na grzywę konia, a wkrótce zwałił się na ziemię.

Jednocześnie jednak zniżyliśmy się tak, że lina próbna, jaka zwykle wisi pod balonem, dotykała prawie ziemi. Szczęściem, ułani zatrzymali się nad zabitym oficerem, skutkiem czego zdołaliśmy się oddalić od nich na kilkaset kroków.

Pan Vaucourt, oprzytomniawszy, wyrzucał ze statku wszystko, co się jeszcze dało wyrzucić, ale widocznie gaz przesiąkał przez rozmokłą kitajkę, czy może w górnej części statku porobiły się otwory, dość, że lina próbna poczęła już niemal trzecią częścią swej długości ude-

rzać o ziemię, sprawiając niezmierne kołysanie się łódki.

Ułani, spostrzegłszy to, znowu rzucili się w pogoń, ale konie ich pomęczone, nie mogły tak długo biec za nami, wkrótce więc zostało ich tylko pięciu, następnie, po kilkunastu minutach, znowu koń pod jednym padł i nie powstał więcej.

— Już tylko czterech— rzekł Selim.

— Daj ognia, a będzie trzech.

— Zdaleko, zresztą łódka chyba się wściekła.

— Jednakże nie potrzebujemy już uciekać.

— A zatem dobrze! Panie Vaucourt, otwórz kłapę, niechaj gaz wyjdzie, chcemy wysiąść.

— Panowie!—zawołał z rozpaczą francuz — czyście rozum stracili? Jakto, czterech tych dyabłów sadzi za nami, a my dobrowolnie chcemy się im oddać? Nigdy!

— Panie Vaucourt, otwórz kłapę i spuść kotwicę — powtórzył groźnie Selim.

— Nigdy.

Wówczas Mirza odwrócił się do mnie i rzekł spokojnie:

— Bądź tak dobry, przyłóż lufę karabinową do ucha pana Vaucourt; niechaj wybiera.

Odwróciłem się i trzymając się jedną ręką lin, drugą, skierowałem karabin do ucha pana Vaucourt.

— Daję panu minutę czasu do namysłu.

Pan Vaucourt począł przeklinać naszą narodowość, chwilę, w której przyszedł na świat, siebie, Paryż, prusaków, ale spuścił kotwicę i drżącemi rękoma otwierał klapę z takim pośpiechem, jakby od tego ocalenie Francyi zawisło. Poczęliśmy spadać na dół, jak kula.

— Trzymaj się! — krzyknął Selim.

Jednakże nie obrachowaliśmy jednej rzeczy. Oto z łódki balonu nie wysiada się tak, jak z powozu; kotwica zaczepiła się wprawdzie o kępę, ale łódka uderzyła tak silnie o ziemię, że wylecieliśmy wszyscy trzej w trzy różne strony, jak z procy. Co gorsza, karabin wypadł mi z ręki, sam zaś upadłem twarzą na kępę.

Zerwałem się natychmiast, ale nie zdążyłem jeszcze rzucić okiem za moim kara-

binem, gdy tuż koło ucha mego rozległo się chrapanie konia i warczenie chorągiewki ułańskiej.

— W prawo, w prawo! — krzyknął Selim.

Nie zdołałem jeszcze uskoczyć, gdy huknął strzał, i jeździec, który już dosięgał mnie lancą, jakby piorunem rażony, tytnął oczyma i zwałił się ciężko z siodła.

— Ach, Mirza, spadając, widocznie nie upuścił swego karabina!

Pochwyciłem i ja za mój i spojrzałem naokoło. Teraz Selim był w niebezpieczeństwie. Dwóch jeźdźców parło na niego całą szybkością koni, wyjąc i wrzeszcząc jak opętani. On zaś, z rozwianym włosiem, bez kapelusza, z rozdętymi nozdrzami i rumieńcami na twarzy, czekał na nich spokojnie, ściskając w obu rękach karabin. Ach, jeden z jeźdźców brał Selima na cel z pistoletu — pociągnąłem za cyngiel.

Z trzech atakujących nas pozostał jeden, ale o rezultat walki byłem już spokojny. Mirza zbyt biegłym był fechmistrzem na wszelką białą broń, aby ów rezultat mógł być wątpliwy.

Pozostał jeszcze czwarty ułan, ale ten, ujrawszy z odległości dwustu kroków rezultat walki, zdarł konia wędzidłem tak, że aż tylne nogi zwierzęcia zaryły się głęboko w trawę, potem począł uciekać tak szybko, jak tylko zmęczony biegiem mógł nadążyć.

Selim strzelił za nim jeszcze, ale bez rezultatu, odległość bowiem była zbyt wielka.

Ręka prusaka, którego Selim zastrzelił tuż nademną, nie puściła cugli, dlatego koń jego stał z pochyloną głową nad martwym ciałem swego pana. Obaj z Selimem wyplątaliśmy z trudnością cugle z tej ręki, której palce były już zeszywniałe, poczem Selim wskoczył na siodło i pogalopował za dwoma innymi końmi, z których jeden, zwierzę widocznie głupie, począł gryźć sobie trawę, tak jak gdyby nic nie zaszło, drugi zaś biegł po łące galopem i krótkim rzeniem oznajmiał swoją żalność.

Gonitwa za końmi zajęła Selimowi trochę czasu, w kwadrans jednak schwytał obadwa, ja tymczasem poszedłem szu-

kać pana Vaucourt, z którym nie wiedziałem, co się dzieje.

Znalazłem go za kępą szuwarów, leżącego twarzą do ziemi, i począłem go wstrząsać za ramię.

— Panie Vaucourt, wstawaj pan!

— *Pardonnez moi!* — jęczał pan Vaucourt, sądził bowiem, że to ułan pruski namawia go, by wstał. Biedakowi nie przyszło do głowy, że prusak nie wołałby na niego po francusku.

— Panie Vancourt! to my; niema już ułanów, to my, pańscy towarzysze!

Pan Vaucourt podniósł głowę i, podparłszy się obu rękami, nie wstając zresztą, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, oczom własnym nie wierząc. Stojący obok z końmi Selim śmiał się, jak szalony.

— Tak, tak! niema już prusaków — powtórzył.

Pan Vaucourt powiódł oczyma po nas, po koniach ułańskich, po ciałach leżących na łące, potem zaś nagle wpadł w taki paroksyzm radości, że sądziliśmy, iż dostał pomieszania zmysłów.

— *Eh bien! vous êtes donc des diables!* —
wołał, nie mogąc przyjąć do siebie.

— To on to wszystko zrobił — rzek-
łem, ukazując na Selima.

— Jakto? ten młody człowiek z twa-
rzą... panienki?

— Nie, nie! to my obaj — odpowie-
dział Selim.

Pan Vaucourt śmiał się, tańczył, wy-
pytywał nas, to znów tańczył, słowem,
całkowicie postradał zmysły. Potem po-
biegł oglądać zabitych, ale, gdy się za-
trzymał przed trupem najbliższego pru-
saka, który z twarzą wykrzywioną przez
konwulsye, z krwawą pianą na ustach i za-
ciśniętymi zębami spoglądał na niego
martwem okiem, biedakowi zrobiło się
słabo i pobladł tak, że myśleliśmy, iż
zemdleje.

Selim namawiał go, by obszukał kie-
szenie poległych, ale bał się tego uczynić.
My zaś wzięliśmy tylko kaski i, siadłszy
na konie, puściliśmy się w dalszą drogę.

— Wolę jednak tak, niż tą piekielną
machiną — rzekł Selim, gdy przejeżdża-
liśmy koło balonu, który, leżąc na tra-

wie i opadłszy zupełnie, przedstawiał widok nader smutny.

Tymczasem pociemniało, a wkrótce zrobiła się noc zupełna. Dostaliśmy się na jakąś drożynę, o której nie wiedzieliśmy, czy nie zawiedzie nas do jakiej wioski, pełnej prusaków. Trzeba było zachować wszelką ostrożność, bo niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze zupełnie. Byliśmy w okolicach, zajętych przez nieprzyjaciela, i lada chwila mogliśmy się spotkać z jakimś patrolem. Możliwem było także, że wysłano za nami nową pogoń. Tymczasem pan Vaucourt, puściwszy raz wodze językowi, nie mógł go już utrzymać, i wynurzał nam swoją „nieskończoną” i „nieopisaną” wdzięczność tak głośno, że wreszcie Mirza kazał mu być cicho.

— Dlaczego? — pytał.

— Prusacy mogą być niedaleko.

— *Avec vous, je m'en fiche!* — odpowiedział z całym zaufaniem.

Odwaga jego teraz była równie „nieopisaną”, jak wdzięczność.

Tymczasem leśna drożyna stawała się coraz węższą. Często, spłoszeni jakim sze-

lestem, skręcaliśmy w bok, zatrzymując konie i dech w piersiach. Raz sarna z młodem przebiegła nam drogę i, spojrzawszy na nas, w krótkich podskokach pobiegła na pobliską polankę, na której poczęła skubać spokojnie trawę. Zdawało się, że w owych czasach zwierzęta widocznie wiedziały, iż ludzie zbyt są zajęci zabijaniem siebie, aby mieli czas zwracać na nie uwagę. Czasem gałęzie drzew uderzały o nasze twarze, [lub zaczepiały o suknie, czasem koń chrapnął niespokojnie, lub jaki pień, stojący na uboczu w ciemnościach nocy, przybierał fantastyczny kształt człowieka z otwartymi ramionami, lub rękoma podniesionymi do nieba, — wówczas zatrzymywaliśmy konie, pan Vaucourt zostawał z tyłu, my zaś z Selimem, odwiódłszy kurki, podjeżdżaliśmy zwolna do podejrzanego przedmiotu. Las szumiał, deszcz trochę ustał, ale natomiast zerwał się wichur, po ciemnym niebie przelatywały poszarpane chmury, to przesłaniając światło księżyca, to odkrywając przestrzenie, pokryte bladymi gwiazdkami.

Nerwy naszego towarzysza poczęły znowu głośniej przemawiać. Co do mnie, czułem się zupełnie szczęśliwy. Ta cisza, samotność, dzika ustron leśna, noc, otwarty powiew wiatru, niepewność i niebezpieczeństwo każdej chwili miały dla mnie niepojęty urok, jakby zmartwychpowstania. Mnie tam duszno i ciasno było w murach, tu oddychałem szeroko, całym obszarem płuc, jak Farys w Arabistanie. Tam, w murach, wplatałem się codzien w bolesne koło własnych myśli i wspomnień, tu strzemię moje trącało o strzemię brata, tatara, przedemną był szeroki kraj, drugi brat, karabin, w rękę, swoboda, zapomnienie życia, upojenie... śmierć...

Gdyby bezpieczeństwo towarzyszków nie stało temu na przeszkodzie, chciałbym był podnieść twarz ku niebu i krzyczeć pełną pierśią: hej, hej, ty puszcz szumiąca! — a potem słuchać pilnemi uszama, co odpowiada mi bór, na którym wiatr grał, jak na organach. Pół leśna, pół dzika dusza litewska rozbudziła się we mnie i zdawało mi się, że jestem gdzieś w Ponar-

skiej lub Białowieży, wśród mateczników i bagien, w których o północy wody mruczą wyraźnie, ostre krzyki świtezianek przeszywają powietrze, próchno świeci błękitnem światłem, a zwierz na uroczyskach ludzką przemawia mową.

Nie myślałem więc o niebezpieczeństwie i nie dbałem o nie w tej chwili, ale Mirza czuwał. Jego ściągnięte brwi oznaczały uwagę, oczyma badał każdy krzak, każdy pień drzewa. Droga stawała się coraz dzikszą, była to raczej jedna z takich leśnych ścieżek, jakie u nas nazywają „cicinemi drózkami”.

Wreszcie po półgodzinnej jeździe Selim rzekł:

— Trzeba dać odpocząć koniom.

Skreśliśmy na bok i, ujechawszy ze sto kroków w las, zsiadliśmy z koni i, rozkietznawszy je, nie puszczając z ręki cugli, pokładaliśmy się pod drzewami; milczeliśmy wszyscy trzej, bo byliśmy pomęczeni bardzo; ciszę przerywało tylko chrupanie trawy w zębach końskich.

Siedzieliśmy tak cicho z kwadrans, nag-

le obaj z Selimem zerwaliśmy się na równe nogi.

— Co to jest? — szepnęliśmy jednocześnie.

Z ciemności i głuszy leśnej doszedł nas jakiś dziwny głos; było to coś pośredniego między płaczem dziecka a beczeniem jagnięcia.

— To cap mekcze! — rzekł Mirza.

— Nie, to lelek — odpowiedziałem.

Jednocześnie konie przestały chrupać trawę, a poczęły strzyc uszyna i chrapać.

Co było dziwne, że głos ten dochodził czasem z prawej strony, czasem z lewej; czasem rozlegał się bliżej, to znów dalej, a zawsze słaby i żałosny.

Nie! Nie mógł to być ani cap, ani lelek. Było w tem wszystkiem coś niewytłumaczonego, i ten maleńki, żałosny głosik miał w sobie dlatego coś przerażającego, że wydawał się nadnaturalnym. Z wycia wilków lub huku karabinowego mniej-byśmy sobie robili z pewnością.

Selim, który, przy całej odwadze lwa, był trochę przesądny, wpatrzył się w ciemność nocną i szepnął:

— Nie lubię tego, nie lubię niebezpieczeństw, wobec których nie wiem, czego się trzymać.

— *Mon Dieu!* — jęknął pan Vaucourt, któremu włosy zjeżyły się na głowie.

— Ale oto widzę coś białego — szepnął znowu Selim, ukazując w ciemny kąt lasu.

Spojrzałem, Mirza mylił się, nie było nic ani białego, ani czarnego.

— Wezmę karabin i pójdę — rzekłem. — Przecież mnie dyabeł nie porwie.

Poszedłem. Ale i ja byłem zdania, że najgorsze z niebezpieczeństw jest to, wobec którego nie wiedzieć, czego się trzymać. Doprawdy, wobec tego głosu, który rozlegał się koło mnie i nademną, gotów byłem przypuścić, że to dusze poległych obsiadają drzewa, jak szpaki, i nawołują się lub skarżą.

I moje nerwy poczęły się teraz rozstrajać. Drgałem za każdą gałązką, złamaną pod moją stopą. Raz zdawało mi się, jakby jakiś głos szepnął mi w samo ucho: „hej, Polonais!” Ale były to złudzenia.

Obszedłem kawał lasu naokoło drzewa, pod którym założyliśmy nasz obóz. Głos rozlegał się ciągle naokoło, tak, że wreszcie przestał mnie straszyć, a zaczął nudzić.

— Niech cię licho porwie! — rzekłem sobie w duchu i wróciłem pod drzewo.

Pod drzewem zastałem tylko pana Vaucourt, który, w chwili gdy się zbliżał, był pewny, że to sam lucyfer przychodzi po jego duszę.

— Gdzie jest Mirza? — spytałem.

— Poszedł na zwia... a... a... dy — odpowiedział, kłapiąc zębami, francuz.

Upłynął kwadrans, potem półgodziny. Selim nie wracał.

Teraz i ja począłem się bać naprawdę. Mogło przytrafić się największe z nieszczęść i niebezpieczeństw: oto Mirza, odszedłszy zadaleko, prawdopodobnie zbłąkał się w tym piekielnym lesie i nie mógł trafić pod drzewo.

Upłynęło trzy kwadranse, Selim nie wracał.

Mogłem wprawdzie strzelić lub zawołać i wskazać mu przez to drogę, ale mog-

łem ją tem wskazać i patrolom pruskim. Nie było jednak innej rady. Z pod drzewa nie ruszyłbym się bez Selima, choćby cała armia pruska miała mnie pod niem otoczyć. Objawiłem swój zamiar panu Vaucourt.

Pan Vaucourt padł przede mną na kolana, żeby tego nie czynić.

— To zguba wszystkich! — mówił.

Próbowałem sykać, odpowiedziało mi milczenie; nawet ów głos baranka czy dyabła ucichł. Zawołałem więc raz i drugi:

— Mirza, hop, hop!

Milczenie.

Włosy na głowie powstały mi z trwogi o Selima. W tej chwili chłopak ten droższy mi był, niż wszystko na świecie. Nie wiele myśląc, podniosłem w górę karabin i dałem ognia.

Błysnęło czerwone światło, potem rozległ się huk. Las cały umilkł, jakby przerażony, tylko pan Vaucourt zawołał:

— Boże, przyjmij duszę moją!

— Dyabeł jej nawet nie zechce — odpowiedziałem zniecierpliwiony.

Cisza jednak nie trwała dłużej nad pięć minut, poczem zdawało mi się, że uchem chwytam lekkie trzeszczenie gałązek, jak gdyby naciskanych stopą ludzką.

Mógł to być Selim, a mógł być i nie Selim, dlatego obaj z Vaucourtem zaczęliśmy się pod drzewem.

Po chwili czarna sylwetka ludzką zarysowała się pomiędzy krzakami. Na nie szczęście chmury jednocześnie przykryły księżyc; zrobiło się tak ciemno, że zaledwie mogłem ją rozróżnić.

Postać ta, z głową pochyloną naprzód, zbliżała się zwolna i ostrożnie, zatrzymując się co chwila. Zauważyłem, że w ręku trzyma strzelbę.

O pięć kroków czarna postać zatrzymała się. Wyteńczyłem wzrok, to nie był Selim.

Z powodu ciemności nie mogłem jednak odróżnić, czy to był prusak, czy nie, lub czy wogóle żołnierz. Widziałem wprawdzie, że nowy gość nie miał śpiczastego hełmu na głowie, ale i bawarowie i sasi nie

mieli także śpiczastych hełmów, zresztą i prusacy nosili czapki.

Ktokolwiek był jednak ten ogromny chłop, który w tej chwili o pięć kroków stał ode mnie, był mi potrzebny, i to koniecznie żywy, postanowiłem więc go schwytać.

— Tsss!—odezwał się nowoprzybyły.

— Tsss!—odpowiedziałem zza drzewa.

Była to prawdziwa ślepa babka, gra na ten raz trochę niebezpieczna, ale niemniej interesująca.

Nowoprzybyły postąpił jeszcze dwa kroki. W mgnieniu oka rzuciłem się na niego jak tygrys, a w sekundę później siedziałem mu na piersiach i, dusząc rękami za gardło, krzyknąłem:

— Milcz i nie ruszaj się, bo zginiesz.

Nowy gość jednak, widocznie obdarzony niepospolitą siłą, rzucał się jak szalony. I ja byłem silny i trzymałem go jak w kleszczach, a zaledwie mogłem go dotrzymać. Chrapał i wierzgał nogami, tak, że ledwo mnie nie zrzucił.

Nagle jednak opadł, jak gdyby nowa, żelazna siła przykuła go do ziemi. Spoj-

rzałem: był to mój serdeczny chłopak, Selim, który już klęczał mu na nogach, a przechyliwszy się przez moje plecy, przyłożył mu błyszczący bagnet do twarzy.

— Jeden ruch więcej, a zginiesz! — zawołał.

Ale nieznajomy nie myślał się już ruszać. Selim zlął teraz z niego, wziął karabin, przyłożył się i rzekł do mnie:

— Puść go.

Ustuchałem; nieznajomy leżał bez ruchu.

— A więc zabijecie mnie! — rzekł.

— Wstawaj.

Biedaczysko wstał i począł mówić, chwytając zmęczonemi piersiami powietrze.

— Kto wy jesteście? Czego ode mnie chcecie? Ja nic złego nikomu nie robię. Połamaliście mi ręce i nogi. Jeżeliście strażnicy leśni, weźcie moją strzelbę. Zapłacę karę... ale nie łamcie mi kości. Teraz jest wojna. Zwierzyna należy do tego, komu się jeść chce... Niemiec poluje na francuza... wilk na owce... kot na myszy...

ja na sarny i zające. Teraz takie czasy...
wszyscy polują...

— Kto ty jesteś?

— Ja nazywam się Mathieu Benoit!
albo stary Mathieu, jeżeli się wam tak
podoba.

— A więc, stary Mathieu, uspokój się!
Nie jesteśmy strażnicy, nie pójdziesz do
więzienia, nie zabierzemy ci strzelby, nie
zapłacisz kary, pokażesz nam tylko drogę.

— Tak, ale połamaliście mi stare ko-
ści — mruknął złodziej leśny.

Kilka sztuk złota zabrzączało w rękę
Selima.

— Kup sobie za to nowe, a teraz od-
powiadaj na pytania.

— Słucham.

— Prusacy są tutaj?

— Są.

— Francuzi?

— Francuzi także są. Jedni zabijają
drugich. Palą przytem wioski, a Pan Bóg
patrzy na to i nie grzmi.

— Otóż, słuchaj. Zaprowadzisz nas do
francuzów taką drogą, na której nie spot-
kamy prusaków.

— Wiem o takich wielu.

— Jeżeli spotkamy prusaków, więcej niż trzech, strzelę ci w łeb; żeby zaś nie przysłała ci ochota zemknąć, pójdiesz na smyczy, obok mego konia.

— Teraz pies lepszy od człowieka — odmruknął Mathieu.

Siedliśmy na konie i pojechali. Stary Mathieu, który był tem, co po francusku nazywa się „*un braconnier*”, a po polsku „wnicznik”, albo jak mówią także w Białowieży — „kłusownik”, prowadził nas sobie tylko znanymi ścieżkami.

— Tą drogą — mówił, ukazując na drożynę, którąśmy przedtem jechali — zajechalibyście do Poutvert, gdzie oberżę ma pani Frolie. Mówią, że baba ma pieniądze. Tam także stoją prusacy, którzy niedawno rozstrzelali młodego Vauharta, ale ja znam las, jak swoją kieszeń i poprowadzę was dobrze. Pan Bóg dał teraz takie czasy, że śmierć mieszka na drodze, spokój w lesie, niemiec w kościele, a cesarz za kratą.

— Ale ja zresztą głupi jestem, ja nie wiem — dodał po chwili.

— Komu sprzedajesz swoją zwierzy-
nę? — spytał Selim.

— Czasem francuzom, czasem prusa-
kom, a jak mi odbiorą, to i darmo odda-
ję. Wojna bierze, kochany panie, i za to-
war płaci... na plecach.

Stary rozgadał się w najlepsze. Była
w nim mieszanina głupoty i filozofii, z któ-
rej możnaby wyprowadzić ten wniosek, że
gdy wielcy się biją, mali cierpią i sądzą,
że Pan Bóg zasnął.

Wypytywaliśmy jeszcze naszego prze-
wodnika o ów szczególniejszy głos, który
słyszeliśmy w lesie. Pokazało się, że to
kłusownicy nawołują się w ten sposób; że
zaś Mathieu był w lesie z trzema synami,
przeto głos dochodził nas ze wszystkich
stron.

— Ale być może — dodał stary — że
i dyabeł odzywa się w ten sposób.

Potem jeszcze rzekł:

— Gdybyście trafili na syna mego, Ja-
kóba — nazywają go także „Krzywa rę-
ka” — nie poszłoby wam tak łatwo, choć
jesteście mocni, jak turcy.

Była może godzina druga po północy, gdy wreszcie las począł rzednieć, i nakoniec znaleźliśmy się w wąwozie, którego boki pokryte były żywopłotem. Mathieu opowiadał nam, że las, z któregośmy wyszli, nie był wielki, ale drożyna nasza okrążyła go niedaleko od brzegów, prawie zupełnie naokoło, robiliśmy więc drogę naprzóno.

Zaledwie pierwszy blask robił się na świecie, gdy zdaleka, doszło uszu naszych pianie kogutów, a wkrótce wśród mgły oświeconej blademi promieniami świtu, ujrzelśmy dachy domów i wieżę kościelną miasteczka, zajętego przez francuzów. Głośne „*Qui vive?*” żołnierza, stojącego na placówce, wstrzymało nasz pochód. Musieliśmy jeszcze czekać, póki nie nadszedł patrol, opatrujący warty, potem patrol ten zabrał nas ze sobą, i w taki sposób przybyliśmy na miejsce.

Zdziwiło nas trochę, że pomimo oznajmienia naszego, iż mamy depeşe z Paryża od dyktatora, nie rozbudzono natychmiast pana generała, którego kwatera znajdowała się w merostwie. Dano nam

jednak izbę, której podłoga była zasłana sianem, i postawiono nad nami straż. Rzuciliśmy się na siano i usnęli głęboko.

Nazajutrz dopiero, o godzinie dziesiątej, zawołano nas do generała, którego nazwiska nie pamiętam, zgubiłem bowiem część notat, odnoszących się do owego czasu. Pan generał z zielonemi oczyma i twarzą, podobną do głowy ryby, przytem otyły, pulchny, przedstawiał doskonały typ, nie wojownika, ale smakosza i safanduły.

Kilkunastu wyższych oficerów otaczało go w pełnem uszanowaniu milczeniem. Pan Vaucourt zabrał głos i począł nader wymownie opowiadać wypadki naszej podróży, wypadki zaledwie prawdopodobne, ale których rzeczywistość poświadczyły pruskie kaski ułańskie i konie, na których przyjechaliśmy do miasteczka.

Pan Vaucourt mówił prawdę. Swoją drogą, biedaczysko nie wspomniał o tem, że przyłożyłem mu lufę karabinową do ucha, aby namówić go do otworzenia kłapy w balonie. Mówił przytem wszędzie:

„my zabiliśmy”, „my wysiedliśmy”, zamiast: „oni”.

Podczas całego opowiadania staliśmy z Selimem ramię przy ramieniu, obaj oparci na karabinach. Oficerowie spoglądali na nas w milczeniu, poczem, gdy wreszcie pan Vaucourt skończył opowiadanie, generał podniósł się i począł mówić:

— Panowie! Oto przedstawiam wam tego walecznego syna Francyi — tu wskazał palcem na pana Vaucourt. — Gdyby wszyscy francuzi wstępowali w jego... jakże się nazywa?... kraj nasz byłby już wolny od nieprzyjaciela. Ten waleczny nie zważał na wszelkie... jakże się nazywa? ale wśród kul i... tego... przybył aż do nas... i oto panowie... i oto panowie!...

Tu generał począł obcierać usta serwetą, oficerowie uśmiechali się, waleczny syn Francyi zaczerwienił się jak burak, i zmieszany, począł spoglądać na nas miłosiernym wzrokiem. Selim przygryzał wargi, ja zaś usiłowałem zapewnić oczyma walecznego syna Francyi, że przeciw pochwałam, jakie go spotykały, nie mamy najmniejszego zamiaru protestować.

Tymczasem generał odpiął jeden z krzyżów, które na jego piersiach tworzyły nader liczną konstelację i mówił dalej:

— Zbliź się, waleczny synu Francyi... Spodziewam się, że... jakże się nazywa?... że dyktator potwierdzi ten mój postępek, zarówno jak i krzyż, którym pana ozdabiam.

Jeden z oficerów, wysoki mężczyzna, z twarzą surową i nieprzyjemną, nie mógł już wytrzymać i rzekł:

— Przepraszam, generale!... zdaje mi się, że ci dwaj panowie...

Ale generał ręką nakazał mu milczenie, odwrócił się do nas:

— Wy zaś, cudzoziemcy — rzekł — którzy dopiero zaciągnęliście się pod sztandary francuskie, zapatrujcie się na tego bohatera, a może być, że i na waszych piersiach zabłyśnie oznaka podobna.

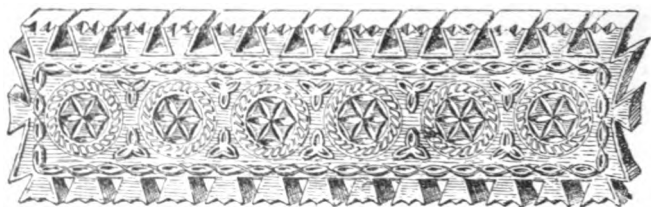
Obawiałem się, żeby Selim nie zrobił jakiego wyskoku, żeby nie parsknął śmiechem, ale nie: stał spokojny, zimny, choć widać było, że cała ta scena i gniewa go i śmieszy jednocześnie.

Pocziwy zresztą pan Vaucourt począł głośno oświadczać, że krzyż należy się nam, nie jemu, skutkiem czego inteligencya generała znalazła się wobec niepodobnego do rozwiązania zagadnienia: czy pan Vaucourt jest więcej waleczny, czy skromny? Poczem rozeszliśmy się w dwie strony.

Tego dnia jeszcze wieczorem Mirza zaprosił oficerów na obiad, na którym rzucał złotem, jak książę. Nazajutrz zaś puściliśmy się do La Rochenoira.

Tak odbył się nasz wyjazd z Paryża.





II.

Aż do departamentu Haute-Saône jechaliśmy mniej więcej krajem, zajętym przez francuzów, jakkolwiek, działające na południu armie bawarskie utrzymywały związek z pruską, oblegającą stolicę. Niebezpieczeństwo groziło nam tylko ze strony maruderów francuskich, których pełno było po drogach, i którzy tu i owdzie pozwalali sobie łupić i rabować. Nie obawialiśmy się ich jednak, tembardziej, że znowu jechaliśmy we trzech, bo jakkolwiek „waleczny syn Francyi”, pan Vaucourt, odjechał inną drogą do Bordeaux, ale już drugiego dnia podróży przyłączył się do nas niejaki Jean Marx, z pochodze-

nia alzaczek, młody osiemnastoletni chłopak, który nie bał się niczego na świecie i, po jednodniowej znajomości, byłby nawet w piekło za nami poszedł.

Kraj wszędzie nosił na sobie ślady wojny. Gdziekolwiek trafialiśmy na zburzone wioski, których mieszkańcy kryli się za naszym zbliżeniem, pola leżały nieobrobione, miejscami spotykaliśmy gromadki wychudzonych i zgłodniałych biedaków, błąkające się nakształt widm po zeszłorocznych polach kartoflanych i wyszukujące przegniłych kartofli. Wojna wisiała w powietrzu nad całym krajem; wszędzie prawie towarzyszył nam zapach spalenizny. Nocami krańce widnokągu często czerwieniły się łuną pożarną, po księżycu z odległych pustkowi dochodziły nas wycia psów. Kilkakrotnie trafialiśmy na pola bitew, na których nie było już wprawdzie trupów końskich i ludzkich, ale które poznawaliśmy po mnóstwie białych papierków z wystrzelonych ładunków. Miejscami papierki te pokrywały, jakby śniegiem, ziemię, miejscami były rzadsze. Raz przyjechaliśmy do wioski

zupełnie pustej, w której, prócz chudych kur, uciekających z krzykiem za naszym zbliżeniem, była tylko jedna staruszka, mająca pomieszanie zmysłów. Staruszka ta siedziała na przyźbie pół rozwalonej chaty i rozmawiała ze sobą głośno. Za ledwie mogliśmy z jej bezładnych odpowiedzi wywnioskować, że mieszkańcy parę dni temu strzelali do ułanów, teraz zaś uciekli, sądzili bowiem, że wioska będzie spalona. Pewnej nocy zapukaliśmy do chaty, w której okienku błyszczało światło. Przez długi czas nie chciano nam otworzyć, a wreszcie otworzył nam człowiek z twarzą tak podobną do głowy wilka, iż myśleliśmy, że to sam wilk przyjmuje nas w gościnę. Marx utrzymywał, że to jest obdzieracz trupów i nie radził nocować, bo, jak mówił, w nocy można dostać nożem pod żebro, ale, że byliśmy pomęczeni, więc postanowiliśmy pozostać. Wkrótce jednak nadeszło jeszcze czterech podobnych rzezimieszków i wszyscy poczęli nam się przypatrywać z podeńbą, spoglądając przytem z poządlivością na nasze podrózne przybory. Marx został przy

koniach na dworze, Mirza zaś, niewiele myśląc, wziął za gardło naszego wilka, przycisnął go do ściany i, przyłożywszy mu pistolet do paszczy, rzekł:

— Pomorek na ciebie, piekielne bydle! Wypędź tych urwisów za drzwi, bo i im i tobie we łby postrzelam, jeżeli zaś w nocy coś zginie, będziesz wisiał.

Rzezimieszkowie mruknęli ponuro, jeden z nich oświadczył nawet, że jest z merostwa i hardo pytał nas o paszporty, w odpowiedzi na co, Selim pochwycił szpicrutę i począł okładać ich niemiłosiernie, szczególnie nie szczędząc pleców urzędnika z merostwa. Noc przeszła nam spokojnie, nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę.

Ale droga ta coraz była trudniejsza; wjechaliśmy teraz w kraj, prawie wyłącznie zajęty przez Niemców, między którymi kręciły się rzadkie oddziały wolnych strzelców, szczwane i pędzone wszędzie, jak dzikie zwierzęta. Wioski i miasta jednak mniej tu były zniszczone, niż na szlakach, na których spotykały się i walczyły dwie armie. Ludność nie narażała się

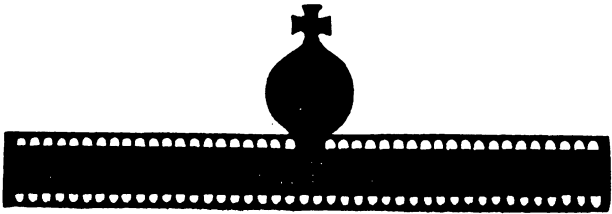
niemcom i znosiła ich przewagę, ale też prawie niepodobieństwem było otrzymać jakąś pomoc i wskazówki. Postanowiliśmy koniecznie dostać się do La Roche-noira, jakkolwiek zadanie to przechodziło prawie siły ludzkie, ponieważ z jednej strony nikt nie wiedział, gdzie się La Roche-noire podziewa, a codziennie koczował gdzieindziej; z drugiej strony, trzeba się było do niego dostawać prawie przez paszczę pruską ze wszystkich oddziałów bowiem, żaden nie był pilnie strzeżony i starannie otaczany.

Mogę też powiedzieć, że wówczas już we trzech, z Marxem i Mirzą, rozpoczęliśmy prawdziwą wojnę na własną rękę. Posuwaliśmy się naprzód tylko nocami, kierowaliśmy się zaś według wieści o zabranych konwojach, rozbitych podjazdach, pochwyconych patrolach i tym podobnie. Ale też teraz byliśmy dobrani, jakbyśmy się w korcu maku szukali.

— Ach! cóż za wyborny był chłopiec ten Marx ze swoją alzacką flegmą, komiczną, zepsutą francuzczyzną i obojętnością na wszystko, co się koło niego działo.

Chwilami zdawało mi się nawet, że odwaga jego płynie z nadmiaru przytępionej wrażliwości i z niezrozumienia niebezpieczeństwa. Ale był tego inny powód. Oto Marx nienawidził Niemców ze wszystkich sił duszy, a w temperamentach flegmatycznych nienawiści podobne szczególnie bywają zaciekle. Posiadał jednak roztropność wyższą i więcej zimnej krwi, niż my obaj.





III.

Małą tylko część drogi przebyliśmy kolejami, wogóle bowiem drogi żelazne w okolicach, zajętych przez francuzów, były zrujnowane, a wobec powszechnego pogromu i nieładu mało troszczono się o ich naprawę. Utrudniało to ruchy wojsk, ale wówczas wszystko składało się na klęskę Francyi.

Departament Wyższej Saony, w którym krążył La Rochemore, zajęty był przez niemców, dlatego, dostawszy się w jego granicę, znowu odbywaliśmy podróż lasami i prawie wyłącznie wśród nocy. Dni spędzaliśmy w chmielnikach lub winnicach, śpiąc, czyniąc zwiady i ob-

myślając najbliższe do La Rocheñoira drogi.

Na parę dni przed przybyciem do niego dotarliśmy do wioski, zwanej La Mare; nie było to po drodze, ale Selim twierdził, że musi się widzieć z mieszkającym tam od niejakiego czasu panem La Grange, którego znał jeszcze z Paryża.

Zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie, było bowiem prawdopodobnem, że w wiosce znajdują się patrole bawarskie lub pruskie. Robiło się już ciemno, słońce zaszło i tylko w powietrzu świeciły rozproszone resztki światła zorzy. Okna w domach wiejskich poczynały także tu i owdzie się rozświecać. Na pozór wszystko było spokojnie. Czołgaliśmy się chmielnikiem jak węże, psy jednakże zwietrzyły nas i zaczęły ujadać. Naraz ujrzeliśmy ciemne sylwetki kilku postaci ludzkich, stojących koło płotu i wiodących półgłówną rozmowę.

Przysiedliśmy natychmiast w chmielniku. Tymczasem głosy umilkły, a jedna z czarnych postaci, przechyliwszy się przez płot, pilnie patrzyła w gąszcze. Potem

z ciemności doszła nas znów francuska rozmowa.

— Czego tam patrzycie, kumie Grousbert?

— Psy szczekają; a ot tam się coś porusza.

— E, nie! Księżyc wschodzi, to psy zwyczajnie niespokojne.

Inny głos dodał:

— A może to dusze umarłych? Mówią, że psy czują dusze ludzkie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Poczem doleciały nas westchnienia.

Mirza szepnął do mnie:

— Patrole tu muszą być.

Na drodze znowu poczęła się rozmowa, ale jeszcze cichsza i jakby tajemnicza.

— Wilki także się włóczą. Wojna mnoży wilki razem ze wszystkim złem.

— Hej, taka dziś była zorza czerwona! Musieli się znowu gdzieś bić.

— Mer mówił, że znowu przyjdą do nas prusaki.

— Niech nas święty Hubert od nich strzeże.

Selim wówczas podniósł się z kryjówki i zawołał:

— Hop, hop, ludzie! którą drogą do pana La Grange?

— O, o! — zawołały wystraszone głosy. — A wyście co za jedni?

— Do dziś żołnierze, jutro co Bóg zdarzy! Pokażcie drogę i nie pytajcie.

Jeden z wieśniaków rzekł:

— Ja was zaprowadzę.

Poszliśmy szeroką wioskową aleją. Ciemno w niej było tak, żeśmy nie mogli widzieć jeden drugiego. Po kilkuset krokach zwróciliśmy nagle na prawo. Przed oczyma naszymi ukazał się w dali niewielki kościół, otoczony białym, niskim murem, a bliżej ogromna masa drzew, wśród której połyskiwały oświecone okna. Wieśniak rzekł:

— Tam kościół Św. Huberta, a tu mieszka La Grange.

Znaleźliśmy się wśród parku zarosłego tak gęsto, że gałęzie przesłaniały aleje i ścieżki. Park ten wydawał się całkiem zapuszczony. Piękny dom w kształcie szaletu szwajcarskiego stał w środku, ale

tak był pokryty dzikiem winem, czy inną jakąś pnącą się rośliną, że oświecone jego okna spoglądały, jak oczy z pod maski.

Drzwi od przedsionka były otwarte, weszliśmy więc, nie widząc, ani pytając nikogo. W przedsionku nie było światła, ale księżyc stał w szybach i świecił tak jasno, żeśmy mogli odróżnić wszystko: stół w środku, pod ścianami szafy, a na nich bukiety z zeschniętych kłosów.

Marx zastukał karabinem w podłogę. Wówczas usłyszeliśmy kroki; drzwi przyległego pokoju otworzyły się, jakaś postać kobieca — zapewne służącej — pokazała się w nich i jeszcze prędzej znikła, jak-gdyby wystraszona. Marx stukał coraz mocniej.

Po chwili ukazała się też sama postać z lampą w ręku, a za nią staruszek z białymi jak mleko włosami. Zbliżywszy się, zasłonił ręką oczy i spytał powolnym, łagodnym, ale bardzo podniesionym głosem:

— Czegóż robicie tyle hałasu, moi przyjaciele?

Potem osłonił ręką ucho i spytał:

— A?

Jeżeli i robiliśmy hałas, biedny staruszek nie słyszał go z pewnością, widocznie był przygłuchy.

— Przypominam się panu! — zawołał, pochyliwszy się do jego ucha Mirza.

Starzec spojrział na niego, zebrał się z pamięcią, pomyślał, nakoniec rzekł:

— A to wy, hrabio?

Potem rzekł do siebie, ale zupełnie głośno:

— Co on robi w tych stronach?

— Zaciągam się do wojska — odparł Mirza.

— A witam, witam uprzejmie. Co?

Selim przedstawił mnie i Marxa, poczem starzec zaprosił nas dalej, ale musieliśmy się przebrać, bo wyglądaliśmy jak dziady. Służąca wskazała nam osobny pokój.

Podczas przebierania się Mirza rzekł:

— Zestarzał się jak grzyb i zdziecinniał.

— Co ty możesz mieć do niego za interes? On sam o sobie już nic nie wie!

— Pomówimy o wszystkim dziś w nocy.

Poczem zeszliśmy na dół.

Starzec już czekał na nas koło zastawionego stołu, na którym położono świeże nakrycia, a po chwili jeszcze weszła młoda, piękna panna, wysoka, z przepysznaną talią i czarnemi włosami. La Grange przedstawił ją, jako swoją wnuczkę.

Ukłoniłem się dość obojętnie w milczeniu; nagle spostrzegłem coś, co zdziwiło mnie do wysokiego stopnia.

Oto panna La Grange, ujrawszy Mirzę, zbladła jak płótno, a on nie mniej był wzruszony.

— Widzę, że miał powody tu przybyć — pomyślałem.

Siedliśmy do wieczerzy i wieczerzaliśmy w milczeniu. W tych czasach wojny ludzie nie ronili słów napróżno, a każdy mówił przyciszonym głosem, jakby w obawie i oczekiwaniu.

Zresztą, było coś między Selimem i panną La Grange. Ona unikała jego wzroku, ale spoglądała na niego jakoś dziwnie, gdy na nią nie patrzył. On na-

próżno starał się zawiązać rozmowę. Milczenie owo stawało się wreszcie przykrem, aż w końcu wieczery dopiero starzec spojrział nagle w sufit i odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć.

-- Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, tak to czwartek.

Po wieczery Mirza wziął go pod rękę i poszedł z nim rozmawiać do drugiego pokoju. Zdaje mi się, że prosił go o przewodnika, ale zresztą rozmowy tej, lubo bardzo głośnej, nie mogłem posłyszeć; siadłem bowiem koło panny La Grange i starałem się ją bawić.

W każdym innym razie poszłoby mi to z łatwością. Panna była bardzo ładna, sympatyczna, miała czarne, rozumne oczy i śliczne ręce o palcach zwężonych na końcu, któremi jakby przez kokieteryę poprawiała od czasu do czasu włosy. Tym razem jednak rozmowa nie szła. Ja byłem zmęczony, a panna La Grange roz-targniona.

Spytałem ją wreszcie, jak dawno zna Mirzę.

Wówczas ożywiła się, ale zamiast odpowiedzieć, ona z kolei zaczęła wypytywać mnie, dlaczego przybyliśmy w te strony? Odrzekłem, że mi wszystko jedno, gdzie się bić, ale Mirza uparł się, żeby to było w tym departamencie. Zaciekawienie i gorączkowa jej niespokojność rosły. Może starałbym się ją wybać, ale upadałem ze znużenia, Marx usnął w fotelu i chrapał, myślałem więcej o śnie niż o wszystkich pannach.

Tymczasem Mirza ze starcem ukazali się z drugiego pokoju. Staruszek teraz siadł przy mnie i chwyciwszy mnie za kolano, począł pleść trzy po trzy, robiąc przytem o wiele naprzód wszystkie giesty, które miały służyć jako ilustracya jego słów. Przez ten czas Mirza zbliżył się do panny La Grange. Usłyszałem, że zamieniali ze sobą szybkie słowa, przy czem Mirza zdawał się błagać o coś natarczywie. Usłyszałem tylko jeden frazes: „wszystko wyjaśnię!” ale w tej chwili znowu staruszek zrobił parę giestów naprzód, potem rzekł:

— Będziecie spali w drugim domu...
Tylko otworzyć tylne drzwi i zaraz
chmielnik... aż do lasu.

Potem otoczył dłonią ucho i spytał:

— A?

Nakoniec poszliśmy spać. Drugi ten dom leżał w głębi parku, o kilkadziesiąt kroków od szaletu. Widocznie nikt w nim nie mieszkał, gdyżśmy bowiem weszli do środka, uderzył mnie zapach pustki i chmielu, który się suszył na górze. Ale jedna izba była ogarnięta, na podłodze zaś jej leżały trzy materace, zasłane poduszkami i bielizną. Tak wygodnego posłania nie widziałem już dawno, dlatego rzuciłem się na nie natychmiast, nie pomysławszy o rozebraniu się. Selim i Marx położyli się także nierozebrani, wszyscy zaś mieliśmy karabiny pod ręką od wypadku.

Mirza rzekł:

— Słuchaj! nadeszła chwila, w której muszę ci wyznać i wyjaśnić wszystko...

Tyle też tylko słyszałem z tych wyjaśnień, bo natychmiast usnąłem jak suseł, i mogę powiedzieć, że spałem ze wszyst-

kich sił, nie więcej jednak, jak parę godzin.

Koło drugiej rozbudziłem się nagle.

Z początku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem, po chwili jednak strząsnąłem z głowy zdrętviałość i spojrziałem w okna, naprzeciw których leżały nasze posłania.

Słaby różowy odblask, jakby zorzy, świecił przez szyby.

Ale nie była to zorza, była to łuna dalekiego pożaru.

— Pali się — pomyślałem, nie myśląc zresztą wstawać z ogrzanego posłania. Muszą się bić w tamtej stronie.

Tak też i było.

Wkrótce uszu moich doszedł daleki, daleki odgłos strzałów rotowych.

Strzały te odległe, przytłumione, a szybkie i prawidłowe, jak muzyczna gama, to ustawały chwilami, to odzywały się z nową energią.

W przestankach słyszałem chrapanie Marxa.

Po niejakiem czasie zdawało mi się, że strzały się zbliżają, przytem jeden i drugi

wystrzał armatni wstrząsnął szybami, które zadźwięczały żałośnie. Nie chciało mi się jeszcze wstawać, ale, na wszelki wypadek, postanowiłem rozbudzić Mirzę.

— Selim! — zawołałem.

Selim nie odpowiadał.

— Selim! — powtórzyłem głośniej.

W odpowiedzi zachrapał tylko Marx.

Tymczasem łuna stała się jaśniejszą. Przy jej czerwonym blasku spojrzałem na posłanie Selima: było puste.

Sądziłem, że wyszedł posłuchać, jak idzie bitwa i, wzięwszy karabin, wyszedłem także do ogrodu.

Księżyc świecił jasno. Promienie jego, zmieszane z odblaskami łuny, zalewały ogród jakimś tajemniczym pół-białym, pół-czerwonym światłem. Liście na drzewach szemrały cicho, mieniając się srebrem i miedzią; długie czarne cienie kładły się na ziemię. Ale w ogrodzie było spokojnie. Okna szaletu pozostały ciemne. Znać, tu już ludzie przywykli do odgłosów bitew i łun pożarów.

Wszystko to było jakieś tajemnicze i uroczyste. Z jednej strony melancholia

i spokój uspiętego ogrodu, a tam blaski krwawe, w dali bitwa, pożar i wrzawa, podobna do szumu morza.

Byłem tak przyzwyczajony do ciągłego czajenia się od czasu wyjazdu z Paryża, że i teraz mimowoli szedłem, jakbym się zbliżał pod pruską placówkę.

Nagle ujrzałem Mirzę i stanąłem, jak wryty.

Na ławce, w cieniu krzewów, siedziała panna La Grange, a przed nią klęczał Mirza i pokrywał pocałunkami jej ręce.

Świeciły im księżyc i luna.

— Jedyne moja, jedyna moja! — szeptał namiętnie Mirza.

— Czy mi przebaczasz? — dodał po chwili.

Szmer jego słów i pocałunków zagłuszały coraz bliższe strzały rotowe.

Usłyszałem jednak jeszcze oderwany frazes.

— Umyślnie tu przybyłem...

W ogrodzie stawało się coraz czerwonej. Światło księżycy bladło i mdało, ale kochankowie zdawali się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Pomyślałem jednak, że bitwa może zawadzić o La Mare i że bezpieczeństwo wymaga, abyśmy się mieli na baczności. Cofnąłem się więc za gęstwiny i począłem gwizdać zcicha umówiony między nami sygnał.

Był to sygnał znany nam oddawna. Nuta jego znaczy nawoływanie: „dzieci zbierajcie się etc.!”

Jakoż natychmiast zaszeleściały liście, a po chwili ukazał się Mirza ze świecącymi oczyma i rumieńcami na twarzy, drżący ze wzruszenia.

— Co tam? — spytał.

— Biją się.

— To daleko. Nie nadużywaj sygnału, bo mnie wprowadzasz w błąd. Sygnał znaczy: niebezpieczeństwo tuż.

— Czym ci w czem przeszkodził?

Mirza zatrzymał się nagle.

— Ty widziałeś wszystko?

— Tak.

Umilkł, a po chwili porwał mnie za ramiona.

— To dobrze! — rzekł. — Chodźmy do

kwatery, mam z tobą pomówić o wielu rzeczach! Nie zaśniesz przecie teraz?

— Nie zasnę.

Wróciliśmy. Ja położyłem się znowu na materacu, Mirza zaś siadł na swoim i zaczął mówić:

— Może pomyślisz sobie, że postąpiłem jak egoista, ale sądziłem, że ci wszystko jedno, gdzie się masz bić. Mnie się zawsze przytem wszystko wiodło, tobie nie, dlatego myślałem także, że, wiążąc los twój z moim, wiąże cię z moim szczęściem. Ale to się może zmienić. Ja przedsięwziąłem sprawy dość niebezpieczne. Teraz ci je opowiem. Jeżeli zechcesz, to się cofniesz. Jeszcze czas. Powiedz mi jednak naprzód, czy bezwarunkowo byś poszedł na wojnę?

— Tak.

— To dobrze, zatem nie ja cię pociągnąłem?

— Nie ty.

— Teraz słuchaj. W Paryżu, jeszcze przed wojną, poznałem Lidyę La Grange, i zakochałem się w niej. Ona była mi wza-

jemną. Ale potem zerwało się wszystko, i wiesz, kto był tego powodem?

— Nie wiem.

— La Rochenoire.

— La Rochenoire?

— Tak. Szczegółów nie mam czasu ci opowiadać. La Rochenoire zakochał się w niej także, ale był powszechnie nielubiony, goły przy swoim tytule i zawsze miał złą opinię, wziąłem więc nad nim górę z łatwością. Wówczas wyzwiał mnie. Strzelaliśmy się na pistolety. Trzy razy brałem na cel jego czerep i trzy razy darowałem mu życie. On nie umie strzelać. Mogłem go zabić i głupstwo zrobiłem, że nie zabił, bo on potem nie przestał się mścić. Ja, widzisz, kochałem się zawsze na wszystkie strony i nieraz, zawiązawszy nowe stosunki, nie umiałem zerwać dawnych. Tak było wtedy. Na rok przed poznaniem Lidyi, poznałem w Jockey-klubie młodego porucznika marynarki, nazwiskiem Marillac, który odrazu dziwną powziął ku mnie sympatyę. Był to dzielny, młody chłopak, odważny, honorowy, słowem — prawdziwy rycerz, ja-

kich mało. Po kilku tygodniach wprowadził mnie do siebie i ofiarował swą przyjaźń, a ja — niech mi Bóg przebaczy! — począłem bałamucić jego młodą i śliczną żonę. U nas uważa się to za zbrodnię, ale w Paryżu to rzecz zwyczajna. Byłem nielepszy, niż moje otoczenie. Swoją drogą, ciążyło mi to strasznie. Męża często nie bywało w domu, ale, gdy przyjechał, musiałem udawać dla niego przyjaźń, co było nad moje siły, bo brzydziłem się sam sobą. Poznawszy Lidyę, chciałem zerwać z przeszłością, nie dlatego, żeby uczucie dla Lidy było poważne, bo stało się takim dopiero później, ale dlatego, że nie umiem być obłudnikiem. Sądziłem, że zerwanie łatwo pójdzie. Omyliłem się. Pani Marillac wiedziała o nowej mojej miłości dla Lidy i, wiedzona zazdrością i zemstą, porozumiała się z La Roche-noirem. On nie umie nic przebaczać, i nie cofał się nigdy przed niczem, dlatego chwycił się pierwszej sposobności, żeby zerwać moje stosunki z Lidyą i zarazem zemścić się nade mną. Opowiedział, że kochani tamtą. Nie chciała wierzyć, trzeba

jej było dowodów. Wówczas odebrałem list od Marillacowej, wzywający mnie na ostatnią niby schadzkę. Odpisałem: „nie pójdę”. Wtedy odebrałem drugi list, w którym były tylko te słowa: „Wiesz, że mąż mój przyjechał i boisz się go!” Tego było dosyć. Poszedłem. Była to zasadzka. La Rochenoire miał sprowadzić Lidyę i pokazać jej naocznie moje wiarołomstwo. Ale nie wystarczało mu to jeszcze. Nikczemnik, przez zemstę nade mną, nie wahał się poświęcić i swojej współpracownicy, dał więc znać o schadzce, nie tylko Lidy, ale i Marillacowi. Spodziewał się, że Marillac mnie wyzwie i zabije, był to bowiem najslawniejszy fechtmistrz we Francji, z którym nikt nie chciał przyjmować pojedynków. Katastrofa nastąpiła. Musiałeś o niej słyszeć, bo cały Paryż nie mówił o niczem innym. Postanowiłem dać się zabić Marillacowi, ale gdym zobaczył krew, rozbudziła się we mnie moja nieszczęsna natura i wbiłem mu szpadę w piersi po samą rękojęść. Jeszcze dziś słyszę, jak ostrze jej zgrzytnęło o jego kość pancerzową.

Mirza wzdrygnął się. Twarz jego była blada, oczy zgorączkowane, w rysach malowała się boleść, ale zarazem i głucha, złowroga zaciętość.

Zakrył twarz rękoma i umilkł. Przez chwilę słyszałem wystrzały zbliżającej się bitwy.

— Mów dalej, bo nie będzie czasu — rzekłem.

— Co potem nastąpiło — mówił — łatwo zrozumieć. Lidya pokazała mi drzwi, wtedy zacząłem kochać ją naprawdę. Byłbym się strasznie pomścił na La Rochenoirze, ale nie wiedziałem, jaką odegrał rolę. Zresztą, natychmiast po katastrofie, odebrał rozkaz udania się do Marsylii, bo on także był wówczas porucznikiem marynarki. Przed wyjazdem oświadczył się Lidyi, która w chwili rozpaczy i zwątpienia przyjęła go. Ja zacząłem prowadzić życie szalone, traciłem mnóstwo pieniędzy. Byłem wodzem Jockeyklubu. Oni mieli mnie za bohatera, ja sam siebie za nikczemnika. Cierpiałem strasznie. Kochałem przytem coraz więcej Lidyę i to czyniło mnie jeszcze nieszczęśliwszym.

— Jak się dowiedziałeś o La Rochenoirze?

— Prowadząc życie szalone, spotkałem tamtą kobietę. Spadła bardzo nisko, ale ja starałem się ją podnieść. Nie było zresztą już czasu na to, bo chorowała na suchoty. Jakoż umarła wkrótce, ale przed śmiercią wyznała mi wszystko. Przysiągłem wtedy, że pomszczę się na La Rochenoirze. I niech mi tak Bóg dopomoże, jak byłbym to natychmiast uczynił, gdyby nie to, że zaraz potem wybuchła wojna.

— Zdawało mi się — mówił dalej — że La Rochenoire przepadł w jej odmęcie i modliłem się do chrześcijańskiego Boga i do mego głupiego Mahometa, aby go ocalił i zachował dla mnie. Wkrótce też jego nazwisko wypłynęło z odmętu, otoczone tą złowrogą sławą, która uczyniła go jednym z najgłośniejszych partyzantów. Wówczas pomyślałem: nadszedł czas!

— Co myślisz uczynić?

Mirza drżącemi rękoma oderwał podszewkę swego żołnierskiego kepi i, wyjąw-

szy z pod niej jakiś papier, podał mi go, mówiąc:

— Czytaj.

Przy blasku coraz rosnącej łuny począłem czytać i zdawało mi się, że śpię, a to wszystko, co widzę, to tylko sen dziwny, który zniknie nad ranem.

Karta, którą trzymałem w ręku, była to ni mniej, ni więcej, jak tylko nominacya Selima Mirzy na dowódcę oddziału, La Rochenoira, oraz rozkaz oddania pod sąd wojenny tegoż La Rochenoira i postąpienia z nim podług wyroku.

W milczeniu oddałem papier Mirzie.

On tymczasem zbliżył się do mnie. Na twarzy jego znowu pojawił się ów ostry wyraz, nadający rysom jakiś odcień czysto wschodniego okrucieństwa.

— Przysięgam na tę noc, na ten pożar, na tych, co tam konają teraz, że każę go rozstrzelać bez litości.

Potem otworzył nagle okno. Widać, potrzebował odetchnąć świeżem powietrzem.

Ale ja nie rozumiałem, co znaczy ta nominacya, więc rzekłem:

— Wytłumacz mi to.

Chwilę jeszcze chodził w milczeniu.

— Dziwi cię nominacya i rozkaz oddania pod sąd dowódcy, który bez wytchnienia bije Niemców? — rzekł wreszcie. — Ale ma to swoje powody. Temu człowiekowi zdaje się, że teraz, gdy stoi na czele oddziału, niema już nikogo nad nim. Jest arystokratą. Żołnierze jego w boju krzyczą, jakby za Ludwika XIV, „*vive le roi!*” On służy nie Rzeczypospolitej, ale Henrykowi V-mu. Przytem pan margrabia postępuje z ludźmi trochę zbyt bez ceremonii. W wiosce Branche Verte kazał rozstrzelać mera, w Agneaux kazał powiesić dwóch wieśniaków, wioskę Maric kazał spalić dlatego, że mu odmówiła żywności. Gdy Chauzy przysłał kuryera z rozkazem, kazał kuryera oćwiczyć i odpowiedział Chauzemu grubiaństwem. Za to jedno już śmierć. On chce być panem na czele swojego oddziału. Prowadzi wojnę na własną rękę, a to nie uchodzi. Och! dyktator miał aż nadto dosyć powodów. Zaocznie

złożono go z dowództwa; gdy jednak zawakowało, nikt się go nie chciał podjąć, dopóki ja nie dowiedziałem się o tem.

Dowiedziawszy się, przedstawiłem swoje kwalifikacye, a ponieważ dzisiejszy dyktator znał je, zarówno jak i mnie, jeszcze z Jockey-klubu, zatem zostałem mianowany z łatwością. Ostrzeżono mnie tylko, że La Rochenoire, nie mając wiele do stracenia, a mając po sobie żołnierzy, każe z pewnością rozstrzelać tego, kto przyjdzie z nominacją.

— Jakto? czy rząd nie ma siły go zrzucić?

— Rząd siłę ma; mógłby go otoczyć wojskiem i zgnieść. Ale dyktatorowi chodzi o to, coby powiedział kraj. Imię La Rochenoira zyskało popularność stoczył on już ze czterdzieści potyczek, prawie zawsze zwyciężkich. Kazano mi więc działać powolnie, co mi się zresztą nie podoba. Póty szczerdzić będę La Rochenoira, póki ma za sobą żołnierzy, ale on już i żołnierzom ciąży niezmiernie. On i dla nich również okrutny. Nominacyi nie mam pokazywać natychmiast, dopiero

po zjednaniu sobie żołnierzy. Gdyby jednak La Rochenoire wydał rozkaz, aby mnie rozstrzelać natychmiast, wówczas palnę mu w łeb i pokażę nominację. Ale wątpię, czy do tego przyjdzie. La Rochenoire wie, że byłem w dobrych stosunkach z dzisiejszym dyktatorem. Rozstrzelać mnie, znaczyłoby spalić za sobą mosty zupełnie, a tego on sobie nie może życzyć. Zresztą, zobaczymy. Prawdopodobnie, nie przyjdzie do ostateczności. Rząd sobie jej nie życzy. La Rochenoire nie wie o niczem. Tak rzeczy stoją. Teraz ty powiedz swoje zdanie.

— Moje zdanie jest, że lepiejbyś zrobił, gdybyś mi odrazu wszystko wyznał.

— Żłem zrobił, ale bałem się, że mnie będziesz odmawiał od przedsięwzięcia.

— I dlatego wciągnąłeś mnie w nie?

— Masz się czas cofnąć. Mówiłeś, że wszystko jedno, gdzie się bić. Niedaleko krąży oddział Corbeau. Możesz się tam zaciągnąć. Wyrobiłem na wszelki wypadek dla ciebie nominację.

— Słuchaj! — rzekłem wówczas żywo. — Chcesz się mścić, to się mścij, ale

mi się droga twoja nie podoba. Rozumiabym, gdybyś przyjechał i poprostu palnął w łeb La Rochenoirowi, ale ty chcesz i musisz zyskać pierwej jego zaufanie, a potem zdradzić je.

— Nie ja tę drogę wybrałem. Takie są instrukcje, których muszę słuchać, a podjąłem się je wykonać dlatego, że zabić go poprostu, to mało dla mnie. Ja go muszę wprzód strasznie upokorzyć. Mniejsza o to, czy to pięknie, czy nie. Ja jestem tatar. Ja chcę zemsty.

I istotnie podobny był w tej chwili do tatara.

— Pomyśleć, co on mi zrobił! pomyśleć, że Lidya jest jego narzeczoną!...

I począł wyłamywać ręce, aż stawy palców trzeszczały głośno.

Po chwili rzekł:

— A zatem idziesz ze mną, czy nie?

— Idę. Jeżeli rzecz zaraz się rozstrzygnie, gotów jestem ci pomagać, ale, jeśli powoli, nie chcę się wdawać w grę.

— Bo i nie potrzebujesz. Zatem dobrze. Dziękuję ci.

Uścisnął moją rękę.

— W każdym razie—mówił—nie pójdziemy razem do obozu, aby nie ściągnąć podejrzeń. Ja muszę tam być pierwiej. Następnie, przyjdziecie ty i Marx. Będziemy udawali, że się nie znamy. To was na wszelki wypadek zasłoni przed jego zemstą.

Nie chciałem się zgodzić na to, ale Mirza mówił, że nie godzi się nam wciągać w przedsięwzięcie Bogu ducha winnego Marxa. Uległem.

— Kiedyż pójdziesz? — pytałem.

— Jak tylko rozednieje. Wy zostańcie tutaj przez parę dni.

Potem uchwycił znów moją rękę.

— Bądź dobry dla Lidy. Ja ją kocham, bardzo kocham. Współczuj mi chociaż w tem. Ona zasługuje na twoją przyjaźń... więcej, niż ja. Wycierpiała dużo, bo nigdy nie przestawała mnie kochać. Teraz wyjaśniło się wszystko.

I objąwszy mnie za szyję, położył głowę na moich piersiach. Potem podniósł się nagle i rzekł:

— Idę.

— Dokąd?

Tom IV.

6

— Powiedzieć jej ostatnie: „bądź zdrowa!” Biedactwo czeka jeszcze na mnie.

Wziął karabin i wyszedł. Zostałem sam ze śpiącym Marxem. Odgłosy bitwy nie cichły, przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze. Luna tylko bladła, bo rozpoczynał się brzask nocny. Szyby zbielewały. Czarne kontury gałązek za oknem stawały się coraz widoczniejsze. Oparłem się na dłoni i zacząłem rozmyślać. Nie rozmyślałem o tem, co się stało. W naturze mojej leżała pewna obojętność, która kazała mi przyjmować fakta spełnione, jako konieczność, jako turecki „kiszmet”, z marmurową obojętnością. Była to pewna bierność, która jednak często służyła mi w ówczesnej epoce, jako zasada — pocieszycielka. Życie nie wydawało mi się warte jednego sous. Byłem w epoce sceptycyzmu życiowego; zadługo żyłem tylko wewnątrz, dlatego wyczerpałem się do dna. Dlatego także szukałem wtedy takich wrażeń, od których biła woń prochu, jaskrawych, niebezpiecznych, bo odrywały mnie one od spoglądania w próżnię i od obwijania wątką nici naokoło

nicości. Rozmyślałem więc tylko o Mirzie, o tem bogactwie wiary w życie i samego siebie, o życiu, jakie kipiało w nim i wylewało się nazewnątrz. Bił się, kochał, mścił i do głębi duszy był przekonany, że to wszystko warte zachodu. Na duszę jego nie padał ani cień zwątpienia. Nie było w nim jednej kropli krwi Hamleta. Takich ludzi zwą ludźmi czynu. Biło od niego jakieś ciepło życiowe, przy którem i ja odgrzewałem zdętwiałą duszę.

Oto i w tej chwili żegnał się tam ze śliczną panną i w pocałunkach zapomniał o świecie całym. Ja na jego miejscu czułbym, niestety, że całuję usta, które, prędzej lub później, muszą być umarłemi.

Dniało coraz bardziej. Noc pierzchła. W La Mare poczęły pisać koguty, a jeden podawał głos drugiemu. Podszedłem do otwartego okna, aby spojrzeć na widnokrąg i nagle ujrzałem mdły krążek światła latarki, zbliżający się z cieniów, do uszu moich zaś doszło pośpieszne klekotanie drewnianych trzewików, jakich we Francyi używają wieśniacy.

Po chwili mały chłopak z kudłatą czupryną, bez czapki, dobiegł aż do naszej kwatery, podniósł latarkę i, ujrawszy mnie stojącego w oknie, zawołał zdyszczanym głosem:

— Nie śpicie?

— Co tam?

— Prusacy wchodzą do wioski.

— Zgaś latarkę i zmykaj — rzekłem cicho.

Rozbudziłem Marxa, potem wyszedłem przed sień i zagwizdałem znowu:

Dzieci zbierajcie się etc.

Mirza pojawił się natychmiast.

— Hop! hop! — zawołał.

— Niemcy w La Mare!

Weszliśmy prosto w chmielnik, który ciągnął się aż do lasu. Nie potrzebowaliśmy zresztą odchodzić zbyt daleko, niemcy bowiem nie mogli nic o nas wiedzieć, usiedliśmy więc spokojnie wśród liści i poczęliśmy się wsłuchiwać w odgłosy z La Mare. Bitwa już ustała; luna zgasła. Z początku w La Mare cicho było i spokojnie, ale potem do uszu naszych doszła daleka, potem coraz bliższa wrza-

wa. Wkrótce mogliśmy odróżnić tentent i rżenie koni, dźwięki mosiężnych trąb, warczenie bębnow. Zagrzmiały wreszcie i pieśni bojowe. Jazda zaśpiewała „Wacht am Rhein!” a głosy niosły się daleko wśród ciszy po rosie. Biło od nich jakąś niewypowiedzianą siłą i dzielnością; czuleś, że to są odgłosy tryumfu, że pułki Cymbrów znojne, pokryte jeszcze kurzem bojowym i krwią, upojone radością, święcą tą pieśnią nowe zwycięstwo.

A tymczasem pierwsze różowe promienie jutrzeńki musiały padać, jak aureola, na ich wysokie sztandary. Słuchaliśmy w milczeniu. Flegmatyczny Marx pobladał ze złości i szeptał przez zaciśnięte zęby swoim łamanym językiem: „*c'est bien! nous ferrons!*” Mirza oddał się także całkowicie chwili. Zapomniał wówczas zapewne ten szczęśliwiec o wszystkim i żył za dwóch jednym wrażeniem, w każdym razie więcej wartem, niż hamletowa refleksya.

Był to jednak widocznie tylko przemarsz wojsk, bo stopniowo wrzawa, tentent i pieśń oddalały się coraz bardziej, cichły, cichły, mieszały się ze szmerem liści

chmielowych, przechodziły jak gomon, a potem już tylko silniejszy powiew wiatru zawiewał jeszcze pieśnią.

Wreszcie ucichło wszystko.

— Przeszli — szepnął Selim.

— Przeszli.

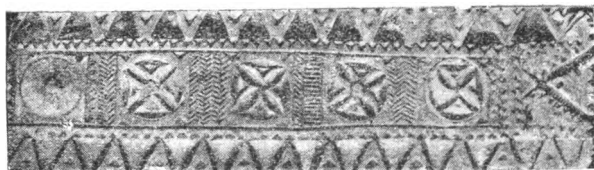
— Trzeba i mnie iść. Wy wracajcie do La Mare.

Żegnaliśmy się długo i serdecznie. Następnie Mirza otarł łzę, zarzucił na ramię karabin, przekręcił na bok kepi i odszedł zwolna, nucąc:

Tyś szyla chorągiewki!

Potem odwrócił się jeszcze i zasyłał nam znaki pożegnania. W milczeniu wróciliśmy z Marxem do La Mare.





IV.

We trzy dni później, wieczorem, zbliżaliśmy się do obozu. Serce biło mi jak młotem, nie wiedziałem bowiem, czy jeszcze zastanę Mirzę przy życiu. Przez drogę nauczyłem Marxa, jak ma się zachować, i powiedziałem mu, co było można. Dzielny ten chłopak, który przywiązał się do Selima, jak brat, pierwszy oświadczył, że jeśli Selim już nie żyje, to on strzeli w łeb La Rochenoirowi, jak psu.

Do obozu prowadził nas chłop, który był szpiegiem La Rochenoira, a jednocześnie udawał, że jest szpiegiem pruskim, za co od prusaków brał pieniądze. Zwał się Hugon.

Dla pozbycia się dręczącej mnie nie-
spokojności zacząłem z nim rozmawiać.

— Musicie mieć piękne zyski? — spy-
tałem.

Hugon zwrócił do mnie swoją zwierzę-
cą twarz i uśmiechnął się, co czyniło go
podobnym do psa, wyszczerzającego zęby.

— Zapłata licha — rzekł — ale Pan
Bóg ześle czasem coś więcej. Spojrzysz —
leży trupek, poszukasz — talary przy nim
są, zegarek jest, pierścionczek na palcu
jest. Inaczej, z głodu przyszłoby umierać.

— A! więc obdzieracie trupy?

— To i cóż? zmówię za każdego raz
„wieczny odpoczynek”, a jak warto, to
i dwa. Inni i tego nie robią. Pan Bóg mi-
łosierny. Ja francuzom służę darmo. Cor-
beau, niech się ziemia pod nim rozstąpi,
kazał mnie powiesić, co prawda, służyłem
wtedy tylko prusakom, ale La Rochenoire
kazał mnie odciąć. Odtąd, powiada, bę-
dziesz brał od niemców pieniądze, ale, po-
wiada, będziesz mnie służył. Toż i służę
mu wiernie, jak pies. Ja tu znam każdy
krzak. Prowadzę niemców tam, gdzie on
mi każe, a że tam czasem koło niebosz-

czyków się pokręcę, on się za to nie gniewa. On mówi mi zawsze „bydlę!” ale jemu wolno, jako panu.

Poszliśmy dalej w milczeniu. Po jakimś czasie Hugon rzekł:

— Zaraz i obóz!

Obóz leżał w gęstwinie leśnej, wśród powywracanych przez burzę drzew. Przewodnik nasz okrzyknął się głosem sowy z placówką, która nas zatrzymała aż do czasu przybycia patrolu. Patrol wprowadził nas do środka.

Gdy weszliśmy do obozu, był zachód słońca. Pod powywracanemi korzeniami drzew i pod krzakami nie było ani jednego namiotu, ale wszędzie leżały kupy słomy, którą nazwozili wieśniacy. Na uboczu stało kilkanaście wozów, zaprzężonych w zbiedzone szkapy. Między wozami siedzieli chłopci podwodnicy, posilając się na noc serem i kawałkami chleba. Żołnierze po największej części leżeli na słomie, niektórzy pozagrzebywali się w nią tak, że im było widać tylko głowy. Wyglądali wszyscy jaknajgorzej: twarze wychudzone i brudne, zaszele krwią oczy, podarte mundury,

wszystko to czyniło ich podobniejszymi do rozbójników niż do żołnierzy. Zresztą, doznaliśmy niezbyt uprzejmego przyjęcia. Gdy patrol prowadził nas przez majdan, tu i owdzie z jam i z pod korzeni wychylały się zbójckie głowy, a ochryple głosy pytały:

— Hej! a kogo to tam prowadzą?

— To franty z bulwarów.

— Sam tu, młody skowronku! — wołał na Marxa jakiś drab — ojczyzna potrzebuje cię piezonego.

— Głupis! — odparł inny, spoglądając na gołowąsą twarz mego towarzysza, to nie skowronek, to przebrana dziewczyna. Czy nie widzisz, jak palce podnosi, idąc?

— Ażeby dyabeł powykręcał twoje palce. Pomór na ciebie! Jeśli to dziewczyna, to tem lepiej. Bodajesz połknął kulę.

— To tak, miła gąsko? Kazał ci się lis kłaniać.

Marx pokazał im pięść, ja zaś szukałem oczyma naokoło Mirzy, ale nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że trzeba nam będzie wziąć się do La Rochenoira. Tym-

czasem wprowadzono nas między wielkie drzewa, z pod których dochodziły uszu naszych jakieś bolesne wrzaski. Gdy, zbliżywszy się, spojrział tam, odrazu ciężki kamień spadł mi z piersi; pierwszą bowiem osobą, na którą padł mój wzrok, był Mirza. Ubrany w oficerski mundur adjutanta, rozmawiał poufale z jakimś małym człowieczkiem o kręconych blond włosach, księżej minie i wyźółkłej twarzy, w którym domyślałem się La Rochenoira. Nieco opodal stał mąż atletycznej postawy, z twarzą pooraną przez ospę, dziwnie szpetną. Ten, na głowie, zamiast wojskowego kepi, miał brudną białą chustkę, poplamioną krwią. Był to, jak się później dowiedziałem, porucznik Simon, prawa ręka we'wszystkiem La Rochenoira.

Patrol zatrzymał się nieco opodal w milczeniu. Mirza spojrział na nas przelotnym, obojętnym wzrokiem, poczem odwrócił się, jakby nas nie znał nigdy i począł palcem otrząsać popiół z cygara. La Rochenoire i Simon także nie zwrócili na nas zrazu uwagi, zajęci bowiem byli: jeden rozmową z Mirzą, drugi przypatrywa-

niem się chłóście wieśniaków, oskarżonych, jak powiedział nam oficer patrolowy, o to, że zbici przez prusaków, wskazywali im przed tygodniem leże obozu. Biedacy ci drżeli na całym ciele, Simon zaś kazał im przypatrywać się nawzajem. Dwuch z tych nieszczęśliwych siadało na trzecim i chłostało go do krwi, potem wybity podnosił się, wypijał łyk wina i zabierał się zaraz do następnego, mówiąc:

— Wasza kolej, kumie!

Simon pilnował operacyi, machając w takt ręką i powtarzając:

— Mocniej!

La Rochenoire z Mirzą od czasu do czasu szeptali coś z sobą zcicha. Zdawali się być w jaknajlepszych stosunkach.

Nakoniec operacya się skończyła. Oficer patrolowy zameldował o naszym przybyciu La Rochenoirowi. Wówczas wzrok jego padł chwilowo na nas. Jak żyję, nie widziałem takich oczu. Siwa ich barwa prawie nie odbijała światła. Były to oczy jakby zgasłe.

— Simon, wziąć tych ludzi! — wymówił suchym, prawdziwie oficerskim głosem.

Simon wydobył obrzydliwą zatłuszczoną książkę, zapisał nasze nazwiska, potem oddał nas młodemu oficerowi, imieniem Touvenir, rzekłszy:

— Sekcyja czwarta, na miejsce Blaina i Renarda.

Touvenir wskazał nam kupę słomy, mówiąc:

— Spocznijcie.

Tak odbyła się nasza instalacya do obozu.

W kilka dni później obudziłem się w nocy trochę chory. Słoma, na której leżałem, była wilgotna; zaraz po zachodzie słońca niebo pokryło się chmurami i począł mżyć deszcz, a raczej gęsta, przejmująca mgła, która, osiadając na liściach drzew, spadała w postaci kropel na nasze posłanie. Szelest tych kropel dziwnie rozstrajał moje nerwy. Byłem zniechęcony i przybity. Zdawało mi się, że wszystko idzie jaknajgorzej. Od czasu przybycia do obozu widywałem Mirzę codziennie, ale nie zamieniłem z nim ani słowa. Nie umiałem sobie wytłumaczyć jego stosunku do La Rochenoira. Skąd taka przy-

jaźń? Selim był jego adjutantem, skądże ta nagła, a niespodziewana nominacja? Podejrzywałem w tem wszystkim jakiś podstęp; podejrzywałem, że chytrzejszy francuz igra z Mirzą, jak kot z myszą. Dręczyło mnie to. A tymczasem krople deszczu spadały i spadały, zsuwając się z liścia na liść coraz częściej. Ogarnęła mnie gorączka i jakieś niewypowiedziane rozbujanie wyobraźni. Na myśl, że zostaniemy tu, w tym obozie, wśród ciągłych zdrad i podstępów, porywała mnie rozpacz. Z jakimże utęsknieniem myślałem wówczas o armii regularnej, o tych pułkach konnych, idących w biały dzień, jak wichher do ataku. A my? my musieliśmy błędzić, jak wilki, w ciemnościach, czaić się w chaszczach, kąsać znienacka.

Obrzydło mi to życie, zanim się go dotknąłem.

Nie mogłem usnąć, ale po jakimś czasie czułem się jakby odurzony. Przez parę godzin wsłuchiwałem się bezmyślnie w szelest kropel i w głos jakiegoś ptaka czy dyabła, który na pobliskim drzewie odzywał się monotonicznie: „to-to! to-to!”

Co tam za ptak mógł tak gwarzyć wśród nocy i deszczu! Chwilami przychodziło mi na myśl, że to może jaka istota nadnaturalna, która wróży mi śmierć.

Potem zacząłem doznawać halucynacji. Mroczne przestrzenie leśne zbiegały się ze wszystkich stron i tworzyły cztery ściany pokoju. Był to niby pokój w rodzinnym moim domu. Na stole paliła się lampa, koło stołu siedział ojciec, matka i młodsze rodzeństwo. To znów te osoby niknęły, a na ich miejscu widziałem dwie nieznane mi panny, przeglądające jakąś starą kronikę z rycinami. Zachodziłem im z pleców i przypatrywałem się rycinie. Przedstawiała w średniowiecznych, niezgrabnych sztrychach bitwę pod Azincourt. Pod spodem czytałem wyraźnie gotycki napis: „Bitwa pod Azincourt”. Nagle wzdrygnąłem się bez powodu, widzenie znikło i znowu koło mnie był las, mroczne, czarne głębie, do uszu zaś dochodził szelest kropel i sapiące oddechy towarzyszków.

Wówczas powtarzałem sobie, by się bronić halucynacyom: jesteś w lesie, słu-

żysz w wojsku, dowódcą jest La Rochenoire, Mirza adjutantem, koło ciebie śpi Marx.

Potem uczułem, że się boję, sam nie wiem czego. Bałem się tak, że chciało mi się krzyczeć o ratunek.

Nagle przeraźliwy odgłos świstawki rozbudził wszystkich. Odetchnąłem głęboko.. Była to przynajmniej rzeczywistość. Żołnierze zerwali się na równe nogi i w kwadrans potem staliśmy pod bronią w szeregach. Porucznicy z obnażonymi szpadami przy swoich kompaniach zcicha, ochrypliemi głosami, podawali sobie rozkazy. Wkrótce ukazał się La Rochenoire, a za jego zbliżeniem, ów szmer, który we wszystkich, a zwłaszcza francuskich szeregach, brzmi nawet na musztrach — cichł wszędzie, jakby żołnierze ujrzeni zbliżającą się śmierć samą. La Rochenoire szedł w towarzystwie Mirzy. Obaj przesuwali się zwolna, przeglądając szeregi. Żołnierze wyciągali się jak struny, prezentując broń przed niemi. Tu i owdzie La Rochenoire rzucił jakie słówko, które podchwytywali w lot porucznicy. Po chwili rozległa się

głośna komenda, szeregi złamały się na dwoje... Połowa oddziału pod wodzą La Rochenoira i Mirzy poszła w prawo; druga połowa, a w niej ja i Marx, udała się pod rozkazami Simona wprost przed siebie. Była jeszcze noc zupełna. Czarne masy drzew, wywrócone pnie z korzeniami, sterczącymi do góry, rysowały się w fantastyczne, godne apokalipsy, kształty. Las był poprostu straszny. Szliśmy w zupełnem milczeniu i jak najciszej. Dla człowieka myślącego służba wojenna ma jeszcze tę obrzydliwą stronę, że nigdy nie wiesz, co się z tobą robi. Jakaś ręka posuwa tobą, jak pionkiem, i oto wszystko. Tak było i ze mną. Wiedziałem, że La Rochenoire, wzięwszy udział w tej bitwie, której odgłosy słyszałem w La Mare, był pobity; sądziłem więc, że idziemy powetować klęskę, ale, dokąd idziemy i z jakimi siłami przyjdzie nam się mierzyć, nie miałem najmniejszego pojęcia. Las się wkrótce skończył. Na horyzoncie nocnym zarysowało się wzgórze, na niem wiatrak, a dalej do trzydziestu chat, ku którym poczęliśmy się skradać. W oknie wiatraka świeciło się, pod wiatrakiem zaś rysowała

się czarna nieruchoma postać pruskiego sztyldwacha, w śpiczastym hełmie, opartego o karabin. Mimo, że byliśmy ukryci w zaroślach i szliśmy jaknajciszej, sztyldwach posłyszał szmer. Głośne „*Wer-da?*” rozległo się w ciszy, a natychmiast huknął strzał, rozdarłszy czerwonym światłem powietrze. Wówczas wydaliśmy okrzyk i rzuciliśmy się w największym pędzie na chaty, z których wraz poczęły się sypać strzały. Zawrzała bitwa. Ja, Marx i kilkunastu innych żołnierzy, pod osobistą wodzą Simona, dotarliśmy do drzwi jednej chaty i poczęliśmy odbijać je kolbami, a tymczasem z dachu i okien strzelano do nas o parę kroków. Drzwi jednak chwiały się, a wreszcie pękły, i wpadliśmy do wnętrza. Niemcy dali nam ognia w same oczy, ale nie uczynili szkody. Wówczas to poszło na kolby, na bagnety, wreszcie na pazury, zęby i pięści. Do innych chat dostali się nasi żołnierze prawie jednocześnie, tak, że strzały wszędzie umilkły, ustąpiwszy miejsca walce ręcznej. W naszej chacie wkrótce zwykła bojowa zawziętość zmieniła się we wściekłość.

Słysząc było tylko trzask łamiących się karabinów, zgrzyt bagnatów, chrapanie i zziębnięty oddech walczących, którzy tarzali się po ziemi, wodzili się za włosy i gryźli się zębami. Jakiś wysoki chłop uchwycił Marxa za gardło i upadł z nim razem na podłogę, ale Marx, silny jak buhaj, w jednej sekundzie był już na wierzchu, ukląkł mu na piersiach i począł tłuc strasznie jego głową o ceglana podłogę. Inny jednak prusak natychmiast siadł mu na kark. Chciałem wówczas pośpieszyć Marxowi na ratunek, ale w tej chwili otrzymałem uderzenie kolbą w piersi i padłem jak długi na ziemię, tuż obok komina, na którym paliło się ognisko.

Jak długo leżałem, nie wiem. Gdybym przyszedł do siebie, nie mogłem się z początku poruszyć. W chacie było cicho. Ognisko dogasało. Z wielkim wysileniem odwróciłem się twarzą do ziemi i uniosłem się trochę na rękę. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłem przy błękitnym płomieniu gasnących węgli, był trup Simona z otwartymi ustami i wyszczerzonymi zębami.

Zemdlałem nanowo.

Drugie jednak moje przebudzenie było słodsze. Leżałem na tapczanie, nie na ziemi. Wzrok mój padł naprzód na sympatyczną twarz Mirzy, schyloną nade mną troskliwie.

— To ty? — spytałem.

— To ja — odparł wesoło. — Narobiłeś mi strachu, ale ci nic nie jest.

Istotnie, czułem się zdrów zupełnie.

Uderzenie, które otrzymałem w piersi, przerwało mi na razie oddech, ale nie uczyniło innej szkody. Oddychałem teraz swobodnie i bez bólu.

Nie chciało mi się jednak wstawać z tapczana, powiodłem tylko naokoło oczyma. Była to też sama chata, w której byliśmy się wczoraj, czy onegdaj. Ślady walki wszędzie były widoczne: okna powybijane, piec nawpół rozwalony, na ścianach piętna krwi, na podłodze gruzy odpadłego tynku, ale ani jednego trupa. Przez dziury w oknach świeciło słońce i wpadał wiatr, wywiewając dym z kominu, na którym paliło się znowu. Zapach spalenizny napełniał powietrze.

— Jak długo spałem? — spytałem Mirzy.

— Dobę, jak kamień.

— A ty nie byłeś ranny?

— Trochę podrapany.

To mówiąc, zawinał rękaw od koszuli i wyciągnął swoją białą, marmurową rękę, na której widniała długa czerwona ryśa i błękitne ślady ukąszenia zębami.

— Ci niemcy — rzekł — nie dają się przecież zabijać, jak owce.

— Wszakże pobiliśmy ich?

— Trochę. Mało który wyszedł.

— Wyście nadeszli nam na pomoc?

— Tak.

— Gdzie Marx? — spytałem po chwili milczenia.

— Na patrolu. Marx jest już kapralem.

— Simon, zdaje mi się, poległ?

— Już pochowany.

— Kto na jego miejscu?

— Ja.

Wówczas siadłem na tapczanie.

— Wytłumacz mi, co to wszystko znaczy.

Mirza począł się śmiać.

— Oficerowie trochę się krzywią — rzekł — ale mój przyjaciel, Rochenoire, ani chciał słyszeć, żeby kto inny zastąpił Simona.

— Nie rozumiem nic.

— Jednak to proste. Mówią o zawieszeniu broni. Pewno to nieprawda, ale mówią. Otóż, jeśli zawieszenie przyjdzie do skutku, La Rochenoire, zadarłszy z rządem, znajdzie się w smutnem położeniu.

— Dlaczegoż więc ciebie proteguje?

— Dlatego, abym ja w danej chwili protegował go nawzajem. Jako bogaty cudzoziemiec miałem w Paryżu wszystkie drzwi otwarte i znałem wielu ludzi, stojących dziś na czele. Co więcej, lubili mnie wszyscy. Byłem „*persona grata*”, więc słowo moje może dziś coś znaczyć. Moja obecność i wysokie stanowisko w obozie godzi niejako La Rochenoira z temi ludźmi, uprawnia go. Ach, gdyby nie to, jużby prawdopodobnie jeden z nas nie żył. Gdym przybył do obozu, wpatrywał się we mnie swemi siwemi oczyma, jakby wilk wpatrywał się w kozę, któraby go przyszła prosić o nocleg w jego jamie. Ale ja

rzekłem, że przychodzę poprostu bić się, a że on najlepiej się bije, więc do niego; wietrzył coś i śmiał się ze mnie, jak z głupca. Już zwrócił się do Simona, by mu wydać na moją skórę rozkazy, ale widocznie pomyślał w tej chwili, że rozstrzelać mnie, to znaczy osobiście zdrzeć z dyktatorem i innymi rządowymi figurami. Przyszło mu zapewne na myśl, że w pierwszej bitwie pozbędzie się mnie gładziej. A ja, widząc jego uśmiech, rzekłem: „śmiesz może pana to, że przychodzę wówczas, kiedy zaczynają mówić o zawieszeniu broni?” To zawieszenie broni było pierwszą kozera, jaką położyłem na stół. Sposepniał i począł wypytywać mnie, co wiem o tem. Odrzekłem, że gdybym był widział dyktatora, mógłbym coś pewniejszego powiedzieć, bo dyktator zawsze zaszczycał mnie zaufaniem i przyjaźnią.

To była druga kozera. La Rochenoire, lubo nie boi się niczego, wie, że z Jednookim niema żartów. Coby mu przyszło robić podczas zawieszenia? Jednooki porachowałby się z nim wówczas z pewnością. A przytem La Rochenoire ma inne

wyrachowanie: on człowiek ambitny, wie-
rzy w restaurację Henryka V-go i widzi
swoją świetną rolę pod Henrykiem. Ma
nadzieję porachować się wówczas ze
wszystkimi, a przytem, z gołego margra-
biego, któremu w Paryżu na cygara na-
wet nie starczyło, stać się potęgą. O, tak!
w czasie restauracyi ten człowiek miałby
ogromną przyszłość, gdyby nie to, że w tej
przyszłości ja tkwię.

— Grasz grę niebezpieczną.

— Rozumiem to, ale jestem spokojny.
Słuchaj dalej. La Rochenoire wie jednak,
że przed Henrykiem musi przejść okres
panowania Jednookiego i wie, że nim
słońce zaświeci, rosa może oczy wyjeść,
a to tembardziej, że znali się także z Gam-
bettą z klubu i nie lubili się nigdy. Po-
trzeba mu więc ubezpieczyć się na ten
czas i sądzi, że bezpieczeństwo znalazł
we mnie.

Mirza począł się śmiać.

— Gram grę niebezpieczną, ale ją wy-
gram, bo znam wszystkie jego karty, co
do jednej, a moje dla niego zakryte.

— A wiesz, jak się taka gra nazywa?

Zamiast odpowiedzieć Mirza wpadł w pasyę.

— Intryga, — zawołał — zdrada! to była jego gra! Śmierć Marillaca, upadek i śmierć jego żony, łązy Lidyi — oto owoce tej gry. A ja się będę teraz wahał i drogę do zemsty wybierał? Co robić? dokąd iść? jak działać inaczej? jeżeli wiesz, to powiedz, naucz. Czy strzelić mu w łeb, tak, żeby nie wiedział nawet za co, dlaczego i z czyjej ręki ginie? Toż pierwszy lepszy żołnierz pruski może mnie w tem wyręczyć. A potem co? Sława przyłgnie do imienia, że już jej i nie odczepisz. Dziękuję za taką zemstę. Zresztą, nie wdajesz się w nic, więc i nie moralizuj. Ty na mojem miejscu oddałbyś mu, może Lidyę i pobłogosławił jeszcze, a potem przeglądał się w lustrze, czy ci do twarzy z poświęceniem. Ale jam z innego metalu. Te środki są dla mnie dobre, które wiodą do celu. Zresztą, mam instrukcye i muszę je wykonać. Jam żołnierz.

— Rób, jak ci się podoba, ale się strzeż. Bytność twoja tak blisko La Mare obudzi w nim podejrzenia, chyba że ślepy.

Selim sapał jeszcze przez długą chwilę, ale wreszcie się pomiarkował i rzekł:

— Nie! Wszystko się składa, żeby temu psu zawiązać oczy. Po zerwaniu z Lidyą, pozawiazywałem nowe stosunki, zacząłem szaleć. Znasz moją przekłętą naturę. Kochałem się, a raczej udawałem, że się kocham z dziesięć razy. Potrzebowałem wrażeń. Otóż La Rochenoire, który o tem wie dobrze, ani przypuszcza, żebym miał jeszcze pamiętać o Lidyi.

Potem dodał prędko i jakby mimowolnie:

— Ja sam się sobie dziwię...

Roześmiałem się.

— Ale nie krzywdź mnie ani Lidyi podejrzeniami — zawołał znów gwałtownie. — Ja kocham ją, jak uczciwy człowiek.

— Myślisz się z nią żenić?

— Co? Tak, oczywiście!

— A potem wróćcie zapewne do kraju. Stary twój ojciec tam codzień, siedząc z wilczycą przy kominku, wygląda twego powrotu.

Nie odpowiedział na to Mirza nic, ale

na twarz jego padł pewien odcień rzewności i jakby utęsknienia za domem i za życiem spokojnem w rodzinnem gnieździe. Znałem ten ród Mirzów, jak swój własny. Oni wszyscy burzyli się za młodu, ale wykipiawszy wracali do gniazda. Taki był dziad, taki ojciec, taki i on zapewne. Pomyslałem, że dotrzyma słowa Lidy, że pojmie ją za żonę, a potem wróci.

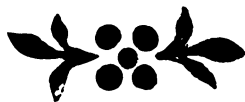
Dalszą rozmowę przerwało nam wejście znanego mi już oficera Touvenira.

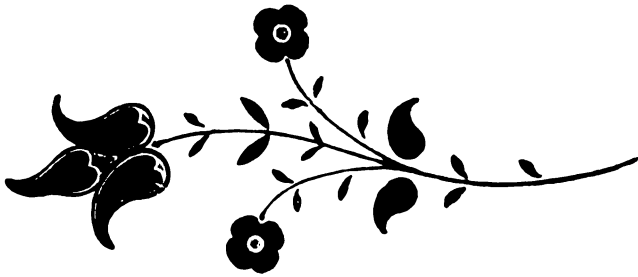
— Rozkaz od dowódcy! — rzekł.

Mirza rzucił okiem na podany papier i rzekł:

— Dobrze.

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Rochenoira.





V.

W nocy nastąpiło połączenie się oddziałów; nazajutrz zaś w południe biliśmy się znowu, a raczej napadliśmy na konwój, prowadzący rannych, i wytępiiliśmy go do szczętu. Wówczas to zaczęło się to życie nadludzkich prawie trudów i wysień, niepodobnych do wiary marszów, głodu, bezsennych nocy, ustawianych pościgów, zasadzek i wzajemnego wytępiania się bez przestanku. Cierpliwość prusaków wyczerpana była do dna. Nie mogli przecież, pobiwszy wielkie armie, pozwolić, aby jeden oddział, złożony z pięciuset ludzi, wyprawiał krwawe rzezie tuż

pod ich obozami. Dowódcy ruchomych kolumn pruskich położyli sobie za punkt honoru wytepić tych przeklętych franci-reurów, których nie uważali zresztą nawet za żołnierzy. Nigdy nie było większą prawdą, niż wówczas, to, co mawiali nasi żołnierze: „mieszkamy za kołnierzem u prusaków”. Żelazne koło zamykało się codzień koło nas i codzień napróżno. Ludzie nasi dziczeli w ciągłych walkach coraz bardziej i, mimo strasznej karności, dopuszczali się nieraz okrutnych nadużyć nie tylko nad jeńcami, ale nawet nad francuskiemi wieśniakami.

Dowódcom ruchomych kolumn pruskich zdawało się nieraz, że to oni nas ścigają, a tymczasem my, uchodząc niby i wymykając się, nie przestawaliśmy ani na chwilę na nich czatować. Lada nieostrożność z ich strony, przynosiła im nową klęskę. Nigdy też świetny talent wojskowy La Rochenoira nie błyszczał tak potężnie, jak w owych trudnych czasach. Zuchwalstwo jego przechodziło wszelkie granice, ale też i szczęście sprzyjało mu stale. Czasem, rzekłbyś, pozwalał się do-

browolnie otaczać, a potem uderzał nagle jak obuchem. Raz zdarzyło się, że oddział, liczący blisko ośmiuset ludzi, szedł naprzód co sił, w mniemaniu, że idzie w nasze ślady, a to my tymczasem szliśmy po jego tropie i, napadłszy nań wreszcie na błotach wśród nocy, wybiliśmy mu trzecią część ludzi. Innym razem La Rochenoire umiał tak urządzić, że dwa oddziały pruskie przez kilka godzin strzelały w ciemnościach do siebie, sądząc, że strzelają do nas. Zimna krew jego dorównywała talentowi. Nieraz w czasie bitwy, wśród nocy, przy blasku wystrzałów, widywałem tego małego człowieka z cygarem w ustach, bez żadnej broni, stojącego wśród kul i spoglądającego jakby flegmatycznie swemi siwemi oczyma na przebieg walki.

Nie szczędził ludzi, był bez miłosierdzia dla żołnierzy, bywał często do wysokiego stopnia okrutny, tak dla nich, jak i dla wieśniaków, ale też nie szczędził i siebie. Przypatrując mu się ciągle, wyrobiłem sobie pojęcie o jego charakterze. Człowiek ten najgwałtowniejszych wro-

dzonych namiętności wychował się u jezuitów, odebrał już podobno nawet pierwsze święcenia. Wychowanie to nadało tak całej jego postaci, jak wreszcie i namiętnościom, pewne spokojne, układne i zastygłe formy, przez które jednak namiętności objawiały się tem straszniej. Żyjąc w Paryżu, stracił naprzód wiarę, a następnie nauczył się pogardzać ludźmi. Był biedny, więc do pogardy tej przyłączyła się wkrótce i nienawiść. To uczyniło go arystokratą nie tyle w zasadzie, ile w obyczajach i obejściu się z innemi. Wysoki tytuł margrabiego, który przy biedzie był raczej pośmiewiskiem, popchnął go jeszcze dalej na drogę arystokracji. Wszystkiemi siłami pragnął Henryka V, bo wiedział, że pod jego rządami tacy ludzie, jak on, będą wszystkim i będą mogli deptać po drugich, co, jak dla niego, byłoby jedną z największych rozkoszy. Mimo jednak swych legitymistycznych skłonności był sceptykiem nietylko w rzeczach religijnych, ale i w życiu. Francyi nietylko nie kochał, ale czuł dla niej pogardę. Wiódł wojnę dla wojny. W prze-

gniłej atmosferze paryskiej stracił poczucie zła i dobra. Dla niego było to wszystko jedno. Przy gwałtownych wrodzonych namiętnościach czyniło to z niego jedno z najniebezpieczniejszych w świecie indywidualuów, tembardziej, że z natury był człowiekiem czynu, nie refleksyi.

Z takim to człowiekiem zważył się na śmierć i życie Mirza. Byłem prawie pewnym z początku, że w tej walce padnie, ale przekonywałem się coraz dotykałniej, że i Mirza był to ptak również niebezpieczny. Napozór jednak panowała aż dotąd między nimi najlepsza zgoda. Bili się z prusakami dotychczas z powodzeniem, i trzeba wyznać, że do tego powodzenia przyczyniał się także niemało Mirza, który pod każdym względem przewyższał Simona.

Nakoniec jednak, po miesiącu owej gry w ślepią babkę po lasach z niemcami, położenie nasze stało się rozpaczliwem. Ruchome kolumny otaczały nas ze wszystkich stron, wymykać się z oddziałem, liczącym pięciuset ludzi, było dłużej niepodobna, również jak i znaleźć dla niego

dość żywności, wskutek tego na radzie wojennej postanowiono się rozdzielić. Jedną połowę miał prowadzić Mirza, drugą La Rochenoire. Obaj spodziewali się wymknąć w ten sposób z departamentu Wyższej Saony, a przytem i wyżywić się łątwiej. Postanowili jednak trzymać się nie dalej od siebie nad dzień drogi, aby w razie wypadku mógł jeden drugiemu podać rękę.

Od tej pory Mirza począł działać prawie na własny rachunek. Wyznaję, że ciekawy byłem, jak sobie będzie radził, bo położenie było trudne. Ale ufałem mu, jako też przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Pierwszego zaraz dnia po rozłączeniu stoczył świetną potyczkę z ułanami, której zresztą mało co życiem nie przypłacił; potem wykrecał się z taką zrećnością, że zdawało mi się czasem, iż przewyższa La Rochenoira. Czasem myślałem nawet, że to jest jaka wschodząca niepoślednia gwiazda militarna, a wiem, że i on sam był tego pewien. Żołnierze pokochali go wkrótce i szli na oślep za nim w ogień. Mirza jednak był dla nich

prawie surowym, jak La Rochenoire, ale daleko więcej dbałym. Kiedy jednak żołnierz przeskrobał coś, a Selim, patrząc na niego, pobladł, żołnierz wiedział, że z nim źle. Nazywali go szeregowcy panną ze względu na jego niepospolitą urodę. Otóż raz słyszałem, jak na biwaku mówił jeden żołnierz do drugiego.

— Gdy panna zblednie, śmierć w oczy zajrzy.

— To i cóż! — odpowiedział drugi.— Panna umie być i dyabłem i matką, a La Roche jest tylko dyabłem.

W tem życiu żołnierskiem, trudnem, męczącym, niepewnem jutra, nie brakło jednak czasem i stron komicznych. Raz, pamiętam, gdy maszerowaliśmy lasem, zsunął się nagle z drzewa jakiś człowiek, zupełnie jakby spadł z nieba. Stój! coś za jeden? Odpowiada: Wolak. Pochodzi z Galicyi, służył w wojsku tureckiem, włoskiem, w legii zagranicznej francuskiej, był w Meksyku i w Algierze. Czego chce? Służby. Zaciągnęliśmy go do szeregu. Nie wyszło pół dnia czasu, Wolak już wodził za nos wszystkich żołnierzy. Przegadał

najbardziej wygadanych, podbił oko najsilniejszemu, poprzączepiał innym przezwiska, od niektórych pożyczył pieniądze, które mu się nie mogły na nic przydać, innych ograł w karty — wszystkich zaś traktował, jak nauczyciel dzieci. Co wieczór śpiewał nadzwyczaj głupią piosenkę o kluczniku, która jednak przyprawiała żołnierzy prawie o utratę rozumu ze śmiechu. Piosenka kończyła się słowami: „A ty panie klucznik, daj klucz od...” Wymawiając „panie klucznik”, Wolak wskazywał palcem na jednego z żołnierzy. Być mianowanym w ten sposób klucznikiem uważało się za największy zaszczyt. Przychodziło nawet o to do swarów i bójek.

— Mnie to nigdy nie zrobi klucznikiem! — wołał jeden żołnierz, ciskając ze złością na ziemię kepi.

— Ciebie klucznikiem: ciebie, sowo! ciebie, coś o trzy lata zawcześniej przyszedł na świat? — odpowiedział Wolak. — A wiesz ty, gdzie rosną rybki? co znaczy młyn wodny, co wietrzny? Ten pan fiołkami żyje, a ty zegarek masz, co? samca czy samice? Widzisz go!

I nim odurzony żołnierz przyszedł do siebie, inni wybuchali śmiechem, który czasem przerywały pruskie strzały.

W ten sposób upłynęło nam ze dwa tygodnie. Tymczasem zdarzyło się stoczyć bitwę, wobec której dotychczasowa sława La Rochenoira zbladła zupełnie. Pewnego wieczoru nadciągnęło do nas około trzystu ludzi z oddziału Emila Corbeau, a z nimi około pięćdziesiąt koni. Oficer, który ich przyprowadził, oświadczył, że oddział ten był wczorajszego dnia na głowę pobity przez ruchomą kolumnę, która prawdopodobnie ściga i tę resztę pozostałą z liczby ośmiuset ludzi. Żołnierze ci byli istotnie w oplakanym stanie. Mimo to, Mirza, wzmocniony niemi, postanowił przyjąć bitwę z kolumną ruchomą, a raczej pójść na jej spotkanie i uderzyć na nią na gościńcu z zasadzki. Kolumna liczyła dziewięciuset ludzi, w tej liczbie około dwustu jazdy, dowodził zaś nią młody, ale bardzo biegły oficer, Otto von Hohensztein, który szczególniejszym był postrachem franc tireurów. Uśmiechała się Mirzie nadzieja pobicia tak wsławio-

nego przeciwnika, dlatego, pozwoliwszy się tylko posilić ludziom Corbeau, ruszył w kierunku gościńca. Była noc, nad lasem zaś zawisała mgła, tak gęsta, że o parę kroków nie można było nic dojrzeć. Siedzieliśmy w krzakach po obu stronach drogi ze dwie godziny w takiej ciszy, że słyszałem bicie własnego serca. Pod karą śmierci nie wolno się było odezwać ani słowem, musiałem więc, jako oficer już, czuwać i nad ludźmi, a szczególnie nad Wola-kiem, któremu z największym wysileniem przychodziło siedzieć spokojnie. Mieliśmy dokładne instrukcje: wystrzał z pistoletu Mirzy miał być znakiem rozpoczęcia ataku. Słyszałem, że i inne serca biją obok mnie niespokojnie. Niemasz nic bardziej drażniącego, nawet dla starych żołnierzy, jak czekać z zasadzki. Upłynęło jeszcze z pół godziny, nareszcie usłyszeliśmy zdaleka skrzypienie kół i miarowe kroki piechoty. Nastąpiła wówczas taka cisza, że słyszałem szmer każdego liścia na drzewie. Kroki zbliżały się. Nakoniec nadjechała szpica, składała ją sześciu ułanów. Ludzie ci pod sekretem palili fajki. Wówczas, gdy

przejeżdżali koło nas, jeden zbliżył się do drugiego i usłyszeliśmy w ciemnościach głosy:

— Bruder, daj ognia!

— Dadzą tobie francuzi ognia.

Potem przeszli i znów nastąpiła cisza. Nadciągał wreszcie główny oddział. Na przodzie szła jazda, za nią piechota, ale piechury nie pilnowali porządku. Znać, ludzie ci nie spodziewali się niczego i nie zachowywali nawet zwykłych ostrożności. Maszerując, powtarzali, według zwyczaju niemieckiego, w takt z krokami marszu i akcentując ostro każdą sylabę: „*Fünf — par — laederne — Strümpfe!...*”

A tu śmierć czyhała na nich z obu stron drogi.

Gdy nadciągnęli w sam środek zasadzki, wówczas wśród głuchoj ciszy huknął nagle wystrzał pistoletowy.

Natychmiast odpowiedziała mu grzmiąca salwa karabinowa z lewej strony drogi. Powstała wrzawa nie do opisania, wśród której słychać było strzały karabinowe, okrzyki: „formuj się!” i donośny, spokojny, ale chwilami panujący nad wszystkimi głos

niemieckiego dowódcy. Obrócono front na lewo, i w tej chwili posypały się na nas gałęzie i liście krzaków, postręcane kulami. Dzielni żołnierze niemieccy szybko stanęli w szyku. Ale w tej chwili druga salwa z prawej strony wstrząsnęła mocno powietrzem. Niemcy uformowali dwa fronty, tymczasem jednak Mirza zamknął już im obydwaj ujścia drogi. Posypały się strzały ze wszystkich stron.

Dym powiększył jeszcze grubą, nieprzebitą ciemność. Żołnierze nasi wyli teraz naokoło Niemców, jak stado zgłodniałych wilków. W ciemnościach ci nieszczęśliwi sądzili się być otoczeni przez Bóg wie jakie siły. Strzelali na oślep. Konie ułanów, ogłupiałe, wystraszone, poczęły chrapać z przerażenia i mieszać się. Cały oddział ruszył naprzód, przywitała go salwa, w tył — znowu salwa. Nagle wybuchnęła skrzynia z prochem. Konie się rozszalały zupełnie, zamieszanie się wzmogło. Słychać było głosy: Światła! Światła! Wówczas to niemieckiemu dowódcy przyszła nieszczęśliwa myśl oświecenia drogi. Ujrzelśmy żołnierzy pruskich, podnoszących

na bagnietach wiązki palącej się słomy. Krwawe światło oświecało drogę i poblizkie drzewa, ale wyszło ono tylko na naszą korzyść, wiedzieliśmy bowiem, jak strzelać. „W oficera! w oficera!” — zaczęli wołać nasi żołnierze; jakoż przy blasku palącej się słomy ujrzeliśmy wysoką, dumną postać w szpiczastym hełmie, ze złotymi binoklami na oczach, stojącą zuchwale na wozie i wydającą rozkazy. Płomienie oświecały ją od stóp do głowy. „W oficera!” — powtórzyły głosy. Kule zawarczały, z wiązek posypały się iskry i płonące źdźbła, ale oficer pozostał nietknięty. Wówczas podbiegł ku nam sam Mirza.

— W oficera! — krzyknął i wyrwawszy Wolakowi karabin, przyłożył go do twarzy. Strzał buchnął, młody oficer zachwiał się, przechylił w tył i padł głową w dogorywającą wiązkę słomy.

Tymczasem słoma między prusakami zgasła, salwy stawały się słabsze, rzadsze. Bronili się jeszcze, ale bez nadziei, a tu ogień z naszej strony ożywiał się coraz bardziej, zwierzęce okrzyki żołnierzy stawały się coraz przeraźliwszemi.

Po pięciu jeszcze minutach komenda „Na bagnety!” — rozległa się po wszystkich szeregach. Ujrzałem znów przez chwilę Mirzę, jak z pochyloną głową i szpadą w ręku wysunął się wraz z falą błyszczących ostrz, ale nagle w szeregach pruskich błysnęła znów zapalona wiązka, a obok niej rozpięta na dwóch bagnetach biała chustka.

— Stój, poddają się! — zawołały ze wszystkich stron głosy.

Jakoż tak i było. Bitwa skończyła się.

W półgodziny potem cisza, taka jak i niedawno, zalegała tę krwawą drogę, kazałem ją uprzątnąć. Sam odszukałem ciało Ottona von Hohensztein z twarzą opaloną w płomieniu i zabrałem jego papiery, a przytem i portret żony lub narzeczonej, który zachowałem do dziś dnia. Potem poszedłem szukać Mirzy. Znalazłem go na uboczu siedzącego na korzeniach drzew i oddychającego szybko. Włosy miał jeszcze spocone, twarz uczer-nioną prochem, drżące ręce, ale w oczach świeciła mu duma nieograniczona, której nie próbował ukrywać. Następných dni duma

jego jeszcze urosła. Odtąd odrzucał wszelkie zdania, a raczej nie pytał o nie nikogo. W obejściu z oficerami stał się despotycznym, ze mną nawet inny był już, niż dawniej, skutkiem czego nasze stosunki znacznie ochłodziły.

O La Rochenoirze nie było między nami od owej chwili mowy, ale widziałem, że Mirza bierze górę i poczyną lekceważyć przeciwnika. Ba! stał już teraz na czele dwa razy większych i ślepo sobie oddanych sił, czegoż więc miał się go obawiać?

W dwa dni potem uderzył na wioskę Deux-Pouts, gdzie stały załogi pruskie. Uderzył już nie w nocy, ale w biały dzień. Przyjął bitwę regularną i bitwa ta dodała nowy listek wawrzynu na jego skronie.

Uczynił to wbrew rozkazom La Rochenoira. Spodziewał się zapewne, że wywoła to między niemi katastrofę, ale widocznie uznał, że czas nadszedł.

Jakoż przyszła wiadomość, że La Rochenoire, napadnięty przez ten czas, poniósł znaczne straty. Gdy Mirza dowiedział się o tem, rzekł do oficerów:

— La Rochenoire wymarnuje tylko ludzi, którzyby mi się przydali.

Oficerowie spojrzeli po sobie w milczeniu.

Przecie zamiast uderzyć na Deux-Pouts mógł Mirza pójść na ratunek La Rochenoirowi, bo wtedy mieliśmy już ruchy swobodniejsze. Kolumny ruchome były przetrzebione, znaczniejsze zaś siły ściągnęli niemcy. przeciw armiom regularnym.

Wieczorem tego dnia przyleciał od La Rochenoira oficer z rozkazem, żeby Mirza natychmiast maszerował do głównej kwatery.

Pamiętam tę chwilę, jak dziś. Było to w merostwie Deux-Pouts. Oficer stał we drzwiach, trzymając palce przy daszku kepi, Selim zaś siedział przy stole, odczytując powoli rozkaz.

Patrzyłem na niego bacznie. Trudy wojenne widne były na jego twarzy. Wychudł, pobladł i jakgdyby postarzał, a przytem jakiś odcień surowości przebijał z tych tak dawniej słodkich, młodzieńczych rysów. Znać w nim było człowieka, który

przywykł rozkazywać, nie zaś słuchać rozkazów.

Nagle wstał, zbliżył się do oficera i, podarłszy w jego oczach rozkaz, cisnął go na ziemię.

— Powiedz pan La Rochenoirowi, że idę do La Mare! — rzekł zimno.

Oficer skłonił się i wyszedł. Wówczas Mirza zwrócił się do mnie.

— Proszę zwołać wszystkich oficerów oddziału.

W kilka minut potem sprowadziłem wszystkich kolegów. Mirza podał im spokojnie swoją nominację, mówiąc:

— Zechciejcie panowie odczytać głośno ten dokument.

Jeden z oficerów odczytał głośno rozkaz dyktatora.

Mirza podczas czytania stał dumny i zimny.

Zapadło głucho milczenie.

— Panowie! — rzekł Selim. — Z oddziału rozbójniczego, wyjętego z pod praw, stajecie się znowu żołnierzami rzeczy-

pospolitej. Wasze męstwo, okazane w różnych bitwach, skłoniło prawy rząd do poślazania. Mam prawo karać, ale wolę przebaczyć. Tym z was, którymby nie podobalo się moje postępowanie od czasu przybycia do obozu, oświadczam, że postępowałem według instrukcyi, i że wreszcie nie potrzebuję się tłumaczyć przed wami. Dodaję przytem, że każę natychmiast rozstrzelać każdego, kto okaże najmniejsze nieposłuszeństwo.

Ani jeden głos protestacyi nie przerwał tej energicznej przemowy. Po niejkiej chwili najstarszy z oficerów, szpakowaty już zupełnie mąż, rodem włoch, a nazwiskiem Michaelis, pierwszy wyprostował się jak trzcina, przyłożył palce do skroni i rzekł:

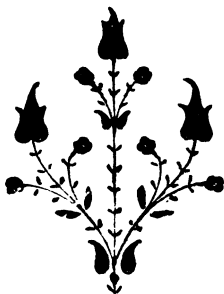
— Czekamy na rozkazy.

— Ogłosić żołnierzom zmianę dowódcy.

Oficerowie wyszli i wkrótce głośno: „*Vive la Republique!*” „*Vive Mademoiselle!*” i „*à bas La Rochenoire!*” przekonało nas, jak zmiana została przyjęta.

Gdyby La Rochoire mógł słyszeć te okrzyki, mógłby powtórzyć wraz z królami Salomonem i Gelimerem: „wszystko próżność!”

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Mare.





VI.

Przyszliśmy tam już późną nocą. Nie zastaliśmy w domu ani pana La Grange, ani Lidy. Okienne w domu były pozamykane, cisza zalegała szaleć i ogród. Widziałem, jak złe wrażenie uczyniła na Selimie niespodziana nieobecność Lidy. Obiecywał sobie zapewne odetchnąć i dać folgę słodkim uczuciom, jakie dawno już nie powstały w jego duszy, tymczasem spotykał go zawód. Spodziewał się może jakiego listu, albo znaku, bo troskliwie wypytywał o wszystko służącą, która zresztą nie umiała nic więcej powiedzieć nad to, że państwo wyjechali i że za trzy dni wrócą. Dla mnie ten wyjazd był zupełnie naturalny, ale Mirza bolał nad nim więcej, niżem

się spodziewał, i nie umiał ukryć niespokojności. Był to dla niego jeden z tych wypadków, które same przez się nie znaczą nic, ale które na razie wydają się jakby umyślne przeciwieństwo losu. Sama jednak bytność w domu Lidy zdawała się na Mirzę wpływać korzystnie. Na twarzy jego zniknął ów odcień surowości, a natomiast pojawił się inny, bardziej miękki wyraz. Nasze stosunki stały się zaraz cieplejsze. Ten groźny wódz strzelców znowu przypomniał mi teraz zakochanego studenta Selima. Wziąwszy mnie pod rękę, błąkał się po całym domu. Dla zakochanego pusty dom, w którym mieszkała droga istota, ma jakiś tajemniczy urok. Słodycz wspomnień miesza się w owym uroku ze smutkiem i z echemi, jakimi odbrzmiwiają opuszczone ściany. Każde z tych ech zdaje się mówić: „niema jej!” Zaszliśmy naprzód do pokoju Lidy. W porcelanowych wazonikach, po obu stronach ubieralni, stały zwiędłe kwiaty, na ubieralni zaś leżał grzebień w kształcie korony, jakie kobiety noszą w warkoczach. Mirza odwrócił się niby do okna, ale wi-

działem, jak przyciskał do ust ten grzebień. Musiał tę Lidyę kochać naprawdę. Zresztą nic w pokoju nie zdradzało niedawnej jej bytności. Firanki z nad łóżka były zdjęte, na łóżku nie leżała pościel, znać było, że jakaś ręka robiła tu już głupi porządek, który zatarł wspomnienia mieszkanki tego pokoju. Meble w białych pokrowcach pozakładane były jedne na drugie, lustra i fotografie, wiszące na ścianach, pozasłaniane muślinem. Mirza odsłonił fotografie. Jedną z nich przedstawiała Lidyę, jeszcze jako dziecko, w krótkiej sukience. Był to dagerotyp stary i wyżółkły. Twarz była widoczna, ale białe pończoszki dziecka tworzyły już tylko dwie białe plamy, ciemna zaś sukienka zlewała się z tłem. Chciało mi się śmiać z tego portretu, bo Lidya, jako dziecko, widocznie nie była ładna, minkę miała przytem na tym dagerotypie wystraszoną, usta otwarte, wyraz gapiowaty. Selim odwrócił się ode mnie, jakby nie chcąc, abym spoglądał obojętnem, a może i złośliwym okiem na ten bohomaz. Sądziłem, że jemu musi wydawać się on czemś dziw-

nie wdzięcznem, ale sądziłem po sobie. Mirza zbyt był trzeźwy i zbyt mało sentymentalny. Jakoż odsunął wkrótce z niechęcią portret i rzekł:

— Ale też to karykatura!

Roześmiałem się szczerze, a on mi zawtórował. Potem zostawiłem go z jego wspomnieniami, sam zaś poszedłem do oficerów, którzy kładli się w sali jadalnej, popijając wino i paląc fajki.

Przed udaniem się na spoczynek, wzięwszy patrol, poszedłem jeszcze pozmieniać strażę. Noc była zimna, ciemna. Pod lasem za chmielnikami wilk wył, jak najęty, a złowrogie modulacye jego głosu rozlegały się dziwnie żałobnie. W przerwach, od strony wioski, dochodził głos jakiegoś wieśniaka, nawołującego żonę czy córkę:

— Rozyna! Rozyna!

Wróciłem od strony ogrodu. Okna pokoju Lidy były oświecone. Widocznie Selim jeszcze w nim siedział.

Myślałem, że złapię go na marzeniach, ale zastałem go schylonego nad mapą.

— Niemcy są o dzień drogi stąd — rzekł do mnie. — Stoją w dość znacznej sile, ale pojutrze napadnę na nich.

— Kto wie, czy jutro nie będziesz miał rozprawy z La Rochenoirem — odrzekłem.

Machnął ręką.

— Mniejsza o to. Czas z nim skończyć, choć to dla mnie przeciwnik nie wart zachodu.

— Przeceniasz się.

— Przyszłość pokaże.

I wymawiając słowo „przyszłość”, spojrział na mapę i uderzył po niej ręką.

Nazajutrz cały ranek zszedł mu na wydawaniu rozkazów. Spodziewał się bitwy. Ale przedtem „kiszmet” chciał, aby stoczył tę, którą mu przepowiedziałem.

Była godzina trzecia, siedzieliśmy przy obiedzie, gdy drzwi nagle otworzyły się i wszedł La Rochenoire.

W trzydzieści sześć godzin zrobił drogę, wymagającą trzech dni. Pokryty był kurzem i jak gdyby zmęczony. Twarz jego była spokojna, oczy nieruchome, nie znać na nim było żadnego napozór wzruszenia;

podobniejszy był tylko do księdza, niż kiedykolwiek.

Gdy wszedł, dawni jego oficerowie zerwali się mimowoli na równe nogi.

Mirza spojrział na niego nieokreślonym wzrokiem, oczy mu błyszczały, ale pozostał spokojny. Widać, był nawet przygotowany, bo skinął na adjutanta, który natychmiast wyszedł z pokoju.

La Rochemore postąpił kilka kroków. Złowrogie jego oczy nieruchomo spoczywały na Mirzie.

— Przesłałem panu wczoraj rozkaz — mówił zcicha.

— A ja nie uznałem za stosowne go posłuchać.

Połowa twarzy La Rochemore zaczęła drgać nerwowo, jak drgała zwykle w czasie bitew.

— Aresztuję pana! — wyrzekł spokojnie do Mirzy.

Mirza ruszył ramionami i, odwróciwszy się, rzekł:

— Michaelis! wziąć tego szaleńca.

W tej chwili, w niezamkniętych drzwiach, ukazał się adjutant na czele

czterech żołnierzy. Żołnierze podeszli automatycznymi ruchami do La Rochenoira i stanęli w milczeniu po obu jego stronach.

— W imieniu Rzeczypospolitej jesteś pan aresztowany — rzekł adjutant.

Wówczas ten mały człowieczek wmgnie-
niu oka skurczył się w sobie i twarz mu
pociemniała. W jednej chwili domyślił się
wszystkiego i zemsty Mirzy i dróg Mirzy.
Poznał, że wpadł w straszną zasadzkę,
z której było wyjście tylko do grobu.

Ale nie był to człowiek, któryby na-
próżno słowa ronił. Ów zwycięzca w tylu
bitwach, ów straszny partyzant nie pró-
bował teraz niczego. Twarz jego nie wy-
rażała ani sztucznej dumy, ani sztucznej
pogardy; nie piorunował Mirzy wzrokiem,
pozostał bierny, jakby w poczuciu, że
wszystko, coby mógł przedsięwziąć, by-
łoby tylko próżnem szamotaniem się, prze-
ciwnem jego godności.

Przeciwnie, twarz Mirzy wyrażała po-
wagę władzy. Nie raczył nawet spojrzeć
na La Rochenoira. Dla niego był to już
nie współzawodnik, nie równy mu prze-

ciwnik, ale zwyczajny biedak przed majestatem sądu — „*pauvre diable*”, którym nie było warto więcej zajmować się, niż tego wymagały paragrafy kodeksu wojennego.

Było w tem wszystkim, w tej nagłej zmianie ról i stosunków, w tem bezden- nem upokorzeniu tak dumnego, jak La Rochenoire, człowieka, coś tak tragicznego, że dalsze następstwa tej sprawy bladły przed chwilą obecną.

— Wyprowadzić go — rzekł Mirza.

Miarowe kroki żołnierzy odezwały się złowrogo. Odprowadzono La Rochenoira do tego domu, w którym nocowaliśmy za pierwszej bytności w La Mare.

Po odejściu aresztowanego w pokoju panowało głucho milczenie. Dziwne jakieś uczucie ścisnęło wszystkich za gardła.

Ludzie wojny nie są zwykle dobrmi chrześcianami, nie przebaczą przeciwnikom, dostawszy ich w ręce, a jednak czułem teraz do Mirzy żywą niechęć.

La Rochenoire przychodził do niego bezbronny, a on występował zbrojny w równą nieubłagalność, ale w większą

się, w pewność zwycięstwa, w bezpieczeństwo osobiste, w powagę władzy, w majestat sędziego, w straszne paragrafy wojenne, w przemoc.

Słowem, po jednej stronie było wszystko, po drugiej nic.

Wiedziałem przytem, że Mirza mu nie przebaczy. Sąd wojenny zebrał się. Sędziami byli: Michaelis, Marx i ja. Mirza z obowiązku musiał przyznać. Touvenir pełnił obowiązki sekretarza.

Wprowadzono La Rochenoira. Gdym spojrzał na niego, zdawało mi się, że przez tę godzinę postarzał przynajmniej o jaki rok, ale spokojny, a raczej doskonale obojętny.

Gdy po odczytaniu zarzutów, z których jeden tylko byłby dostatecznym, aby skazać go na śmierć, Mirza spytał go, co ma na swoje usprawiedliwienie, ruszył tylko ramionami.

Przed wydaniem wyroku odprowadzono go napowrót do aresztu. Poczem przystąpiliśmy do wydania wyroku. Mirza usunął się od głosowania.

Przypomniałem sędziom, że obwiniony

stoczył przeszło czterdzieści zwycięzkich potyczek. Zdawało mi się, iż moje słowa uczyniły pewne wrażenie.

Nakoniec podaliśmy wota.

La Rochenoire skazany został na śmierć.

Wypadło mi pójść ogłosić mu wyrok. Czyniłem to z największą przykrością.

Niespodziewanie przyjął mnie nietylko spokojnie, ale nawet z grzecznością. Gdy po spełnieniu swego smutnego posłannictwa zabierałem się do odejścia, rzekł:

— Wiedziałem, że pan będziesz głosował przeciw śmierci. Gdyby głos twój przeważał, uczyniłbyś mi największą krzywdę.

Poczem wyszedłem, ale przedtem opatrzyłem jeszcze strażę. Dwóch żołnierzy stało we drzwiach, jeden pod oknem od strony chmielnika.

W żadnym razie La Rochenoire nie mógł się ratować ucieczką.

Poczem wróciłem do głównej kwatery, ale nie było mi przeznaczonem spocząć tej nocy. Ponieważ wyrok miał być wykonany wobec wszystkich żołnierzy La Rochenoira, dostałem więc rozkaz spro-

wadzenia tej części oddziału, która pozostawała dotąd tam, gdzie ją La Roche-noire zostawił.

Wymagało to ogromnych dwóch dni czasu. Nie chciało mi się jechać, ale jeszcze bardziej nie chciało mi się prosić Mirzy, ażeby mnie zastąpił kto inny.

Wziąłem więc kilkunastu żołnierzy z jazdy Corbeau i puściłem się w drogę.

Zaraz za La Mare żołnierze dostrzegli koło kościoła jakiegoś człowieka, który chciał się ukryć w złamach muru cmentarnego. Schwytali go i przyprowadzili do mnie.

Poznałem naszego dawnego przewodnika Hugona.

— Co ty tu robisz? — spytałem go dość groźnie.

Hugon był pijany, lub udawał pijanego.

— Ja tu znam każdy krzak — mruzczał. — Z przeproszeniem waszej wielmożności idę do szaletu. Tam pełno żołnierzy. Przyczołgałem się chmielnikiem, bom myślał, że Niemcy, aż tu żołnierz

pod suszarnią chciał mnie bagnetem, rodak to był, rodak nie Niemiec...

Tu Hugo rozplakał się.

— Idź spać, tyś pijany.

— To z biedy, proszę waszej wielmożności, z biedy. Dziś człowiek pod wozem, jutro na wozie... albo i inaczej. Tego wczoraj żołnierze się bali, a jutro rozstrzelować go będą.

Jakieś podejrzenie mignęło mi w głowie.

— Widziałeś La Rochenoira? — spytałem.

— Tam pełno żołnierzy, proszę waszej wielmożności. Nikogo nie puszczają. A to myślę: prześpię się na cmentarzu. Dziś człowiek żyje, jutro go tam położą.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, że może La Rochenoire znalazł jakiś sposób porozumienia się z Hugonem i że może wysłał go po swoich żołnierzy. Ale potem sam roześmiałem się z tej myśli. Przecie Selim miał dwa razy większe siły, a przytem Hugon nie mógł przede mną przybyć do tej części oddziału. Zosta-

wiełem go więc na drodze, a sami puściliśmy się dalej.

Nie wiem, jakim cudem wieść o losie La Rochenoira przybyła do oddziału przede mną. Oficerowie i żołnierze przyjęli mnie w głuchem milczeniu.

Ale nikt nie okazał najmniejszego nieposłuszeństwa. Było to teraz stado baranów, z którym mogłem robić, co mi się podobało.

Wydałem rozkaz wymarszu i ruszyliśmy natychmiast.

Około południa dałem żołnierzom dwie godziny wypoczynku, potem znów nagliłem ich do pośpiechu. Po wioskach chłopcy kryli się przed nami do chałup. Chciałem podwódną drogą, by jaknajprędzej dostać się do La Mare, i zabierałem po drodze wszystkie wozy z końmi. Wszędzie jednak przywołany mer wioskowy na pierwsze pytanie odpowiadał mi:

— Niema.

Wówczas przykładałem mu rewolwer do nosa i dotknięcie zimnej lufki miało dziwną własność rozgrzewania merowskie-

go patryotyzmu: podwody znajdowały się, jakby wychodziły z pod ziemi.

Zbliżaliśmy się do La Mare głęboką nocą i w zupełnym porządku. Ja jechałem naprzód z mojami konnemi żołnierzami o pół mili francuskiej od oddziału. Chciałem być pierwszy, a przytem musiałem się okrzyknąć hasłem z placówkami oddziału Mirzy.

Od strony wioski nie dochodził najmniejszy szmer, ciemno było w niej zupełnie. Mirza zachowywał zawsze ostrożności większe jeszcze od La Rochenoira, i nie palił nigdy głęboką nocą ognisk.

Byliśmy już niedaleko kościoła. Mój podoficer podjechał do mnie.

— Panie poruczniku, — rzekł — placówki się pospały.

— Nie może być — odpowiedziałem — za to śmierć.

Księżyc świecił jasno. Jak okiem sięgnął, nie było widać szyldwachów.

— Co to jest? — pomyślałem niespokojny.

Przy bramie cmentarnej spodziewałem się jednak, że lada chwila usłyszę:

— *Qui vive?*

Naokoło panowała cisza.

Podoficer zbliżył się znowu do mnie, szepcząc:

— Panie, tu coś zaszło. Szyby w kościele powybijane.

Spojrzałem pod światło księżyca. Błade jego promienie łamały się na oknach kościelnych, ale w niektórych miejscach widać było czarne, głuche otwory: istotnie szyby były potłuczone.

— Tu musieli się chyba bić — szeptał podoficer.

Brama cmentarna była otwarta, wjechaliśmy na cmentarz.

Nagle kopyto mego konia uderzyło o jakiś twardy przedmiot, który odezwał się głuchem echem.

Sądziłem, że to zapewne czaszka ludzka, ukryta w zielsku, kazałem jednak żołnierzowi, by podniósł ten przedmiot.

Żołnierz zsiadł z konia, schylił się i podał mi pikelhaubę pruską.

Było więc rzeczą pewną, że Mirza bił się podczas mojej niebytności i po bitwie musiał wymaszerować dalej.

Jechaliśmy dalej po cmentarzu, badając każdą wklęsłość ziemi z osobna.

O pięćdziesiąt kroków od miejsca, na którym znaleźliśmy pikelhaubę, leżał pierwszy trup pruskiego piechura. Znać było po nim, że leżał już kilkanaście godzin i że bitwa musiała się odbyć wczoraj.

Coraz nowe jej oznaki wychylały się z trawy i zielska. Miejscami grunt na przestrzeni kilkunastu łokci pokryty był, jak śniegiem, szczątkami tektury z ładunków; dalej leżały same pruskie trupy, dalej same francuskie, jeszcze dalej jedno i drugie razem, poprzewracane nawznak i na twarz, często wsparte na sobie głowami lub piersiami. Walczono tu widocznie na białą broń. Promienie księżyca schodziły z jednych grup i oświecały coraz nowe. Ciche te grupy zdawały się spać.

— Do szaletu! — krzyknąłem gwałtownie.

Pomknęliśmy jak burza i wypadli na drogę.

Zdała widać było zbliżające się ciemne masy ludzi: to mój oddział dochodził już do początku muru cmentarnego. Wstrzymałem pochód znakiem ręki, sam zaś z mojami ludźmi, omijając trupy, coraz gęściej leżące na drodze, pocwałowałem dalej. W minutę później szalec zarysował się przed nami: okna jednego pokoju były oświetlone i otwarte narozcież, również otwarte drzwi od sieni.

Wszedłem pośpiesznie.

W pierwszym pokoju było pusto i ciemno, z następnej sali dochodziło światło przez szpary we drzwiach.

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty.

— Na środku stała niska sofa bez poręczy, a na niej leżał umarły, przykryty prześcieradłem, przez które rysował się jego nieruchomy profil.

W głowie zmarłego stały dwie świece kościelne. Przy jego nogach klęczała czarno ubrana kobieta, z czołem opartem o brzeg sofy i z zaciśniętymi nad głową rękoma.

Gdy wszedł, podniosła się. Poznałem

Lidyę. Twarz jej była blada, surowa, bezsenna, zmęczona, kamienna i postarzała, ale nie zapłakana.

— Panno Lidyo!... — zawołałem przyduszonym głosem.

Podeszła ku mnie na palcach, jakby obawiając się zakłócić spokój nieboszczyka i tak cicho, jak mówi się przy umarłych, szepnęła:

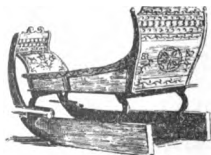
— Nie żyje!

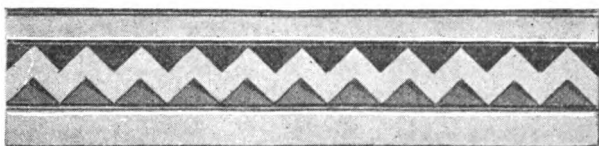
To rzekłszy, wsparła się na mojem ramieniu. Suche łkania wstrząsały jej piersią.

Wówczas dopiero przyszła mi myśl, że ten umarły to może być stary La Grange.

Zbliżyłem się szybko do nieboszczyka i podniosłem zasłonę. Z pod prześcieradła wionęło trupim chłodem. Żółte światło świec padło na zsiniałą, twarz ze wzdętymi ustami, wykrzywioną, okropną.

Była to twarz... Selima Mirzy.





VII.

Nazajutrz rano wyprowadziłem śledztwo, z którego okazało się, co następuje: La Rochenoire porozumiał się istotnie z Hugonem, któremu wydał rozkaz za-
wiadomienia prusaków o postoju Mirzy w La Mare. Hugon podprowadził ich chmielnikami tak zręcznie, że placówki dały dopiero wówczas ognia, kiedy oddział całkowicie był otoczony. Rozpoczęła się bitwa. Mirza poległ z samego jej początku. La Rochenoire zaś, który, działając w widokach zemsty, nie liczył nawet na osobiste ocalenie, wśród powszechnego zamieszania zdołał jednak przy pomocy Hugona wydostać się w chmielniki, a stamtąd przedrzeć się do lasów.

W rok potem, już po wojnie, dowiedziałem się o jego pobycie w Wenecyi. Odziedziczył znaczny majątek w Bretanii, ożenił się i żył spokojnie.

Nie mogłem sprawdzić, czy żoną jego była Lidya La Grange.



Czy ci najmilszy?



Czy ci najmiłszy?

...W dali było widać ciemną wstęgę boru, przed borem łąkę, a wśród łąków zboża stała chata, pokryta słomianą strzechą i mchami. Brzozy zwieszały nad nią zielone warkocze, na świerku w gnieździe stał bocian, a w sadzie wiśniowym czerniały ule.

Przez otwarte wrota na dziedziniec wszedł wędrowiec i rzekł do niewiasty, stojącej w progu:

— Pokój tej cichej chacie, tym drzewom, zbożom i okolicy całej, i tobie, matko!

Ona, powitawszy go gościnnie, rzekła:

— Chleba i mleka przyniosę ci, wędrowcze, a tymczasem siądź i odpocznij, bo widać, że z dalekiej wracasz podróży.

— Jako ów bocian i jako jaskółka, wędrowałem; wracam z daleka i od dzieci ci twoich wieść przynoszę.

Więc onej matce dusza cała zbiegła do oczu i zaraz spytała wędrowca:

— Czy wiesz co o synu moim, Jaśku?

— Czy ci on najmilszy, że o niego pytasz najpierwej? Oto jeden twój syn w puszczech z siekierą pracuje i w jeziora sieć zapuszcza; drugi konie na stepie pasie, pieśni tęskne zawodzi i w gwiazdy patrzy; trzeci po górach się wspina, na turniach i halach z owcami noce spędza, w orłów krakania się wsłuchuje. Do kolan się wszyscy twoich chylą i pozdrowienia ci przysyłają...

— A Jaśko? — pytała z troską na twarzy.

— Wieść smutną chowam na ostatek. Źle się Jaśkowi wiedzie: rola plonu mu nie daje, bieda i głód dokucza, w niedoli płyną mu dni i miesiące. Wśród obcych

i nędzy mowy twej nawet zapomina, więc i ty zapomnij o nim, bo on już nie twój... zapomnij!...

Gdy to rzekł, kobieta, wzięwszy go za rękę, wiodła do spiżarni w chacie i, zdjąwszy bochenek chleba z pułki, rzekła:

— Wędrowcze, daj to Jaškowi.

Nakoniec z chustki rozwiązała pieniądze srebrny, błyszczący i drżącym głosem rzecze:

— Niebogatam ja sama, ale i to dla Jaška.

— Niewiasto! — rzekł ze zdziwieniem wielkiem wędrowiec — synów masz wielu, a jednemu wszystko oddajesz. Czy go kochasz najwięcej? czy ci on najmilszy?

Ona zaś, podniósłszy wielkie, smutne oczy, łzami zalane, tak rzecze:

— Błogosławieństwo moje wszystkim, ale datki temu jednemu, bom ja matka, a on najbiedniejszy.



SABAŁOWA BAJKA.



Sabałowa bajka.

Siedzieliśmy wokół ogniska, wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, podobną zarazem do głowy starego sępa i do twarzy Miltona, chwilę popatrzył szklannymi oczyma w ogień i tak zaczął opowiadać:

„Prosem piknie wasych miłości, raz seł chłop ze świdrem — i z rąbanicą do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba. Chłop,

ze był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli jako się jej pozbyć. Wzion wreście wiercić dziurę do wirby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

— Cego patrzys? — pyta Śmierć.

— Chces uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic, a bez ten cas ociosał se chłop rąbani-
cą bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powieda Śmierć.

— Wleż całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlazła całkiem, zatkał ci ją chłop — prosem piknie — bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

A tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajaziło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wsędy, ze cłek koło cłka stał, jako smereki stojom w boru. Chłopisko się zestarzało, bięda poce-
na go gniesć, robić juz nie mógł. Naprzykrzyło mu się w ostatku zyc, poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć, prosem piknie, skocy, jak weźnie kosić w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chocho-

łowie, to tyla się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było. Przychodzi wręście Śmierć do jednej gaździny wdowy — siedmioro sierot u niej — i biere ją.

A tu dzieci, kiej nie zacnom prosić, kiej nie zacnom lamentować:

— Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powieda:

— Panie Boże, jako-ze mnie matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Bóg powieda tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jéno Pan Jezus gazda. Idź-ze do Pana Jezusa, niech ci ta powié, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powieda:

— Panie Jezu, jako-ze mnie gaździnę brać—siedmioro sierot w chałupie—tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk:

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła Śmierć do morza, na samiu-sieńkie dno, przyniosła skałkę kwardom,

okrągłuchnom, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niój.

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie—zębiska ją bolom; zgryzła wreście calusieńkom skalkę— i patrzy: az tu w środku chrobocek maluśki siedzi.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk.

— Widzisz, powieda, to ja o tym maluśkim chrobocku na dnie morza wiem i pamiętom, a ty myślis, ze ja o siérotach nie będę pamiętał?

— Chybaj, bier matkę!...

.
.
.
.



Sabatowa bajka

opisał Henryk Sienkiewicz

Siedzieliśmy wokół ogniska, wstuchani w
tę ciągłą tatarską, która aż w uszach dźwięci.
Zbliżała się już i podłoga spomykała, gdy usłysze
Sabata podziwił się pomarszczonej twarzy, podobnej
zarazem do głowy starca szpa. To Henryk Miliona,
chłopę popatrzył ukłaniamy się omył w opłotki -
tak począł opowiadać.

Proszem piknie Waszych miłości, raz set chłop
ze swidrem i z rąbaniem, do nowego targu na-
stacie. Jakoś za poronieniem słowarzyła się
z nim stara baba. Chłop, że był mądry gada,
porwał miłoci i zara myśli jako się jej por-
być. Wroni wrócić więcej dziurę do wirki,
wirnik pokoi nie myświć, a potem w nią
zagląda

- Czego patrys? pyta miłoci

- Chcesz umarć, to sama zaxrzyj.

Zaxryfa miłoci do dziury, nie widzi nic, - a
bez ten czas ociosał se chłop rąbaniem bukowy
kofek. -

- Nic widzę nic - powieda Suciwi.
- Włóż cackiem, to obacz.

Ledwie Suciwi wstąpi cackiem, zakłócił jej chłop, (prosem piknie) bukowym koskiem, przybił kofek obuchem i poset

A tu rok po roku idzie, chłop żyje i żyje; ludziska przestali unierai, zajązilo się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wszędy, że efekt kóło cłika stał jako smerekki stojom w łonie. Chłopisko się zastarzało, bićda porowa go gniew, robić już nie mógł - naprzykrzyło mu się w ostatku żyć - poset i odefkał Suciwi z wirby. -

Jak Suciwi, prosem piknie, - skończy, jak wzięli kosić - w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyła się ludka wykopyrta, że i cho-wał gdnii nie było. Przychodzi wrście Suciwi do jednej gaidziny wdowy - siedmioro sierot u niej - i bierze ją.

duo przywiozła skatkę kwadratową, okrę-
głuchą, jako bochenek chleba, a pan
Jens do niej

— Gryzi!

Gryzie Smierci gryzie — zębiska, o, bo tam.
zgrzyta widać całusikiem skatki —
jatką, a tu w środku chrobocek ma-
lutki siedzi. —

A pan Jens prask Smierci w pysk

— Widziś, powieściu, to ja o tym malus-
kim chrobocku na ziemi można wiem
i panistom, a ty myśliś, że ja o si-
rotach nie będę panista? — Chybaż, bier
matko!

TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
I. Selim Mirza	1
II. Czy ci najmilszy?	147
III. Sabałowa bajka	153



Druk P. Laskauera i W. Babickiego.

Klisze ozdób zakopiańskich i okładki wykonane w Zakładzie Fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.

Papier ze Składu Fabrycznego Ignacego Wienera.

Portret H. Slenkiewicza na okładce wykonany według ostatniej fotografii z r. 1900, zdjętej w Zakładzie Fotograficznym J. Mieczkowskiego.



*Ozdoby w stylu zakopiańskim są własnością
wydawcy.*

Princeton University Library



32101 067471811

